

Ela Abowicz

Lucyna w opałach



Bridżyt Dżoms
jakiej nie znacie

Feeria
WYDAWALNIA

Ela Abowicz
Lucyna
w opałach



1.

Otwieram oko. Za oknem czarno jak na patelni po przypaleniu schabowych. Cud, że nie cuchnie. A przecież już dziewiąta! Zaświeci w końcu to słońce czy nie? Naprawdę, choć raz mogłoby zrobić to, o co je proszę.

W końcu obchodzę dziś trzydzieste piąte urodziny!

A właściwie nie obchodzę, tylko niechętnie przyjmuję do wiadomości. I nie trzydzieste piąte, ale trzydzieste szóste, lecz o tym wie jedynie mój ginekolog i znajoma, która wypełnia moje PIT-y.

Że i moja mama wie? Nie byłabym tego taka pewna, ponieważ ona stosuje inny system miar i wag.

– Lucynko? – Słyszę nad głową. – W dniu twoich trzydziestych dziewiątych urodzin życzę ci, byś schudła tych wymarzonych kilka kilogramów!

No dobrze. Nie ma jak zimny prysznic z samego rana. Zdrowszy niż kiełki i zupa sojowa. Podobno generałowa Zajączkowa dożyła setki w świetnej kondycji, myjąc się w zimnej wodzie i okładając ciało lodem.

Lecz co ja bym miała robić do setki? I skąd mamie przyszły do głowy te ciężkie jak czołg „wymarzone kilogramy”, skoro chodzi o może dwa, góra cztery?

Co zaś tyczy się wieku, dobrze, ostatecznie się przyznam: kończę trzydzieści dziewięć lat i ani dnia więcej!

– I oczywiście życzę ci też, żebyś... – kontynuuje zadowolona mamusia, lecz niewiele słyszę, bo Gapa, jej ukochana suka, liże mnie dziarsko po uchu.

Skąd się nagle wzięły w mojej sypialni?

Nie, nie uprawiamy toksycznego modelu rodziny siedzącej sobie na głowie w myśl zasady „pozabijajmy się, byle razem”. A przynajmniej nie aż tak. Mama i Gapa przyszły z naprzeciwnika.

Mieszkamy drzwi w drzwi, co jest, pozał się Boże, efektem sprzedaży wielkiego domu, odziedziczonego po wujku Stefanie. Rodzice kupili wówczas dwa mieszkania, wspaniałomyślnie to drugie ofiarowując mnie.

Darowanemu koniowi w coś tam się nie zagłada, ale byłabym gotowa zajrzeć mu wszędzie, byleby mieszkać przynajmniej na innym piętrze, nie wspominając o bloku obok. O luksusie życia na równoległej ulicy bez widoku na jaskinię mamy nawet nie marzę. Wystarczy, że w science-fiction gustuje mój syn, Patryk.

– Wyobraź sobie, że Patryk zjadł ze mną grzecznie śniadanie i wyszedł do szkoły jakoś dziwnie wcześnie, chyba kwadrans przed czasem. I jeszcze pogłaskał Gapię! – Rejestruję głos mamy uchem wylizanym przez psa i natychmiast drugie stawiam na baczność.

Jeśli to prawda, dzień zapowiada się jak film Tarantino: jeszcze nie wiemy, co jest grane, a już jest jasne, że skończy się krwawą jatką.

Śniadanie, którego mój syn nie jada, a już na pewno nie z babcią, przedwczesne wyjście z domu i do tego pogłaskanie wyśmiewanego psa... Co znowu się może za tym kryć?

Natychmiast siadam w łóżku, by rozmasować nerwowo kłujący żołądek. Czyżby

faktycznie Patryk miał zamiar poprawić tych sześć jedynek, grożących mu na semestr, i przed lekcjami zdecydował się skserować cudze notatki? Moją naiwność tłumaczy chyba tylko rozespianie, ale tak bardzo chciałabym w to wierzyć!

– A to dla ciebie, kochanie. – Mama wręcza mi złotą piramidkę z czekoladek, które Gapa rozpaczliwie usiłuje odpakować.

Cudowny prezent, idealny, by stracić „wymarzone kilogramy”!

– Chodź już, Gapa, nie będziemy przeszkadzać. A kawka z mleczkiem na stole! – rzuca mama mimochodem, już w drzwiach.

W ten sposób rodzicielka dyskretnie daje mi do zrozumienia, że trzeci komplet kluczy, którym włada "ze względu na ewentualny pożar albo potop", w niczym mojego życia nie krępuje. Przeciwnie, pozwala uroczo zacząć sympatyczny dzień od smakowania kawowej pianki przyprawionej cynamonem. Mama specjalizuje się w niej od zawsze, bo czego jak czego, ale akurat cynamonu nie brakowało nawet w Peerelu. Podawała ojcu swą kawkę, kiedy większość z nas myślała, że cappuccino to rodzaj eleganckich włoskich kapci.

Pianka ma smak pieprzu, jak wszystko, gdy myślę, co też właśnie może robić mój synek Pat, bo tak każe się nazywać. Jest jasne niczym słońce, którego wciąż nie widać, że dowiem się jak zwykle ostatnia...

Na stole dostrzegam kartkę. „Kochana Mamo, wrzystkiego najlepszego w tfoje urodziny! Pozwoliłem sobie wziąć dwie dychy na nowy dugopis, nie chciałem cię bódzić. Prezēt dostaniesz puźniej”.

Upijam łyk i nie wiem, czy się otruć, czy powiesić.

Oczywiście, czuję się wzruszona tym dowodem pamięci, odświeżonej zapewne przez babcię przy śniadaniu, ale jeszcze bardziej porusza mnie jego ortografia. Bo to nie jest żadna postmoderna, tylko mroczny obraz wykształcenia piętnastoletniego syna najlepszej polonistki na roku i wziętej redaktorki tygodnika „Wzdłuż”.

Tarantino wysiada, tu kłaniają się już koszmary z „Laleczki Chucky!”.

I ciekawe, z czyjego zeszytu wyrwał tę kartkę? Posiadaniem własnego nie splamił się przynajmniej od początku roku, gdy po wyżebraniu promocji z ostatniej klasy gimnazjum udało mi się wyblagać przyjęcie go do liceum.

Ale niech żyją egoiści!

Po wejściu do łazienki zapominam o Patryku i jego polszczyźnie. Niech sobie pisze i po czesku albo przerzuci się na pismo obrazkowe, byleby tylko nie wkręcał mi nad lustrem stuwatowej żarówki!

Prosiłam wyraźnie: góra siedemdziesiątka piątka, ale teraz się przekonuję, że i to za wiele.

To naprawdę ja?

Pod oczami wory, w których można przewozić ziemniaki. Wokół ust dwa przydrożne rowy, a czoło równiutko poorane jak pole rolnika czekającego na dotację z Unii.

Na głowie – jeśli kontynuujemy podróż przez wdzięczne wiejskie krajobrazy – staropolska wierzba płacząca, pod którą Szopen mógłby zagrać swój najsmętniejszy mazurek.

Ach, za kurs malowania się z zamkniętymi oczami oddałabym wszystkie pieniądze!

Po półgodzinie iście wojskowego maskowania się wyglądam ciągle jak wieś, ale holenderska: kolorowa, pachnąca, z dwoma lazurowymi stawami zamiast szarych źrenic.

Te nowe turkusowe soczewki rzeczywiście odmładzają!

* * *

Trzydzieści dziewięć lat, mój Boże!

Marilyn Monroe, Anna Jantar i Sylvia Plath nie dożyły nawet tyłu, a ja co? Co by po mnie

zostało, gdybym za chwilę, pędząc do tramwaju, wpadła pod samochód?

Film wideo z dwudziestych drugich urodzin mojego brata Tymona, na którym dolewam ginu do coca-coli, myśląc, że mnie nikt nie widzi? Stara kasetka magnetofonowa ze szlagierem z „Titanica”, przypominającym w moim wykonaniu pisk opon przed kraksą? Kilka wierszy, niewydrukowanych z powodu *zbyt dużej dawki pierwiastka lirycznego*, jak napisał mi redaktor poczty literackiej?

Na szczęście istnieją jeszcze: Tina Turner, Susan Sarandon i nasza Szaflarska. W moim wieku dopiero dobrze się zapowiadały i miały wszystko przed sobą. O!

Jak na zawołanie hitem Tiny „Simply the Best” rozdzwania się moja komórka.

- Cześć Tymon – witam braciszka, który sam się oznaczył ulubioną melodią.
- Witaj, najlepsza! Mężczyzny, milionów i oczywiście wielkiej miłości na czterdzieste urodziny! – chichocze jak hiena, zadowolony z własnego dowcipu.
- Falstart, kochany. Przyspieszyłeś o rok, a oficjalnie o pięć!
- Lepiej, żebyś zaczęła się przyzwyczajać!
- Wyszedłeś z wykładu, żeby mi to powiedzieć?
- Jestem u kumpla.
- Co robicie tak rano?
- Uprawiamy seks!
- To gratuluję! – rzucam machinalnie, bo z Tymonkiem inaczej nie da się rozmawiać. Jest jednym wielkim Żartem.

Gdy po pogrzebie ojca wróciliśmy do domu, wziął jego zdjęcie i domalował do łysiny burzę loków, robiąc z nieboszczyka karykaturę Barbie. Ciotka Edyta, największa ofiara wynalazku elektrycznej lokówki, jaką znam, cała w paranoicznie poskręcanych puklach, omal też wtedy nie umarła. A przecież tata tak często wzdychał nad za szybko utraconą czupryną...

Tymon coś tam dalej gada, ale muszę to natychmiast przerwać. Jeszcze moment, a znów spóźnię się na kolegium!

– Mężczyzny, milionów i oczywiście wielkiej miłości – powtarzam za braciszkiem, usiłując znaleźć przynajmniej jeden z butów.

Jeśli to żart, to wcale nie taki głupi. Półtora męża (bo drugi był cudzy) i z tuzin innych osobistych melodramatów nauczyło mnie, że między mężczyzną a wielką miłością jest taka różnica, jak między kamieniem a kamienicą.

Dotychczas w każdej z kamienic udawało mi się wybudować co najwyżej parter, a i to bez żadnego zadaszenia. I, szczerze mówiąc, ździebko się zniechęciłam.

Teraz mam całkiem inny pomysł, po prostu doskonały! Otóż zamiast mozolnie budować cokolwiek, szukać placu i przede wszystkim ma-te-ria-łu na Kamienicę Miłości, cierpliwie poczekam, aż znajdzie się gotowa.

Jeśli na świecie istnieje jakakolwiek sprawiedliwość, ktoś wreszcie zechce mnie taką, jaka jestem. Bez docierania się i wymuszania obietnic, że nie zetnę włosów lub że rozpruję nogawki wszystkich swoich spodni, by zszyć je na nowo w „normalne” spódnice (ciekawe, jakie by wyszły?).

Ten ktoś bez żadnych targów zaprosi mnie do swego zamku, bo kamienica to tylko taka skromna metafora, i spojrzę głęboko w oczy.

Kto wie? Może właśnie dziś, w te lazururowe źrenice?

Mężczyzny i wielkiej miłości, przepowiadam skromniutko już bez tych milionów, omal nie lądując pod jakąś luksusową limuzyną na piekielnym mokotowskim skrzyżowaniu. Tramwaj śmiga mi sprzed nosa jak karaluch po włączeniu światła, a ja uświadamiam sobie, że naprawdę mogę w każdej chwili zginąć.

A przecież teraz to po prostu wy-klu-czo-ne!

Bo zostałby tylko mój syn – beze mnie z pewnością na drugi rok w klasie. Zostałyby niespłacone długi za zagraniczne wakacje (dwa razy z rzędu, więc może milionów nie skreślać?) oraz rozpoczęty artykuł „Gwiazdy piszą”, którego chyba jednak jury tegorocznej Nagrody Pulitzera nie weźmie pod uwagę.

2.

Niech diabli wezmą tego, kto wymyślił, że tramwaj powinien mieć przystanek na każdym skrzyżowaniu. I tego, który owe skrzyżowania wybudował mi po drodze co sekundę. I oczywiście tego, który ulokował redakcję tak, bym nigdy nie mogła zdążyć na czas.

Mimo natychmiast złapanej taksówki – który to już raz? – kolegium przepadło. Szybko siadam za biurko, że niby siedzę tu od wczoraj, a praca nie pozwala mi się ruszyć.

Rozpoczęty artykuł? Jaka ja jestem zakłamana!

Toż w pliku od tygodnia straszy tylko tytuł, a natłok myśli sam się do komputera nie wpisał. I całe szczęście, bo były to myśli o wszystkim, tylko nie o gwiazdach, które piszą.

Do oddania tekstu zostały dwa dni.

I, zdaje się, tyle właśnie potrzebuję, by w ogóle dostać się do komputera. Przysypała go już dokumentnie cała historia współczesnej literatury kobiecej: dziesiątki książek, przysyłanych mi z nadzieją na wzmiankę, że bez ich przeczytania poczujesz się jak ignorant(ka) i cham(ka).

Przez „literaturę współczesną” rozumiem to, co każe mi rozumieć moja naczelna, czyli książki powstałe w ostatnich miesiącach, bo o wcześniejszych słuch słusznie zaginął.

Czytelniczki nie lubią odgrzewanych dań, a hasło reklamowe tygodnika „Wzdłuż” – ŚWIEŻE SPOJRZENIE – nie pozostawia w tej materii żadnych wątpliwości. Lepsza najgłupsza nowość niż najmądrzejsze starocie!

Do moich obowiązków należy więc przede wszystkim ochrona szanownych czytelniczek przed jakimkolwiek przeterminowanym towarem.

I oczywiście przed wszechobecną nudą.

Chcąc tu pracować, musiałam się nauczyć, że nuda to wszelkie przejawy wybujałego intelektu, przed którym całe „Wzdłuż”, więc i kierowany przeze mnie dział kultury, broni nasze prężne, kapitalistyczne, żądne rozrywkę społeczeństwo.

Nuda to nie tylko „Hamlet” i „Ulisses”. To cała poezja, Mozarty i Szopeny. To opera i balet, zwłaszcza współczesny. To bohomyzy, czyli obrazy abstrakcyjne, i wszystko, co nie może się podobać wszystkim jednocześnie.

Bliźniaczą siostrą Nudy jest Nisza. Gdy coś jest niszowe, ogół nie wie, o co chodzi, i nie chce się dowiedzieć. Należy przed tym uciekać jak przed ptasią gripą.

Nuda i Nisza oznaczają dla tygodnika sen tak koszmarny, że aż trudno to wyrazić: ekonomiczną plajtę!

Nie żyjemy przecież w próżni, lecz z reklam. A te namawiają do kupowania Grocholi, a nie Konopnickiej. No chyba że o Konopnickiej ktoś nakręci film jak „Godziny” o Virginii Woolf albo Spielberg przeniesie na ekran „Naszą szkapę”. Wówczas i nasza rzewna autorka z warkoczem wywalczy swe pięć centymetrów na stronie. Obok wyretuszowanej fotki, na której pisarka będzie wyglądać jak Sharon Stone, pojawi się kolejne dzieło mego życia: takie streszczenie „Naszej szkapę”, byście ją wzięli za Bridget Jones.

Znacie i lubicie Bridget, prawda? I o to właśnie chodzi.

Zgodnie z linią pisma liczy się głos, który odbiorcy natychmiast podchwycą jako własny. Sens mają tylko takie wnioski, po przeczytaniu których czytelniczka „Wzdłuż” zakrzyknie: „A nie mówiłam?!”

Z uporem maniaka tropię zatem i wychwalam powieści, które będą smakowały wszystkim. Miłosne hamburgery i obyczajowe chipsy, sensacyjny popcorn i przygodową pizzę. O czym nie napiszę – nie istnieje.

A jednak co pewien czas natkniecie się we „Wzdłuż” na Nudę i Niszę w stanie czystym. Ostatnio recenzowałam uczoną rozprawę o nowej rzeźbie angielskiej, monumentalną historię Azji Południowo-Wschodniej i zbiór esejów o stosunkach żydowsko-arabskich. Nie wiedziałam, czy mam je czytać z góry na dół czy z prawa do lewa, nie mówiąc o tym, jak je opisać.

To nie wypadek przy pracy, u nas żadne wypadki się nie zdarzają. To dzieła stworzone przez znajomych naczelnej. W ten sposób stara wiedźma podtrzymuje ustosunkowane przyjaźnie i dba o pozory, jakoby jej tygodnik był otwarty niczym głowa mędrca.

Nasza czytelniczka, wychowana na lekkim, łatwym i przyjemnym fast-foodzie polecanym przeze mnie w rubryce „Wzdłuż kultury”, nie przebrnie przez to za chińskiego boga. Ale co to ma za znaczenie?

Ważne, że każda redakcyjna Wigilia i Wielkanoc oraz tradycyjny bal z okazji konkursu na powieść roku pełne są Ważnych Utytułowanych Gości, skwapliwie obfotografowanych na potrzebę najbliższego numeru.

„Spójrzcie, jakich mamy przyjaciół!”, pokazuje „Wzdłuż” na kolorowych zdjęciach w poświęcanych reportażach. „Są wśród nich nawet intelektualści!”

I faktycznie: pasują jak kwiatek do kożucha, ale są!

Dlaczego więc tu pracuję? No właśnie. Jaka ja jestem zakłamana!

* * *

Zamiast rzetelnie odgruzować komputer i wyrzucić co najmniej połowę zbędnych, przeterminowanych książek, przenoszę wszystkie stopy pod biurko. Nogi to chyba będę teraz trzymała na lampie!

Obok wieży z Chmielewskiej (nadal mnie śmieszy), wieżowiec z jej następczyń, latarnia morska z debutantek i papierowa ściana płaczu z jeszcze niewydanych kandydatek na noblistki. Świat dzieli się już tylko na analfabetów i tych, którzy piszą. Najmłodsza autorka ma dwanaście lat.

Parzę kawę. Niewiarygodna cisza. Szefowie działów są na nieszczęsnym kolegium, a od wejścia do gabinetu szeficy, gdy trwa nasiadówka, gorsze jest tylko harakiri. Cała reszta wyrobników, korzystając z okazji, przyjdzie później.

Przecieram klawiaturę i...

„Gwiazdy piszą”.

No dobrze, ale gdzie ich książki? Zapadły się pod ziemię, czy co? Przecież była ich cała siatka!

Pikanie esemesa. To Patryk. „MAMO PSZYJADE DO CIEBIE PO FORSE BO ZGUBILEM TE DWIE DYHY”. Ręce opadają. I wcale nie jestem przekonana, że to prawda. Więcej – kłamie jak z nut! Poprzednio, gdy zgubił pieniądze, czułam od niego jakieś piwko.

Odpowiem mu, że nie mam, że nie wzięłam portfela, każdy może zapomnieć portfela. I wysyłam: „CZY JA JESTEM MENNICA PANSTWOWA? TO PRZYJEDZ”.

„Gwiazdy piszą”.

Hmmm... I o czym one tak piszą? Nie wystarcza im film, teatr, telewizja?

Ale najpierw łyk kawy. Coś gorzki ten łyk, gdzieś w szafce musi być cukier... Stop! Od wczoraj używam przecież słodzika, wrzuciłam go gdzieś do torebki.

O rany, czego w niej nie ma?!

Żurek w proszku, nożyczki, nawet posążek Buddy, przywieziony przez jedną z niedoszłych teściowych z mitingu farmaceutycznego w Chorwacji. Brakuje tylko samej teściowej!

Gdybym z tą torebką wylądowała na bezludnej wyspie, przetrwałabym całe wieki. A kupiłam ją tylko dlatego, że wyglądała na taką, w której się nic nie zmieści.

Cholera, tego klipsa szukam już drugi miesiąc, od Sylwestra.

Jeśli to prawda, że cały nowy rok będzie taki jak Sylwester, to spokojnie mogę teraz wejść na kolegium do naczelnicy, przerywając jej monolog o nudzie i nieszczęściu. Tak kosztownej imprezy nie życzę nawet tej cimbri, która mieszka nade mną i regularnie o trzeciej w nocy wpada na pomysł przemeblowania salonu. Co mnie podkuśliło, by pójść na tę sylwestrową babską popijawę?

Tylko sobie wyobraźcie: przy stole trzy i pół sfrustrowanej dziennikarki, bo ja to najwyżej pół. Wdowa, rozwódka, panienka i mężatka. Tak nieszczęśliwa, że spadła nad ranem pod ten stół ze szkłem ściągniętym wraz z obrusem. To się przecież nie mogło udać!

Ojej, niebawem południe. „Gwiazdy piszą”.

No trudno, jeśli już muszą, niech piszą. Co to tam było? Aha, Nina Andrycz. O sobie. Krystyna Janda. O sobie. Maryla Rodowicz. O sobie.

„Gwiazdy piszą. Głównie o sobie”.

Pikanie esemesa. Mama. „WIESZ ZE ZOSTAWIŁAS U MNIE TORBE Z KSIĄZKAMI?”

No, teraz już wiem. Kochana mama. Nauczyła się pisać i wysyłać smsy tylko dlatego, by nie przeszkadzać mi w pracy telefonem.

„Gwiazdy piszą”.

Cholera by je wzięła, te gwiazdy! Nic nie wymyślę, bo przecież nic jeszcze dzisiaj nie jadłam! Zjadę na coś małego do francuskiej restauracji, na jakieś lekkie naleśniki, na przykład z kurkami w śmietanie. Grzyby są chyba dietetyczne? Wezmę tylko gazetę. Albo nie, bo się rozproszę. Zabiorę notesik, może coś jednak przyjdzie mi do głowy.

W windzie stoi elegancki facet w średnim wieku. No, może młodszy, tylko siwy. Niby typowy – czarny trencz, aktówka – ale coś mi w nim nie pasuje.

Jasne, soczewki! On też ma soczewki, intensywnie zielone.

Czy i moje tak widać? Miały być „nierzucające się w oczy”.

Patrzy w lustro, bo nasze windy oklejone są lustrami jak trumna dla narcyza, lecz nie na siebie. Oczywiście patrzy na mnie!

Podnoszę nos. Milimetr na sekundę, niby nic. Ten gest opracowałam już w szkole. Z podrywaczami walczę tak od siódmej klasy, gdy nagle od góry przestałam się mieścić w mundurek. Nikt nie zagada. No i może szkoda...

Zielonooki wysiada. E tam, idę na grzybki.

O psia twoja mać, Iwona!

Przemknę się dyskretnie, może mnie nie zauważy. Tylko jak, skoro w restauracji jest jedynym gościem?

– Lucynka!

– Iwonka!

– Koniecznie siadaj! – szczerzy zęby. – Tak rzadko cię widuję, jakbyśmy w ogóle razem nie pracowały!

I chwala każdemu, kto wymyślił, że dział rodzinny, którym kieruje Iwona, będzie piętro niżej. Kłębowisko zmij!

– Na szczęście pracujemy – szcziebiocę, siadając obok niej szeregowo jak w pociągu, byle tyłem do okna. Dziś nie policzy mi zmarszczek!

Iwona to rudy tapir i nieprawdopodobnie wymalowane oczy, jak u aktorek z niemego kina. A jakie samopoczucie! Musi mieć pięćdziesiątkę, ale uważa, że wszyscy się w niej kochają. Wystarczy, by kiwnęła palcem. Tylko w takim razie dlaczego nie kiwa?

– Co słychać? – pyta Iwona.

– Gwiazdy piszą... – wzdycham filozoficznie. – A u ciebie?
– Biją dzieci – odpowiada wyraźnie przejęta, pokazując mi jakieś wykresy. – Muszę skomentować sondaż na temat kar w rodzinie. Dwadzieścia dwa procent rodziców stosuje kary fizyczne, dziewiętnaście zakazuje oglądania telewizji, a osiemnaście nie pozwala wychodzić z domu. I uważam, że...

Dziennikarstwo to jednak trudny zawód. Co by nie uważała, Iwona nie ma przecież żadnych dzieci.

* * *

Za to ja mam. Mam dziecko bez górnej trójki i z okiem tak granatowym, że Iwona by się lepiej nie pomalowała. I zaraz to dziecko spiorę, zakażę telewizji, radia, wyjścia z domu i z pokoju. Nawet do ubikacji nie pozwolę mu wyjść. Niech sika do kieszeni, skoro taki waleczny!

Siedzimy przy stole jak rodzina meneli. On pobity i nie chce powiedzieć przez kogo. Ja... ja też pobita. „Gwiazdy piszą”, a ja dziś nic o nich nie napisałam. Ta żałosna stypa to moje urodziny.

– No już dobrze, dobrze. – Mama jedną ręką głaszcze jedyne wnuka, a drugą – skołtunioną po deszczu Gape. – Ważne, że żyje i nie wylądował w szpitalu!

– To tylko kwestia czasu – syczę, wpatrując się w apetyczny kawałek tortu, którego nie mogę ruszyć.

Nie żebym nie miała ochoty. Przeciwnie, najchętniej pożarłabym go w całości. Ale wobec Pata muszę być konsekwentna na całej linii, a nie dalej jak wczoraj nieopatrznie wygłosiłam hymn na cześć odchudzania się i demonstracyjnie wysypałam do klozetu kilo cukru. Zapomniawszy, że odchudzać mam się tylko ja, a on dalej będzie słodził cztery łyżeczki na kubek.

– Patryk, może jednak zadzwonimy na policję? W końcu od tego jest! – Mama nie daje za wygraną.

– Litości!!! – jęczy moje pokancerowane dziecko. – Zrozumcie, że jak zadzwonimy, na tym osiedlu nie ma dla mnie zmiłuj!

– Czego nie ma? – Mama się jednak starzeje.

– Niczego – wzdycha Pat, mściwie zagryzając wargi. – Sam to załatwię!

– Ani mi się waż! – Rzucam mu spojrzenie, jakim obdarza mnie naczelna, gdy jej się nie podoba mój artykuł.

I co? Nic! Kompletnie nic. Nie działa.

Ja, obrzucona takim wzrokiem, biegnę do łazienki chlipać, a po Patryku spływa jak... jak wiadomo po kim. Ale trudno, żeby nie był podobny do własnego ojca. Tylko dlaczego aż tak bardzo? Teraz, gdy siedzi taki skwaszony, łudzaco przypomina Franka, którego nigdy nie widział.

Tak tańczymy, jak nam zagrają geny, myślę, spoglądając z zadowoleniem na niewyglądającą na swój wiek mamę.

A zresztą, z dwojga złego już chyba lepiej, żeby po Pacie spływało, niż gdyby miał z płaczem wybiegać do łazienki. W końcu jest facetem.

– Jutro raczej nie pójdziesz do szkoły – mówi mama, dokładając mu tortu.

– Masz rację, babciu. – Pat wyraźnie się odpręża.

No, tego już za wiele!

– Pewnie, niech nie idzie! – krzyczę na cały koszmarny dzień i wszystkie gwiazdy, które piszą. – Niech w ogóle już nie chodzi, zaoszczędzi kłopotów sobie i mnie! Ponieważ ja już nie pójde wdzięczyc się do wychowawczynie i tłumaczyć, że sześć jedynek to nieporozumienie, bo

nauczyciele tak niechlujnie wpisują stopnie do dziennika, że przynajmniej trzy z nich to wykoślawione trójki!

– Nie sześć, tylko pięć – wzdycha moje ukochane Zero.

– No widzisz? – cieszy się moja matka.

– I nieodpowiednie zachowanie! – przypominam z taką satysfakcją, jakby mnie to zachwycało.

– Naganne – poprawia Pat z rozbijającą szczerością.

– No widzisz? Tylko naganne – powtarza jak echo mama.

I nawet Gapa macha ogonem. Ręce opadają!

– Naganne jest najgorsze! – wyprowadzam ją z błędu.

– A za co ta nagana?

Ha, ciekawe, czy jej powie!

– Zaaa... pociągnięcie koleżanki za włosy – odpowiada Pat, patrząc na mnie proszalnie jak dziad pod kościołem.

Niech mu będzie, nie wydam go. W końcu to prawda. Tyle że połowiczna. Owszem, ciągnął ją za włosy, ale z kumplem, po wepchnięciu do męskiej ubikacji i po to, by wlać jej do ust co najmniej setkę wódki.

Wybłagałam zmianę „naganego” zachowania na „poprawne”, przedstawiając się dyrektorce jako mieszanek Oriany Falacci i Justyny Pochanke: po prostu najwybitniejsza i najbardziej wpływowa dziennikarka III RP. Dyskretnie dałam do zrozumienia, że jeśli wywali mi synalka ze szkoły, powęszy się medialnie tu i ówdzie, a szczególnie ówdzie. Może chociaż mają w kuchni karaluchy albo woźny pali w dyżurce, nie mówiąc o korepetycjach dawanych uczniom po lekcjach przez ich własnych nauczycieli.

Waliłam *va banque*. Ostatecznie nie wykluczam, że to liceum jest naprawdę idealne. Ale podziało, bo żyjemy w kraju, w którym prasa żywi się tylko aferami, a najciekawsze programy w telewizji to transmisje z posiedzeń komisji śledczych.

– Bardzo restrykcyjna jest ta szkoła – dziwi się moja mama. – Jak świat światem dzieci ciągną się za włosy, że hej! Mnie też kiedyś...

Z opresji ratuje nas Tymon. Nie nagle, bo czekamy na niego od godziny, ale wreszcie jest. Uśmiechnięty i słodki, wywracający wielkimi błękitnymi ślepiami.

Jak to możliwe, że mój rodzony brat dostał od natury coś, co ja muszę nadrabiać lazurowymi soczewkami? Wiekiem też bym się chętnie z nim zamieniła, ma dwadzieścia trzy lata.

Tylko studiami nie. Stosunki międzynarodowe. Nie jestem w stanie ułożyć sobie odpowiednich stosunków krajowych: z własnym synem, mężczyznami, że o sobie samej nie wspomnę, a co dopiero ogarnąć międzynarodowe!

– Widzę, że było jakieś urodzinowe mordobicie – chichocze Tymonek, przyglądając się Patowi. – Nadstawiłaś się w prezencie mamusi, żeby się odfrustrowała?

– Daj mu spokój – odzywa się mama, jakby stała się kimś innym. – Już się dziś chłopak nacierpiał.

– Do wesela się zagoi! – mówi mój braciszek, dziwnie kręcąc się przy drzwiach.

– Już nawet nie można wrócić sobie spokojnie do domu. Podeszło do niego jakichś trzech, no i widzisz – wyjaśnia mama chłodnym tonem, którego nigdy by nie użyła wobec Pata. – Tobie też nie zaszkodzi, jak będziesz bardziej uważał – rzuca z przekąsem, patrząc na Tymka spoje łba. – Łazisz nie wiadomo gdzie...

To naprawdę zadziwiające i zupełnie nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Wobec syna jest cierpka i podejrzliwa. Wnuk mógłby jej wmówić, że na Grenlandii rosną palmy!

A przecież przez całe lata Tymon był jej prawdziwym oczkiem w głowie, bałam się nawet, że wyrośnie z niego jakiś niezyciowy lalusz. Gdy wymknął się spod jej skrzydeł, jakoś po maturze, radykalnie zmieniła front. Nie żeby Tymon ją mniej obchodził, w żadnym razie. Lecz jakby wycofała się na z góry upatrzone pozycje, z których postanowiła się przyjrzeć, jak też jej beniaminek poradzi sobie na głębokiej wodzie dorosłości. Zrobiła się wobec niego szorstka i nadkrytyczna.

– Hej, siostra, jesteś gotowa na niezwykley prezent? – Tymon otwiera drzwi.

– Jeśli nie woła jeść... – usiłuję żartować, skupiona na liczeniu warstw kremu w resztkach czekoladowego cuda.

– Czasem woła – śmieje się Tymon, a podejrzenie podniecona Gapa wykonuje salto mortale i są już razem w korytarzu.

– Gapa, przestań, to nie jest twoja kolacja, one ci życzą jak najlepiej – opędza się Tymon, stając przed nami z... klatką, w której siedzą dwie obrażone papugi.

– No nie! – wzdycha mama.

I pewnie też bym tak jęknęła, gdyby nie nagła złość, że czego by Tymon nie zrobił, mama zareagowałaby podobnie. Czy ona się w ogóle słyszy?

Wydaję z siebie triumfalne:

– Cudowne papugi!

Tego nie spodziewał się nawet mój syn, który obdarza mnie najczulszym ze spojrzeń, czego z kolei za nic nie spodziewałam się ja. Przecież wszystkiemu, co się rusza, Pat najchętniej powyrywałby nogi!

– Przedstawiam wam. To są Fart i Poracha – mówi zachwycony Tymon, a ja czekam, kiedy mamusia go zgasi.

I gasi.

– Ile toto żyje? – rzuca niczym Marlon Brando, pytający swych chłopców: „Kiedy go zabijecie?”.

3.

Co za świat!

Te urodziny spędziłam jak nastolatka wychowana w domu mormonów. Z mamusią i bratem, bez kropli alkoholu, przy tortcie, którego okruszki wessałam jak odkurzacz, gdy tylko sobie poszli (czy mormoni jedzą chociaż torty?).

Nie, nie zapominam o Patryku, ale nie pasuje mi do porównania, bo nastolatka nie może mieć piętnastoletniego syna.

A jednak – poza tym, że skóra już nie jest tak jedwabista jak kiedyś (ten nowy balsam działa wręcz odwrotnie, nie będę go używać!) – czuję się tą samą dziewczynką, która na obozie w Strzyżowie zrobiła siku w kuchennym namiocie, bo nie była w stanie dobiec do latryny.

Pierwsza do draki. Śmieszą mnie głupie dowcipy. Liczę bluzki koleżankom (Gośka z działu krajowego ma siedemnaście, pewnie pożyczka od siostry). W nocy nie obchodzi mnie, że rano muszę wstać. Nie wiem, ile mam w portmonetce, poza tym, że mało. Gdybym paliła, nadal nie wyjęłabym papierosa przy mamie. Zadurzenie notorycznie myślę z zakochaniem. Snuję tak samo wielkie plany i marzenia jak w szkole, bez poprawki na drobny fakt, że lwia część z nich już spełnić się po prostu nie może.

Czytam wywiad z Kate Moss i całkiem poważnie zastanawiam się, czy aby nie pójść w jej ślady. Oglądam festiwal w Opolu i myślę, że może zaśpiewałabym coś ładnego w przyszłym roku na koncercie premier. Oślepią prawdziwymi brylantami na piegowanej szyi ciotki Uli chcę być nią, kiedy dorosnę. Jako wdowa po dyplomacie będę się tak samo ozdabiać.

Ostatnio w autobusie ktoś powiedział do mnie: „Przepraszam panią”, a ja stałam jak kolek, bo przecież ta „pani” to z pewnością nie ja!

Najdziwniejsze, że to mi wcale nie przeszkadza żyć.

Nie miewam długich depresji (nie mylić z muchami w nosie). Z obowiązków się wywiązuję (co przestanie być prawdą już jutro, gdy będzie trzeba oddać artykuł „Gwiazdy piszą”). Dziecko głodne nie chodzi (obdarte i owszem, ale samo robi sobie w portkach dziury). Nie muszę korzystać z usług psychoanalityków.

Zresztą, jak im wierzyć?! Znam pewną parę psychologów, która swoimi problemami mogłaby z powodzeniem obdzielić komplet obywateli średniej wielkości miasteczka. Lekarzu, lecz się sam! Na szczęście mieli tyle przyzwoitości, by zamiast gabinetu z pluszową kanapką otworzyć szkołę francuskiego.

Zatem to wszystko istnieć mi nie przeszkadza, ale – czy pomaga?

Gdy zakładałam w banku lokatę (niestety, musiałam ją niemal natychmiast spieniężyć), sprofilowano moją osobowość. Wyćwiczony osiłek w garniturze postawił na mnie krzyżyk przy typie „inwestor umiarkowanie aktywny”. No właśnie. Może jednak zbyt umiarkowanie?

Może to, co wydaje mi się życiem, wcale nim być nie musi, a nawet, o zgrozo, nie jest? Od tej dziewczynki z obozu w Strzyżowie, która nasikała do namiotu, coś mnie jednak różni. W przeciwieństwie do niej wiem, jak będą wyglądały moje najbliższe dni, tygodnie, a może nawet lata.

I nie robię nic, by nie wiedzieć. By sprowokować jakieś niespodzianki, niezbędne w życiu jak marchewka w rosole, jeśli w ogóle to wszystko ma mieć jakiś smak.

Juz w marcu Wielkanoc, w tym roku wcześniejsza. Przyjedzie z Amsterdamu ciotka Ula z workiem tych samych pięćdziesięciu rodzinnych anegdot.

– Kochanie, nie możesz pamiętać, jak myłam twoje stópki w filizance, taka byłaś

maleńka! – powie.

W kwietniu, po zimie, trzeba się będzie rozebrać, więc klops, bo co na siebie włożyć?

W maju urwanie głowy: zamykamy konkurs na kobiecą powieść roku. Wygra podobna do poprzedniej i następnej. Czytelniczki są niereformowalne jak nasza służba zdrowia i takie ich prawo.

Czerwiec należy do Pata: jakim kopniakiem przepchnąć go do następnej klasy?

Lipiec to wzdychanie do urlopu, a sierpień skończy się w Grecji, Turcji lub na wymarzonej Majorce jakąś erotyczną katastrofą.

We wrześniu będę próbowała zapomnieć o kolejnym Kemal lub Christophosie.

W październiku sklepy zaczną się dekorować na Święta, a ja będę odliczać dni do końca roku, by znów rozpocząć „ten lepszy”.

Listopad to chwila zadumy: „Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz...” oraz specjalna opieka nad mamą, która nad swym życiem (a przy okazji moim i Tymonka) będzie rozpaczać cały miesiąc.

I proszę, znowu grudzień! Znow Boże Narodzenie i znow w telewizji „Pożegnalny walc”. Vivien Leigh rzuca się pod samochód na moście Waterloo, a ja padam na łóżko, tonąc we łzach.

Tylko że ona wciąż piękna i młoda, a ja znowu starsza o dwanaście miesięcy!

Wygrzebuję się z pościeli i o mało nie rozbijam sobie nosa o... co to, u diabła, jest? A, prawda, od wczoraj mieszkają z nami papugi. Ale kto przykrył je moim najlepszym żakietem? Pytanie retoryczne.

Biorę kłatkę i skradam się do pokoju Patryka. Jeśli jeszcze raz ruszy coś z mojej szafy, zrobię mu z tyłka ptaszarnię!

– Posłuchaj! – zaczynam.

Ale w pokoju pusto.

„Jednak poszłem do szkoły”, czytam z kartki na jego kanapie i nie mogę się nadziwić. Od kiedy to ma zwyczaj się tłumaczyć? I to z czego? Z pójścia do szkoły, do której dziś, gdy zamiast twarzy ma arbuza, akurat bym go nie popędziła?

W otumanieniu przyglądam się równie ogłupiałym papugom. Jedna patrzy na mnie obojętnie jak na stare krzesło. To z pewnością Fart. Druga, z nastroszonym żółtym czubkiem, zerka zachęcająco, a nawet z sympatią. Nie musi się nawet przedstawiać. To na pewno Poracha.

Wychowawcza.

* * *

Cholera, która to już taksówka w tym tygodniu? Czy to możliwe, by tramwaj co rano przyjeżdżał o chwilę wcześniej? Dziś nawet nie widziałam, jak znika. Może dlatego, że przez te turkusowe soczewki w ogóle coś słabiej widzę? No, ale przynajmniej wyglądam...

Moszczę się przy biurku. Komputer. Zaraz umrę. „Gwiazdy piszą”. A ja o nich nie, bo właśnie gdy mam zacząć, pojawia się nade mną rozgorączkowany Kuba.

– Kurde, co to znaczy, ta autarkia? – pyta, spocony z emocji po pierwszym spotkaniu z Władkiem, naszym bogiem programowym. – Autarkia i autarkiczny! Władek powtarzał to jak nakrecony i wpisał mi do artykułu!

Patrzę na niego z przyjemnością. Kuba jest bardzo udanym połączeniem Travolty i Johnny’ego Deppa. I to jest zapewne rozwiązanie tajemnicy nagłego przyjęcia go do pracy. Dużo można powiedzieć o naczelniej, ale nie, że jest ślepa. O dodatkową głowę błagałam od miesięcy, ale jakoś żadna z zaprotegowanych przeze mnie koleżanek nie przypadła jej do gustu.

Kuba, trzydziestolatek, nie jest z wykształcenia dziennikarzem, lecz działa natychmiast i z miną zawodowego pokerzysty wchłania jak gąbka obowiązujące reguły gry. I choć zupełnie nie wie, co go tu czeka, będą z niego ludzie.

– Więc?!

Jaki jest śliczny, gdy się złości...

– Lucynka, co cię tak zjadło?

Niechętnie wydobywam się z zapatrzenia i tłumaczę:

– Nikt nie wie, o co chodzi z tą autarkią ani co to właściwie znaczy. Ale gdy Władek trzy razy wpisze ci ją między wersy, za czwartym zrobisz to sam – uśmiecham się do swego nowego pracownika.

– Jak to? I gdzie miałbym ją wpisać, skoro nawet nie wiem, co oznacza?

– Nieistotne!

Kuba z wrażenia przysiada na poręczy krzesła. Tak blisko, że czuję, jak ładnie pachnie. Staromodna, szlachetna elegancja... Vetiver? Wącham i wyjaśniam.

– Chodzi o regulę podwójnego Nelsona.

Wiem, że nazwa jest błędna, ale moja; łączy się z jednym z odcinków kapitana Klossa, w którym kochałam się namiętnie przez całe dzieciństwo. W tym wypadku podwójny Nelson oznacza pewną woltę, którą wykonujemy, by móc dalej istnieć.

– Posłuchaj. Autarkia, wpisana ci do tekstu przez Władka, wcale nie musi ukazać się w druku. Najpierw przeczyta o niej zadowolona naczelna, a potem zawsze się okazuje, że artykuł, złożony ze zdjęciami, wymaga jakiegoś skrótu. I wtedy wyrzucasz z niego wszystko, co nie wyszło od ciebie.

– Czyli połowę – śmieje się Kuba.

– Wywalasz spokojnie „autarkię”, „knowania”, czy nazwanie kogoś idiotą, co Władek uwielbia robić, byle tylko podlizać się szeficy.

– Przecież to ja będę podpisywany pod tekstem! – dziwi się Kuba.

– Właśnie dlatego Władek chętnie wpisuje, co tylko uważa za stosowne.

Z rozdziawioną gębą, okoloną ciemnym zarostem, Kuba prezentuje się lepiej niż Depp. Mimo to chcę go uspokoić.

– Oni na szczęście już potem naszych wyciętych nie czytają. Tylko pamiętaj, że nie możesz zmienić tytułu ani nagłówka, bo za bardzo widać.

Opowiadał mi o mojej recenzji z kilku kiepskich nowych powieści. Dałam jej tytuł „Nie wszystko złoto...”, a została wydrukowana pod hasłem „Polscy pisarze na stos!”. Na Nowym Świecie spotkała mnie potem jedna pisarka, splunęła w buty i warknęła: „Morderczyni!”.

– Gdy zmienią ci tytuł, bitwa jest przegrana – kończę, bo aż mnie trzęsie na samo wspomnienie.

– Ale wojna nie! – puentuje Kuba i już pędzi w stronę swego biurka, choć zapach, jak to dobry zapach, pozostaje.

Prócz nas, na dział kultury składają się jeszcze Maciek i Hania.

On, trudny człowiek o wielkiej łatwości pisania na każdy temat, mimo czterdziestki na karku jest dużym, upartym dzieckiem o betonowych poglądach i robotniczo-chłopskim sposobie ubierania się. Ale niech paradyguje choćby i w sutannie, bo bez niego nie dałabym sobie rady. Ona, eteryczna blondynka, właśnie skończyła studia i jest na stażu, co oznacza, że orze jak koń za psie pieniądze.

Hanię polubiłam na tyle, że już kilkakrotnie chciałam zakrzyknąć: „Dziewczyno, co ty tutaj robisz? Uciekaj, ile sił w nogach, nim ci je tak spętają, że będziesz tańczyć jak zagra ci naczelna, byle tylko mieć etat i móc wziąć kredyt.”

Ale ona zapytałaby przecież od razu, co w takim razie robię tu ja. I musiałabym jej odpowiedzieć, że nie wiem, albo że ja to tak naprawdę ktoś zupełnie inny. Czy kierownicza

może tak schizofrenicznie rozmawiać ze stażystką?

– Mam! – Ryk Kuby znad komputera słyhać chyba w całej redakcji. – Autarkia: samowystarczalność gospodarcza narodu, państwa, grupy państw; polityka zmierzająca do samowystarczalności gospodarczej. Autarkia to bieda. Niechęć do wymiany międzynarodowej – przepływu towarów, usług, pieniędzy – jest fobią antyglobalistów. Autarkia skazuje na peryferyzację i degradację i z reguły powoduje wielkie zadłużenie.

– Naprawdę? – jestem zdruzgotana.

Przecież mama zawsze mi mówiła, że powinnam być samowystarczalna. A ja dlatego mam długi!

– Uwaga – rzuca nagle Maciek.

Nie muszę nawet podnosić głowy. Vetiver miesza się już w powietrzu z Chanel N°5, a chwilowe odprężenie z narastającą grozą. Bo oto i ona. Naczelną. Szefica. Halina Cesarska we własnej osobie. Kobieta, przy której Meryl Streep z „Diabeł ubiera się u Prady” jest ledwie cieniem cienia, podróbą podróby.

Przepływa przez redakcję jak wszystkie towary, usługi i pieniądze razem wzięte. Nie skręca do żadnego z działów. Przez szklane półścianki widać nas lepiej niż byka na corridzie.

Na wszelki wypadek otwieram na biurku trzy książki i szybko chowam puderniczkę. I całe szczęście, bo Cesarska robi nagły zwrot i kieruje się prosto w moją stronę.

– Cześć, Lucyna – krzywi się nieszczercze, oślepiając mnie doskonale wybielonymi zębami. – Wiesz, że jeszcze tylko raz wolno ci w tym roku nie być na kolegium?

Sucz. Dopiero mamy luty!

– Ale... bo, wyobraź sobie, że...

Lecz szefica nie zamierza słuchać. Zresztą o czym? Prześwietla jak rentgen moje biurko, tak samo jak moje myśli.

– Podobno piszesz w tym tygodniu interesujący tekst. Grażyna jest bardzo ciekawa, czy podobają ci się jej opowiadania. Polecasz?

Grażyna, Nina, Krystyna... Literatki!

– Właśnie tu... są otwarte... – Wskazuję na książki i z przerażeniem stwierdzam, że wszystkie trzy leżą do góry nogami!

– Widzę, że nicujesz je na wszystkie strony – mówi szefowa z kpina, którą można by przeciąć tętnicę.

I staje się cud. Odwraca się do Kuby.

– Witam pana. Jak się pan u nas czuje? Mam nadzieję, że Lucynka się panem zaopiekowała.

Jaka słodka i dystygowana! Alexis Carrington mogłaby jej czyścić buty. Kuba otwiera usta, lecz naczelną jest już w wyjściu

– Jak zwykle liczę na świetny artykuł – rzuca przez ramię.

Jak zwykle dostanę zawału.

– Myślę, że znajdę czas, by go przejrzeć o dziewiątej rano – wzdycha, niby do szkła, którym obudowała nas w celach szpiegowskich.

Jutro o dziewiątej rano?! Ratunku, pomyliła dni, miało być na pojutrze! Ale jak jej to powiedzieć, skoro przecież jest nieomylna? Zresztą już jej nie widać. Rozpłynęła się jak sen. Tylko koszmar pozostał.

– Jesteście na ty? – dziwi się Kuba.

– Tak. I módl się codziennie, żeby i tobie tego nie zaproponowała. Wtedy przegrasz już nie bitwę, ale całą wojnę.

* * *

I znowu „Gwiazdy piszą”.

Ale z nowego numeru tygodnika „Wzdłuż” nikt się o tym nie dowie, bo do wieczora nie udało mi się sklecić ani zdania. Nie miałam kiedy!

Bycie kierownikiem działu, nawet takim jak u nas, który nie decyduje o niczym i tylko organizuje pracę, wiąże się z dwiema żabami, które codziennie łykam, cierpiąc na nieustanną zgagę.

Muszę (a przynajmniej powinnam) przychodzić pierwsza i wyjść jako ostatnia oraz reprezentować dział wobec wszystkich na zewnątrz.

I żebym jeszcze od czasu do czasu mogła to czynić na gali rozdania Oscarów czy festiwalach w Cannes lub w Wenecji. Albo przynajmniej na jakimś wykwintnym jublu w Sheratonie, gdzie można zjeść za darmo sushi i poudawać, że jest się tym, kim się nie jest.

Niestety, od Cannes i Wenecji są korespondenci, a na jubile w Sheratonie chodzi sama naczelna.

Ja mogę, a raczej muszę, uczestniczyć w konferencjach na temat roli kultury we współczesnym świecie (śpi się bez chloroformu) lub prowadzić spotkania z zachwyconymi sobą autorkami, dla których Maria Janion i Simone de Beauvoir są przynajmniej lekko niedorozwinięte.

Ale to jeszcze małe miki wobec reprezentacji przez telefon. Prawdziwy horror!

Raz nawet, już piekielnie zmęczona, tak właśnie powiedziałam jednej sławnej pisarce, która łudziła się, że jestem władna obiecać jej wydrukowanie artykułu.

– To dla mnie prawdziwy horror móc z panią rozmawiać!

Chodziło, rzecz jasna, o honor, ale stary doktor Freud z pewnością by się rozpromienił.

Telefony dzwonią od rana do wieczora. I na nic pomoc Maćka, Kuby albo Hani. Wszyscy chcą rozmawiać z kierownikiem.

O czym? O tym, że w Ciechocinku zorganizowano wystawę miejscowej artystki, malującej diabły na szkle. Że w Żywcu odbędzie się koncert chóru gospodyń, który w Czeskim Cieszynie zdobył wyróżnienie. Że pod karą śmierci trzeba opisać wojewódzki konkurs pantomimy, zwanej tam pieszczotliwie „pantonimą”.

Nie mam nic przeciwko amatorom ani burzliwie kwitnącej kulturze w małych miejscowościach, lecz nie jesteśmy na to odpowiednim miejscem. Gdyby do Ciechocinka przybyła Jennifer Lopez, proszę bardzo! Choć z wywiadu nici, bo przyjechałaby pewnie z chorym gardłem: nikt zdrowy z solanek nie korzysta.

Oszustwa nie wchodzą w rachubę. Kiedyś zadzwoniła właścicielka pewnej tancbudy o ambicjach paryskiej Olimpii i Kuba skłamał, że mnie nie ma, choć właśnie obok, po odebraniu tuzina telefonów, usiłowałam zjeść chociaż jogurt. I ta pani jakimś cudem dodzwoniła się do naczelnej, którą oczywiście zna, i jeszcze w dodatku ją zastała.

Po chwili asystentka przybiegła sprawdzić, czy rzeczywiście mnie nie ma, i już siedziałam na dywaniku, by odpowiedzieć na pytanie, czy aby praca kierowniczką nie jest dla mnie za ciężka.

Oczywiście, że jest, dla każdego by była! Ale nawet pomijając drobny fakt, że awansu tu się nie odmawia, bo Halina Cesarska nie proponuje, tylko nakazuje, inaczej miałabym o połowę mniejszą pensję.

„Gwiazdy piszą”, bo lubią. A ja, żebym nie wiem jak lubiła, nie mam żadnych szans na pisanie, bo odbieram telefony. No dobrze, nie jestem najlepiej zorganizowaną osobą na świecie, ale kto jest?

Mama, profesorka w Wyższej Szkole Twórczej, wzdycha od trzydziestu lat: „Obyś cudze

dzieci uczył”. Ja od kilku lat złorzeczę: „Obyś został dziennikarzem, zwłaszcza od kultury!” Ona przestrzegala mnie przed belferstwem, bo i taki pomysł miałam po polonistyce, a ja zaklinałam Tymona, by nie robił głupstw i nie szedł na dziennikarstwo, choć prawie składał papiery. Co prawda, po stosunkach międzynarodowych też może pismaczyć, ale to zawsze stosunki!

Coś w tym jest, że rodzice z reguły nie chcą, by ich dzieci robiły to samo co oni.

Nawet jeśli aktorka nie chce mieć córki aktorki, bo boi się młodszej konkurencji, to dlaczego odradza i synowi? Lekarze z przerażeniem przyjmują do wiadomości, że ich potomstwo wybrało medycynę. Księgowa łapie się za głowę na myśl, że jej oszałamiające genetyczne przedłużenie płci żeńskiej, zamiast widoków na Hollywood, ma szansę na podobne biurko... To bardzo ciężki kawałek chleba, mówią zgodnym chórem. Ale czy naprawdę wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma?

Tylko Patryka ten problem nie dotyczy, bo interesuje go głównie piłka nożna i to w wersji hardcore na własnym podwórku. Zresztą, najpierw musiałby utłuc maturę, a prędzej chyba przyjdę do redakcji bez majtek, niż on dostanie jakiegokolwiek świadectwo.

Na razie mój ukochany syn śpi. Rozumiem, że jak najszybciej chce przespać do jutra, bo mój kolega przywiezie wreszcie naprawiony laptop.

To też hardcore. Sprzęt był tak zawirusowany pornografią, że jeszcze moment, a gołe panienki wyskakiwałyby z ekranu prosto na jego kanapę! A twierdził, że ogląda tylko „Władcę pierścieni”.

Czy to przez brak laptopa Pat tak się ostatnio dziwnie zachowuje? Zobaczymy, co będzie dalej, ponieważ mojego wyremontowanego cuda nie pozwolę mu tknąć nawet czubkiem palca u stopy!

Już spał, gdy wróciłam, choć była dopiero dziesiąta wieczorem. Dziś nie zamieniłam z nim ani słowa.

Dziś? Od pięciu miesięcy, czyli od kiedy jestem kierowniczką, w domu prawie nie mieszkam.

Lecz to się teraz zmieni. Bo do redakcji nie pójdę, w majtkach ani bez! Nic przecież nie wskazuje, bym do jutra rana miała gotowy tekst.

Siedzę w pościeli, obstawiona książkami, z butelką chilijskiego wina i laptopem, który mi łaskawie wypożyczono z pracy. Żeby tylko jeszcze umiała to cholerstwo uruchomić!

– Paaatryyyk! – drę się jak obłąkana na pół osiedla. – Pomoocyyy!

4.

Siódma rano. O dziwo słońce i ptaszki mimo lutego, a ja nienawidzę!

Nienawidzę naczelnej i tygodnika „Wzdłuż”. Nienawidzę siebie samej za to, że nie jestem asertywna i nie przypomniałam jej, że termin upływa dopiero jutro. A jak serdecznie nienawidzę gwiazd, które piszą!

Nienawidzę też chilijskiego wina i mamy, która właśnie wkłada klucz do zamka, żeby mi przynieść kawkę z pianką i świeży rogalik. Nienawidzę kretyńsko zadowolonej Gapy, rozglądającej się w poszukiwaniu papużek, i nienawidzę dzbanka, w którym przez dwie godziny nie wystygnie znieawidzona kawa.

A za chwilę znieawidzę lustro, bo jak mogę wyglądać po nieprzespanej nocy?

– Nic do mnie nie mów – oświadczam mamie, wstrząśniętej widokiem moich zwłok z ręką bojowo zaciśniętą na pustej butelce po winie.

– Nawet nie zamierzam – mówi grobowym szeptem. – Tymon nie wrócił na noc.

– Ale na pewno dzwonił?

– Dzwonił.

– Więc nie wiem, o co ci chodzi.

– O nic. – Nie stawia dzbanka, lecz prawie rzuca nim o stół i okręca się na pięcie, demonstracyjnie trzaskając drzwiami.

Tośmy sobie pogadały...

Zamykam oczy, choćby na moment, ale pieką mnie tak, że muszę je otworzyć. I co widzę? Gapa właśnie kończy mój rogalik. No to mamusia nieźle się wściekła, skoro wyszła bez swojego cienia!

– Może kawy? – pytam uprzejmie Gapy.

Ale nie chce, więc wstaję i ją wypuszczam.

No dobrze, tekst gotowy i wysłany, lecz jakim kosztem? Utraty zmysłów? W końcu spytałam psa, czy chce kawy!

A Tymon pewnie przebalował noc z Cycopchełką.

Miła dziewczyna, a ksywka stąd, że szersza niż wyższa. Na jej biurku można by postawić komplet dwudziestu tomów nowej encyklopedii powszechnej.

Zresztą, o co chodzi? Tymon ma dwadzieścia trzy lata; w jego wieku ja byłam w ciąży, a mama – już prowadziła mnie do przedszkola!

O nie, błagam, tylko żadnego światła w łazience!

Kur... Jakiś facet by się tu jednak czasem przydał. Zepsute drzwiczki od szafki z kosmetykami tną mnie po czole już trzeci rok! I konia z rządem temu, kto wynajdzie taki kosmetyk, który by mi w tym momencie przywrócił choćby pozory wyglądu.

Mimo cudownego wynalazku poczty elektronicznej muszę zaraz jechać do firmy, bo naczelna lubi mieć autora na podorędziu, jak powiada.

Że nie mogę sobie przypomnieć, jakie mam nazwisko, to pół biedy, gdzieś przecież leży mój dowód. Gorzej, że telefon mojej korporacji taksówkowej milczy jak zaklęty. Skąd wziąć numer po inną taksówkę? Mama już wyszła, Pata nie dobudzę – zapowiedział, że ma dziś na jedenastą. Kto ze znajomych wstaje o siódmej rano? Desperacko chwytam za komórkę i przeglądam spis kontaktów.

Oczywiście, Teresa!

Zdradziła mi kiedyś, że potrzebuje półtorej godziny, by się wytapetować, i dlatego wstaje

bladym świtem. Nie odzywałam się do niej całe wieki. No i dobrze, nareszcie mam powód!
Weiskam klawisz połączenia.

- Lucyna? – ktoś chrypi po pięciu sygnałach.
- Tak, a... skąd wiesz, że to ja?
- No przecież cię widzę!
- Jak to? – krztuszę się z wrażenia, bo nie zdążyłam się jeszcze uczesać.
- Zwyczajnie, wyświetliło mi się twoje imię.

Jasne! „Gwiazdy piszą” – po moim mózgu!

– Słuchaj, Teresa, czy znasz może numer po taksówkę? Jakąkolwiek, może być bagażowa!

- Przeprowadzasz się? – pyta zdziwiona.
- Skądże znowu!
- Wybacz, jestem taka zaspana...
- To już się nie tapetujesz od bladego świtu?
- Proszę? Nic nie rozumiem. Przeprowadzasz się, czy tapetujesz? I dlaczego się do mnie

nie odzywasz?

- Właśnie się odzywam! Więc znasz jakiś numer?
 - A co u twojej mamy? Żyje? Tak bardzo ją zawsze lubiłam!
 - Żyje, ale umrze, jeśli nie podasz mi tego numeru!
 - Ojej, wykręć na przykład sześć szóstek.
 - Nie wiedziałam, że ci się tak wyostrzył dowcip! – warczę wściekła i się wyłączam.
- Sześć szóstek!
- Sama sobie wykręć – złorzeczę, wciskając bez sensu sześć szóstek.
 - Taksóweczki na życzenie, dzień dobry – odzywa się miła pani jakby nigdy nic.

* * *

– Naczelnia? – dziwi się Anetka, jej osobista sekretarka, i obniża głos, jakby chciała mi wyjawiać jakiś spisek. – Będzie o dwunastej!

Anetka jest tak wystraszona, że właściwie jej nie ma, i co chwilę zerka w stronę pustego gabinetu, podskakując na krześle jak pchła na każdy dźwięk telefonu i pisk faksu.

Młoda, ładna, trzy języki i co? Kim będzie po roku czy dwóch nieustającego filmu grozy, jaki funduje jej Cesarska, jeśli oczywiście wcześniej nie padnie na serce? Raczej, biedaczka, podetnie sobie żyły, niż uodporni się jak jej poprzedniczka Wiera.

Ta to dopiero była *gniotsa-nie-lamiotsa*, o grubej rosyjskiej skórze, z rodziców więzionych w gułagu. Wprost idealna, by znosić ciągle zmiany nastroju szeficy, jej świdrujący wzrok i apodyktyczny ton.

– Wiera! – powiedziała jej kiedyś w przelocie Cesarska. – Zrób coś z włosami! Na twój widok mam ochotę popełnić samobójstwo!

Niestety, na ochotę się skończyło, a Wiera i tak wkrótce wyleciała: za próbę odgrzania flaczków zamojskich ze słoika w ekskluzywnym ekspresie do kawy.

Na pracę w tej recepcji nie zgodziłabym się, nawet gdybym miała skończyć jako listonoszka podczas zimy stulecia.

Ale mnie, jak Anetki, też dziś praktycznie nie ma. I zgrzytam zębami, bo muszę być, i to w formie, przynajmniej o dwunastej.

Na „apel poległych”, czyli poranne spotkanie z Władkiem, organizowane tylko po to, by wszyscy przychodzili do redakcji nieprzytomni, chodzimy z Maćkiem zamiennie i na szczęście jego kolej.

Pozostaje mi podjęcie heroicznej próby regeneracji, czyli zjazd na siódme piętro do

którejs z knajpek pojawiających jak grzyby po deszczu wraz z dziesiątkami firm, które zagnieździły się w biurowcu. Haczę jeszcze o kibelek i wkładam swe lazurowe soczewki. Obawiam się jednak, że nawet oczy jak dwa jeziora nie uatrakcyjnią krajobrazu po wybuchu cementowni, jaki przedstawia moja biedna twarz.

Z tego gmachu można właściwie nie wychodzić. Jest przychodnia, apteka, sklep spożywczy, kiosk ruchu, oddział poczty, kafejka internetowa. Przy wejściu ustawił się nawet czyścibut! Z tak kosmicznym fotelem, że kapitalistyczne jaśniepaństwo nie musi się schylać, by przejrzeć się w wypucowanym za pięć złotych lakierku. Naprawdę, brakuje tylko hotelu. Najlepiej takiego na godziny, co wnoszę po wygłodniałych spojrzeniach menedżerów najwyższego szczebla (bo szczeble niższe najnormalniej ordynarnie się ślinią). Władek w takim przybytku z pewnością natychmiast wykupiłby stały abonament.

No proszę, otwarto nawet salon piękności! Wyśmiewałam się z Iwony, że jako ofiara solarium wygląda już jak stara Indianka, ale gdyby tak troszkę się osmalić? Tylko ciut, żeby nie straszyc otoczenia.

Wchodzę do salonu z taką determinacją, jakby od kilku minut pod lampą zależało całe moje życie. Mam wrażenie, że dwoi mi się w oczach. Dwie dziewczyny z obsługi wyglądają jak Pamela Anderson, którą ktoś usiłował skopiować na popsutym czarno-białym ksero i dał dzieciom do pokolorowania. Tlenione blondyny, spalone jak węgiel na przeczyszczenie. Takie w hotelu na godziny miałyby dzikie wzięcie!

Mogę poczuć się przy nich niczym norweska emigrantka, uciekająca z ojczyzny przed nocą polarną, albo trzymać fason. Oczywiście wybieram to drugie.

– Jak to się mody zmieniają! – wzdycham, niby do siebie, z nonszalancją. – Jeszcze niedawno eleganckie damy chroniły się od słońca parasolką!

Po dziesięciu minutach w kabinie nadal przypominam zeszłoroczny śnieg, ale to podobno działa z opóźnieniem.

– A tipsy? – pyta mnie druga, mniej udana z Pamel.

– Ach, prawda, zapomniałam – mówię i nie wiem, dlaczego tak mówię. Tipsy wydają mi się idiotyczne.

– Co pani proponuje? – rzucam tak władczo, że sama nadredaktor Halina Cesarska nie zrobiłaby tego lepiej.

Decydujemy się na coś dyskretnego. Na dyskretny metaliczny połysk z jeszcze dyskretniejszymi różyczkami w najdyskretniejszym z różów.

Druga Pamela odbiera telefon i z niewiadomych powodów zalewa się łzami. Wygraną na loterii wykluczam. Pojawia się więc Pamela Pierwsza i bierze się do dzieła, a ja odwracam głowę, jakby zamiast wklejać sztuczne paznokcie, miała mi wrywać własne.

Zamykam oczy, niech odpoczną. Nie śpię od dwudziestu czterech godzin i może powinnam częściej skutecznieć podobne maratony? Bo jestem tak wykończona, że aż spokojna, i nie wiem, czy cokolwiek mogłoby mnie w tej chwili wyprowadzić z równowagi.

Tabletka niech-się-dzieje-co-chce działa w pełnej rozciągłości.

Jedynki Pata? Nie wszyscy muszą mieć maturę, w końcu do układania płyt chodnikowych też potrzebni są ludzie. Grunt, że nie épa. Noc Tymona, bodaj pierwsza poza domem? Cycopchelka ze swoją figurą będzie mieć łatwy poród, a mama wspominała kiedyś, że chciałaby jeszcze wnuczkę. „Gwiazdy piszą”? To miło z ich strony, ale jeszcze powinny rysować. Zdecydowanie za mało rysują! Naczelnej się nie spodoba artykuł? Jej problem, ja zrobiłam, co mogłam. I czy tygodnik „Wzdłuż” jest w ogóle pępkiem świata? Wystarczy wejść do Empiku, by się przekonać, że kolorowych tygodników jest na pęczki. Ze swoim dorobkiem, nazwiskiem i kontaktami znajdę dziesięć takich prac!

Jest mi lekko, jakbym od miesięcy jadła tylko dmuchany ryż, popijając wodą niegazowaną.

Jak to było w życzeniach Tymonka? Mężczyzny, milionów i wielkiej miłości?

Byczkowaty seksi taksówkarz, który wiózł mnie dziś do pracy, omal nie przejechał staruszki, tak zezował w lusterko. Wystarczyłoby jedno moje słowo, aby zmienił kurs. Co do milionów, to Michael Jackson je miał, i co? Odpadł z życia, zanim odpadł mu nos. Jeśli chodzi o wielką miłość, to...

– Dziękuję. – Pamela Pierwsza nie pozwala mi dłużej kontemplować przyjaznego świata.

Rzeczywistość, do której wracam, jest rodem z Wampirlandii. Moje palce są dwa razy dłuższe i wieńczą je ostro czerwone noże typu szpon z białymi motylami w kropeczki i kreseczki. „Oszalałaś, wariatko?!”, ciśnie mi się na usta.

I mówię (tonem Haliny Cesarskiej):

– Dziękuję. Proszę o rachunek.

No i wszystko jasne. Przynajmniej jeśli chodzi o wielką miłość. Dla wampirzycy, jaką się stałam, obiekt tej miłości musi mieć dużo słodkiej krwi. Najlepiej – błękitnej!

* * *

Do południa jeszcze godzina. Czerwone szpony ocuciły mnie z letargu, ale kawa i ciasteczko, oczywiście dietetyczne, są niezbędne.

Na wszelki wypadek decyduję się na „Hiszpankę”. Jest co prawda najdroższa, ale za to jako jedyna z kanapek nie jest na widoku i ma zamknięte drzwi. Doszły mnie słuchy, że naczelna wyraziła pogląd, jakobyśmy – zamiast pracować – spędzali beztrosko czas na siódmym piętrze.

Jej zdaniem ta praca wcale nie polega na myśleniu, które czasem łatwiej przychodzi przy kawiarnianym stoliku. Masz tłuc w komputer, a do tego nie trzeba opuszczać redakcji. O jedenastej przychodzi sprzedawca zdechłych kanapek z czymś, co udaje ser i salami, do kawy jest automat i siedź sobie w boksie jak jakiś bokser!

– Redakcja to fabryka, a wasze teksty to produkty. Przynosicie do mnie gotowy produkt, do wytworzenia którego daję wam odpowiednie warunki, i ja go kupuję lub nie. Jeśli ktoś się czuje poetą i musi szukać natchnienia, droga wolna, nikogo nie zatrzymuję – przypomina nasza cesarzowa na każdym kolegium.

I właśnie dlatego, że nie czuję się żadnym produktem i uważam, że wcale takowch nie wytwarzam, odradzałam Tymonowi dziennikarstwo. Jest zbyt zdolny i ciekawy świata, by osiąść w fabryce. Dziennikarstwo to zawód dla tych, którzy mają łatwość pisania i głowę jak przelotowa arteria. Nic więcej nie potrzeba, a wręcz przeszkadza. Zadany temat, jak Alfa Romeo, wjeżdża ci taką arterią z lewej skroni i na pełnym gazie przelatuje przez zwoje mózgowy, by wylecieć prawą (mańkuci mają zapewne odwrotnie).

Po kilku latach te zwoje są już tak wytarte jak moje. Musiałabym się dobrze skupić, by sobie przypomnieć, o czym pisałam przed dwoma tygodniami. Nie zostaje nawet żaden osad. Nic, co tak naprawdę by cię wzbogacało. Opowieści o tym, że praca na niwie kultury rozwija kulturalnie, są jak ta anegdota o łakomczuchu, który zatrudnił się w cukierni.

Usiłuję wsunąć swe nieszczęsne dłonie do kieszeni, których nie mam, bo do naczelnej nie będę szła w dżinsach, więc włożyłam sukienkę. Niech wie, że ma do czynienia z kobietą elegancką!

W „Hiszpance” siedzą tylko jakieś dwie dziumdzie w spódniczkach zdecydowanie krótszych niż bagaż ich doświadczeń. Kiedyś tak się nosiły podstarzałe panienki lekkich obyczajów, obecnie w ten sposób poprawiają swe samopoczucie różne *bizneslumen*. Ameryka! Po amerykańsku załatwiają także swoje interesy: na stole woda, co prawda „Evian” (równowartość dwóch kaw), ale tylko ona.

Ciastek dietetycznych nie ma. A tych, które natychmiast pogrubiają, sympatyczna kelnerka „nie poleca” i raczej nie dlatego, że zbyt kaloryczne. Kończy się na cappuccino i croissantcie.

Ale jak go zjeść tymi szponami? Z masochistyczną satysfakcją stwierdzam, że dziumdzie też mają sztuczne pazury. Nie ma jak presja porównać: ani się obejrzyysz, wyglądasz jak twoje koleżanki. Żeby się nie wyróżniać!

To, co jeszcze niedawno byłoby uznane za twój indywidualny styl, dziś grozi ośmieszeniem. Lecz gdy w tym małpowaniu jesteś bezkrytyczna i wkładasz dopasowaną w talii bluzkę opinającą o te dwa ciastka w brzuchu za dużo, ośmieszasz się i tak.

„Pani jest taka klasyczna”, usłyszałam od naczelnej, gdy starałam się o pracę.

Czego by przez to nie rozumiała, a nie wierzę, by wyrażała bezinteresowny podziw, po prostu wiem, co i jak mam zatuszować, nawet jeśli jest tego niewiele. Przy dużym nosie (piękny, grecki, faktycznie klasyczny) i wysokim czole (też wysklepionym jak z antycznej rzeźby) nie ukleję sobie hipermodnej asymetrycznej fryzurki.

Dziumdzie wychodzą, niemal zderzając się w drzwiach z jakimś siwym elegantem, który zajmuje stolik na drugim końcu knajpki.

Ale nagle mnie spostrzega i wstaje! Czyżby zamierzał się przysiąść?! Jak ma mi zamiar udowodnić, że jest zmuszony, bo nie ma wolnych miejsc, skoro jesteśmy tu sami? Na wszelki wypadek odstrasząco podnoszę nos. Jak zwykle, milimetr na sekundę, niby nic.

Poskutkowało. Tylko usiadł trochę bliżej. Wygląda na to, że chce sobie na mnie popatrzeć. Niech mu będzie. Mam nadzieję, że solarium już zadziałało.

Bystra męska twarz, którą już gdzieś widziałam...

Podnosi na mnie wzrok i nawet nie udaje, że patrzy gdzie indziej. Zresztą – gdzie? W pseudohiszpańskie makatki na ścianie? Jeśli ma taki gust, to gratuluję.

Oczy! Intensywnie zielone oczy! Ani chybi soczewki. Jesteśmy w domu: winda! To mężczyzna z windy.

Z czarnej aktówki wyjmuję gazetę. Spryciarz! Na pewno ma w niej małą dziurkę. Ja także, proszę pana, oglądałam Bonda, choć wolę inne kino. Cholera, że też nie mam żadnej gazety. Też bym się mogła dyskretnie mu poprzyglądać.

Zamawia coś, nieznacznym ruchem brody wskazując na mnie. Co to znaczy? Może:

– *Proszę podać tej pani, na co tylko ma ochotę.*

Nie, zupełnie nie wygląda na miłośnika komedii romantycznych. Raczej patrzy na mnie z troską. No oczywiście, zapomniałam, że ledwo żyję i nie da się tego ukryć. Musiał szepnąć kelnerce:

– *Proszę szybko zawołać pogotowie. Ta pani zaraz zemdleje!*

Ale w takim razie dlaczego kelnerka się do niego uśmiecha?

Już wiem! Uśmiecha się, bo Zielonooki wcale nie patrzył na mnie z żadną troską, tylko oszacował! I spytał bez pardonu:

– *Ile ona kosztuje?*

Ale uważaj, bratku, bo się przeliczysz. Puszczę cię z torbami! Podnoszę nos. Szybciej i wyżej niż zwykle. Przesadziłeś!

Kelnerka przynosi mu cappuccino i croissantta: to samo, co mam na stoliku.

Wybucham śmiechem. Zielonooki też się uśmiecha i rozkłada na stole gazetę. Wcale nie zamierza się nią zaślaniać. I przestaje zwracać na mnie uwagę. Opuszczam nos, powolutku, ale za to znacznie niżej. To ja przesadziłam.

Ale nie ma tego złego, bo gdy czyta (mam nadzieję, że informacje z giełdy, a nie kulturę), mogę mu się spokojnie przyjrzeć.

Jest młodszy, niż mi się zdawało. Czterdzieści dwa? Trzy? Siwizna pasuje mu do zielonych oczu i zdrowej cery, ogorzałej raczej na nartach niż w solarium. Nie jest może tak piękny jak George Clooney, lecz posiąść takiego Clooneya oznacza tylko prześlakane noce... Stop! To on może chcieć mnie posiąść. Znaczy, Zielonooki, nie Clooney. Ja powinnam nadal być klasyczna.

Nagle powietrze wypełnia się „Tangiem Milonga”. Nawet bym z nim zatańczyła, ale to przecież moja komórka. „Tango Milonga”, wybrane i ustawione w telefonie oczywiście przez Tymona, oznacza, że z pracy!

– Pani Lucyno – głos Anetki trzęsie się, jak gdyby właśnie uciekła z rąk porywaczy
– gdzie pani jest? Naczelną prosi!

Mimo że wybiegam z „Hiszpanki”, jakby wybuchł pożar, coś każe mi nad tym facetem przystanąć. W końcu nie zasłużył na zestaw moich głupich min.

– Mojego croissanta też pan może zjeść! – ćwierkam niczym młoda sójka i tajemniczo znikam.

Naczelną nie ma dla mnie czasu i na dodatek jest w wybornym humorze. O tekście mówi tylko, że najważniejsze są zdjęcia, czyli że z mojej krwawicy, jak dobrze pójdzie, zostanie najwyżej połowa. Po czym poprawia apaszkę i swoim zwyczajem wzdycha do ściany, czyli do Anetki:

– Będę w „Hiszpance” na lanczu. Nie przełączaj telefonów!

Nie mam się za paranoiczkę, ale wszystkie puzzle składają się w jeden obraz. To na nią czekał Zielonooki! Ciekawe, czy ta apaszka jest od niego? Jeśli tak, ma jednak świetny gust.

5.

Praca, dom. Praca, praca, dom. Praca, praca, praca, dom. Praca, praca, praca, praca – oto jak przedstawia się rytm mojego życia, w którym się miotam jak opętana tancerka samby.

Kiedy ostatnio byłam na tak zwanym mieście? Odkąd jesienią wycięli mi spod okna ostatnie drzewo, nie wiem nawet, czy już wiosna. O tym, że marzec w pełni, przypomniały mi dopiero koty, nadające na całą ulicę serię słuchowisk z cyklu „rzeź niemowląt”.

Nie mogę tylko powiedzieć, że zapomniałam o świętach: nie w tym zawodzie! Teoretycznie do Wielkanocy jeszcze dwa tygodnie (ciotka Ula zaczyna się dopytywać przez telefon, kto ją odbierze z dworca). W praktyce jestem już po świętach, i to takich, że gdy mama bąknęła coś o kurczaczkach i mazurkach, pokraśniałam z obrzydzenia jak krzywo pomalowana pisanka.

Święta oznaczają przygotowanie specjalnego, podwójnego numeru pisma w czasie przeznaczonym na wydanie zwykłego.

Z kim zje śniadanko Ewa Bem? Jakie sałatki przygotowuje Katarzyna Cichopek? Co namaluje Hanna Bakula? Potrafi przecież na każdą okazję. Jaką książkę poleca na prezent Beata Tyszkiewicz? Dla kogo rozbierze się Anna Przybylska? Czy Krzysztof Ibisz lubi nie lubi (niepotrzebne skreślić) śnieżnobiałe obrusy?

To tylko kilka z pytań, bez odpowiedzi na które po prostu zawaliłby się świat, a święta straciłyby jakikolwiek sens.

W spokoju zostawiamy tylko Edytę Górniak, bo krąży plotka, że wystarczy do artystki wysłać e-mail, by zostać podanym do sądu.

Rozumiem, moja ciekawość jest płatna, ale nawet za najwyższe honorarium nie dowiem się tego, co obchodzi mnie naprawdę, a czym nijak nie mam czasu się zająć.

Skąd Patryk ma nową komórkę, skoro nikt mu nie dał na nią pieniędzy? Dlaczego od dawna nie dzwonią do mnie ze szkoły? Czyżby faktycznie, jak twierdzi, wszystkie belferki zapalały do niego nagłą a nieuzasadnioną sympatią, pozwalając mu wyciągać się z pał do końca roku? Z kim Tymon spędza kolejne noce, jeśli widziana przeze mnie w tramwaju Cycopchełka trzymała za rękę jakiegoś rudawego draba i bynajmniej nie dlatego, że inaczej by się przewróciła? Komu mama wynosi ciasteczka, wychodząc z Gapą do parku, z którego obie wracają coraz później?

To tylko czubek góry lodowej, której mi nie odsłonią pani Dorota Wellmann z panem Marcinem Prokopem. A właśnie do nich usiłowałam się dodzwonić przez cały wczorajszy dzień, żeby się dowiedzieć, co będą oglądali w świątecznym programie telewizyjnym poza samymi sobą. Całkiem jakbym nie miała nic lepszego do roboty! Jakby pytania o moją codzienność nie miały żadnego znaczenia.

I nie wiem, dlaczego „codziennosc” została nazwana „samym życiem” i jeszcze w dodatku za takie uchodzi. To przecież zupełnie co innego!

Pytań o „samo życie”, tak zwanych egzystencjalnych, mam chyba jeszcze więcej. Każde upycham bez odpowiedzi do osobistej puszkii Pandory, i tylko czekać, aż ona wreszcie wybuchnie.

Kim właściwie jestem? Co tu robię? Dokąd zmierzam? Na czym tak naprawdę mi zależy? Co sprawiłoby mi wielką radość? Czy może się jeszcze w ogóle powtórzyć taki dzień jak ten, w którym dostałam dyplom? Ojciec dał mi wówczas pięćset starych złotych, mówiąc: „Teraz wszystko przed tobą”. A ja... ja fizycznie poczułam się tak szczęśliwa, że nie musiałam mu

nawet uwierzyć, bo byłam o tym przekonana!

* * *

Na razie mam nadzieję, że jeden z ostatnich dni nigdy się nie powtórzy.

Śmigus-dyngus, jaki nam przedwczoraj na kolegium urządziła naczelna, był tak mokry, że wciąż się wycieram. Dosłownie, bo tak pluła na wszystkich kierowników działów, że z ust tryskały jej fontanny najzwyczajszej śliny.

Poniedziałkowe kolegia, podczas których planuje się najbliższy numer, są zawsze jedną wielką niewiadomą. Ich przebieg zależy wyłącznie od tego, którą nogą szefica wstanie z łóżka.

Każde z nas, po kolei, omawia tematy artykułów, jakie mogłyby się znaleźć w jego dziale. Pomysły bierzemy z dwóch źródeł. Z rzeczywistości, czyli tego, co się dzieje naokoło, i z tak zwanej rzeczywistości wirtualnej, czyli tego, co sobie umyśli cesarzowa Cesarska. Rozszyfrowywaniem jej nieprzewidywalnego umysłu zajmuje się Władek, nasz bóg programowy. Jego metoda jest tyleż prosta, co skuteczna jak rosyjska ruletka.

Władek stara się przebywać w towarzystwie naczelnej jak najwięcej i analizuje każde jej słowo, westchnienie na nie i monosylabę na tak. Na dwa dni przed oddaniem naszych propozycji na piśmie, obchodzi redakcję z „sugestiami”, co i w jakim kontekście powinniśmy wpisać na nasze kartki.

Podobno uśmiechnęła się kiedyś, patrząc na zdjęcie Bruce’a Willisa. Natychmiast naszkicowałam tekst o jego komediowych rolach. Innym razem otworzyła jedną z nowych polskich powieści. Wystarczyło, że mruknęła: „nuda”, a już przybiegł Władek z informacją, że na najbliższym kolegium trzeba zaproponować demaskatorski pamflet na biednego autora.

Bo największym paradoksem istnienia tygodnika „Wzdłuż” jest fakt, że na czele pisma, które jak bulterier broni nas przed autarkią, stoi najbardziej autarkiczna osoba na świecie. Halina Cesarska jest bowiem sa-mo-wy-star-czal-na. Nie liczy się z naszymi opiniami, nie ufa nikomu i sama wie wszystko najlepiej.

Tym razem wszystkie tropy Władka okazały się fałszywe.

I co on na to, słynny detektyw? Zamiast spuścić nos, kręcił w ozywieniu główką, jakby się nie mógł się nadziwić, z czym to przyszliśmy na zebranie! Z takim charakterem utrzymałby się długo nawet na Kremlu za Stalina.

– Trzymajcie mnie, bo skonom! – powtarzała co chwilę cesarzowa, wywracając białkami oczu, jakby się czymś upaliła.

– To ma być temat na dobry materiał? Takie farmazony możesz opowiadać swojej żonie!
– warknęła pod adresem kolegi, naprawdę świetnego fachowca od ekonomii.

– Chyba tylko mojego psa mogłyby zainteresować te bzdury! – poinformowała szefa działu krajowego.

Propozycje kulturalne przedstawiałam jak zwykle na końcu, doskonale wiedząc, że w takiej sytuacji wystąpienie mogę sobie darować. Ale i tak mnie zaskoczyła.

– To się nawet nie nadaje do dyskusji – wycodziła do ściany, czyli do mnie, po czym najspokojniej w świecie zmięła moją kartkę w kulkę i... z pogardą rzuciła ją w moim kierunku.

Koledzy zdrętwieli, bojąc się nawet podnieść wzrok, a naczelna oświadczyła:

– Czekam godzinę na nowe propozycje.

Jeśli mnie nie wywieźli na sygnale, to tylko dlatego, że nagle doznałam olśnienia: Zielonooki! Musiał z nią zerwać, nagle i nieodwołalnie.

– Mam cię już dość! – wykrzyknęła, nerwowo wypinając z mankietów platynowe spinki, które mu podarowała (na pewno zrobiła mu taki prezent!). – To koniec!

Albo nie, wręcz przeciwnie:

– Wybacz najdroższa – szepnęła, ocierając łzy. – Ale to nie ma przyszłości. Mogłabyś być

moją matką!

Nonsens, jest zbyt elegancki, nie wypominałby jej sześćdziesięciu jeden lat. Zresztą, chyba wpadłam w kiczowate sidła tych wszystkich sentymentalnych gniotów, które muszę czytać jako przewodnicząca jury konkursu na powieść roku. Najważniejsze, że Zielonooki zrozumiał to wreszcie po... no nie wiem, ile ze sobą byli, ale to nieważne. Grunt, że się wyzwolił i teraz... i teraz już nigdy go nie spotkam, bo po co by miał przychodzić do biurowca?

Tak czy inaczej, jedynie zerwanie z Zielonookim mogło wytłumaczyć obłęd cesarzowej, ludzako podobnej do bohaterki „Misery”, przez którą nie mogłam spać.

Pamiętacie ten film? Kathy Bates więzi w domu swego ulubionego pisarza. Rano robi mu śniadanko i chętnie by mu się oddała, a po południu wali kłodą w nogi i wiąże, twierdząc, że to dla jego dobra.

Jeszcze tego samego wieczora Kathy Bates, znaczy Halina Cesarska, wystąpiła w telewizji. I to był całkiem inny człowiek. Uśmiechnięta, odprężona, a jaka uprzejma!

Oglądałam ten wywiad z mamą, której dopiero co opowiedziałam o rannym kolegium. Patrzyła to na mnie, to na naczelną, z coraz większym niepokojem.

– Lucynko, czy ty przypadkiem nie wrodziłaś się w ciotkę Ulę? Ona mija dwa drzewa, a potem twierdzi, że ledwo przeszła przez gęsty ciemny las!

* * *

Nie było to pierwsze takie kolegium, po którym wszyscy wyszliśmy na czworakach. A jednak jak gdyby coś we mnie pękło. Ile można dawać się obrażać i za jaką cenę? Jesteśmy w końcu dorosłymi ludźmi w tak zwanym kwiecie wieku, a pozwalamy traktować się jak smarkacze powiązani podwórkową tajemnicą, bo ze wstydu nikt z nas tych spotkań nie relacjonuje podwładnym, choć mamy taki obowiązek. Za co mam czuć się gorzej od wiejskiego psa? Za te pieniądze? No dobrze, nie najgorsze, lecz na oczy i tak widzę połowę. Drugą przecież zżerają mi banki.

Napożyczałam forsy, ale sama utrzymuję syna: worek bez dna! Odnowiłam mieszkanie, bo było już jak w kotłowni. Wymieniłam okna i dwa razy pojechałam na urlop. Coś mi się w końcu od życia należy, a na Cyprze za jedno euro można najwyżej się wysikać. Że zmieniłam kremy na francuskie? A zmieniłam, ponieważ trzeba działać profilaktycznie. Co będę smarowała super-kremem za dziesięć lat? Cellulit? Zwiotczałe fafle zwisające z szyi? Musztarda po obiedzie, zresztą i tak moje „francuzy” kupiłam w promocji.

A jak nie jechać rano do pracy taksówką, skoro wraca się do domu o dwudziestej drugiej? I jak nie wracać z pracy taksówką, gdy zaraz północ, a rano trzeba wstać? Tramwaje w obie strony regularnie uciekają na mój widok.

– Słuchajcie, naczelną w pudle! – ogłasza Kuba, wchodząc do redakcji.

Nareszcie, myślę sobie, jakbym miała najgorszy charakter w okolicy. Za nasze poniedziałki! A także za wtorki, środy, czwartki, piątki i soboty, bo i w soboty kazała nam ostatnio siedzieć.

– Czyżby po biznesie przyszła kolej na media? – Od pisania odrywa się nawet Maciek, co mu się prawie nie zdarza.

– Ej, Kuba, jakieś żarty z tym pudłem? – Hania nie daje się zbić z pantałyku.

I oczywiście ma rację.

Kuba rozkłada przed nami próbny wydruk nowego numeru z wielkim fotoreportażem „Wielkanoc w więzieniu”. Teoretycznie miał to być wywiad szeficy z naczelnikiem kicia. W praktyce są tylko wielkie zdjęcia ze szczątkowym tekstem, na których prezentuje się ona sama.

Ta rubryka to nasz nowy hit.

W ten sposób Cesarska „rozmawiała” już z właścicielem jednej z najdroższych warszawskich restauracji (nie pozowała jedynie na półmisku), z dyrektorem modnego teatru (nie przebrała się tylko za Lady Makbet – nie musiała!) i ze sławnym taternikiem (prezentacja wszystkich najdroższych futer na tle szwajcarskich Alp).

Przyglądam się fotom z kicia. Co za perwersja!

Naczelną w gustownym jedwabnym pasiaczku z platynową miseczką na kolanach czeka na więzienną zakupkę. Jaka głodna! Szefica w nieskazitelnej grafitowej wariacji na temat kombinezonu z drelichu i takimż kapelusiku odbywa przechadzkę po spacerniaku. Jaka smutna! Halina Cesarska, w płaszczyku-bombce niczym Audrey Hepburn ze „Śniadania u Tiffany’ego”, wychodzi za bramę. Jaka wolna, niestety!

„Dla kogo ja pracuję?”, zastanawiam się, walcząc z zazdrością o ten cudny płaszcz.

– Dla kogo my pracujemy? – Kuba czyta w moich myślach. – Kim ona właściwie jest?

– Co będzie dalej? – Hania jest wyraźnie poruszona.

– Żeby to przebić? – Kuba nie widzi takiej możliwości.

– Zostało już tylko spotkanie z yeti w Himalajach – wzdycham, mechanicznie odbierając telefon.

– Komenda dzielnicowa policji – oświadcza zdecydowany męski głos.

– Ale to dział kultury – mówię. – A więzienna sesja już zrobiona.

Po chwili nie mam ochoty na żarty, nawet własne. Zsuwam z biurka do torebki wszystko jak leci, i wybiegam.

– A ty dokąd? Zaraz masz zebranie w sprawie konkursu na powieść! – Maciek pamięta o wszystkim.

– Do pudła – odpowiadam.

I to nie jest żaden dowcip. Policja zgarnęła Patryka. Z ulicy. Nieletnim nie wolno pić piwa. A już na pewno nie na przystanku.

6.

Picie to małe piwo. Nieletnim nie wolno też palić papierosów, podpalać koszy na śmieci i nie nosić przy sobie żadnych dokumentów. A to wszystko właśnie się zdarzyło. I jeszcze więcej. No, ale publiczne nakładanie prezerwatywy na butelkę i udawanie głupka na widok policjanta chyba nie kwalifikują się od razu do pudła?

Stoję na środku komisariatu, roztrzaskując swe wdzięki przed sztywnym mundurowym. Nie działają? Nawet turkusowe soczewki? Wobec tego próbuję inaczej. Podbieram go na samotną matkę. Nic. Widocznie samotnych matek staczających się bachorów ma na co dzień na pęczki. Więc na *high life*, bo przecież znam, a przynajmniej spotkałam, wszystkie znane gęby z telewizji.

Na hasło Joanna Brodzik policjant zaczyna się uśmiechać. Tak, ta znad rozlewiska. Dziękuję, pani Joanno, choć nie może mnie pani pamiętać. Ale to wciąż za mało, więc jeszcze obiecuję roczną prenumeratę tygodnika „Wzdłuż”. Trafiam w punkt, żona czyta. By wyciągnąć mojego gówniarza, wystarczy już tylko obiecać, że zabiję przestępcę własną pięścią, niech go tylko dostanę.

Powinna być jednak zdawać do szkoły aktorskiej. No i żal, że nie było przy tym fotografa. Przy minach i pozach, jakie wykonałam, więzienna sesja naczelnej odpada w przedbiegach.

Uf! Gówniarz znów jest mój, bez sprawy, sądu i kuratora!

– To Szambi – powtarza z uporem Pat, gdy już siedzimy w pobliskim macdonaldzie.

– Mówi się szambo, synku. I cieszę się, że też tak myślisz. Cała ta afera cuchnie, aż miło!

– Usiłuję popijać coś, co tu uważa się za kawę.

– Szambi to Robert, taka ksywa. Popalił zioło i miał jazdę. I taki szwunk, że spieprzył, zanim go zobaczyli. A ja nie zdążyłem.

– Co popalił?

– Zioło. – Wyraźnie go to bawi. – No, dżojnta.

Teraz nie gram i blamuję się na całej linii, bo nadal nie wiem, co on do mnie mówi.

– Skręt, trawka. Oj, mamó, gdzie ty żyjesz?

Jak to gdzie? W oderwanej od świata redakcji, w której o trawce mówi się tylko wtedy, gdy piszemy o ekscesach muzyków rockowych.

– W każdym razie to wszystko to nie ty – kpię sobie z niego w żywe oczy.

– Przynajmniej nie do końca.

– Nie piłeś piwa na przystanku, a patrol miał omamy wzrokowe.

– Gdyby Szambi nie podpalił kosza, nie byłoby dymu.

– I nie wkładałeś prezerwatywy na butelkę.

– A gdzie ją miałem włożyć? – chichocze bezczelnie.

Ależ jestem beznadziejna, też zaczynam się śmiać!

I uświadamiam sobie, że nigdy nie rozmawialiśmy o seksie, a jemu posypały się wąsy! Nie żeby to był jakiś temat tabu. Po prostu nie rozmawialiśmy ani o tym, ani o stu innych ważnych i nieważnych sprawach, o których powinno się rozmawiać.

Nie rozmawiamy chyba od czasu, gdy przestał wymagać całusa na dobranoc, a ja, bezmyślna idiotka, zamiast zamienić tego całusa na coś innego, co by nas połączyło, oddałam tę codzienną chwilę walkowerem. Z lenistwa, ze zmęczenia, z...

Jeśli kogoś z nas dwojga powinien doglądać sądowy kurator, to mnie. To ja, a nie mój syn, podpaliłam ten kosz, siedząc w redakcji przez ostatnie pięć miesięcy od rana do nocy jako

niewolnica nadredaktor Cesarskiej.

– Mam nadzieję, że już wiesz, gdzie się ją wkłada – mówię przyjacielsko-wychowawczym tonem, jakbym się nagle urwała z choinki.

– Co gdzie się wkłada? – Pat udaje głupka i nie mam mu tego za złe.

– No, prezerwatywę – dukam jak pensjonarka.

– Spoko – mówi, kończąc hamburgera. – A co byś zrobiła, gdybyś została babcią?

– Jak to „babcią”? Babcia to babcia, a ja to ja – przypominam oczywistą rzecz, wyobrażając sobie, że muszę co rano wychodzić z Gapą na spacer.

– Niby tak – mruczy pod nosem, jakiś nieprzekonany.

A do mnie dociera, że chciał mi powiedzieć co innego! I teraz albo będę mu robiła bezsensowne wymówki za to piwo, albo się czegoś wreszcie dowiem!

– Jezu, masz dziewczynę w ciąży? Dlatego jesteś ostatnio taki spokojny i nawet babci się dałeś pogłaskać. Nie zaprzeczaj, widziałam! I dużo śpisz... Jasne, ucieczka w sen! Moja koleżanka niedawno pisała o tym artykuł. I dzisiaj przebrała się miarka, co? Przepęłniła się czara goryczy, tak? I na tym przystanku postanowiłeś to wszystko odreagować. Tak?! No powiedz matce!

– Czara goryczy? – patrzy na mnie jak na kosmitkę. – Litości! Mamo! Skąd ty bierzesz takie teksty?

– Z powieści na konkurs. Ale powiedz, tak?!

– Nie, spoko. Powiedzmy tylko... Posłuchaj. Nikt nie jest w ciąży. Wystarczy?

No i co mu zrobię, skoro nie chce więcej mówić? Nie jest skarbonką w kształcie świnki, którą złapię za tyłek, by na siłę wytrząsnąć dalsze informacje jak dwuzłotówki.

– A co będzie ze szkołą?

Wzrusza ramionami. Tego szlabanu tym bardziej nie przeskoczę. Nie w tej chwili. Ale widzę, że dobrze nie jest. A żebyśmy w ogóle wreszcie usiedli i pogadali jak ludzie, musiała go zgarnąć policja.

Patrzę na zegarek. Powinam pilnie wrócić do redakcji, będzie doroczne jajeczko wielkanocne i zamykają świąteczny numer.

No i niech sobie świętują. Może Cesarska udławi się wreszcie tym jajeczkiem, brylując na własnych salonach, albo przynajmniej poślizgnie się na kropli majonezu! I niech zamykają numer! Tu jest moje życie.

– Chodź, Pat, zrobimy sobie coś miłego – proponuję, jakbyśmy zasłużyli na jakąś nagrodę.

Co prawda, osobno nie zasłużyliśmy. Ale razem – jak najbardziej!

Podjeżdżamy do centrum. Jaka jestem skażona tą pracą! W metrze od razu usiłuję wyłapać potencjalnych czytelników tygodnika „Wzdłuż”. Z kilkudziesięciu wygniecionych twarzy w każdym wieku typuję najwyżej trzy. Dla całej reszty umęczonych pasażerów więzienne ekscesy naczelnicy są jak dwugłowa krowa, a moją rubrykę „Wzdłuż kultury” równie dobrze mogłabym zatytułować „W poprzek klawiatury”. I tak jest abstrakcyjna.

* * *

Warszawa. Raj dla kangurów.

Tylko one mogą się po niej normalnie poruszać, przeskakując przez porozstawiane łózka polowe ze stanikami różowymi jak apetyczne ciasteczka, płytami DVD powyrywanyymi z kolorowych magazynów, kosmetykami za pięć złotych od fiołki bez względu na to, co jest w środku, i całą resztą podobnie ekskluzywnych towarów, które zdobią sam środek miasta zapatrzonego przez wieki na Paryż.

Kolorowe skarpetki frotté, wdzięcznie ułożone w rzędkie na chodniku na przemian

z męskimi gaciami, wyglądają jak klomby najpiękniejszych tulipanów, których mógłby nam pozazdrościć Amsterdam.

Ktoś wymyślił, że będzie jak w Londynie, gdy nad Domami Centrum zamontuje się trzeszczące głośniki, które zamieniły pół Marszałkowskiej w tandetną dyskotekę.

Przemykamy się przez przyjazne śródmieście, wdzięcznie pachnące przypaloną wieprzowiną z kebabowych budek, jak zaszczute psy. Ale humory mamy świetne. Za pite na przystanku piwo kupuję Patrykowi spodnie, a raczej jakiś zdezelowany namiot z kroczem w kolanach. Za papierosa – sportową koszulkę z napisem „Jestem żydem”, bo podobna, opatrzona wyznaniem „Będę bankrutem”, jest przymała, i całe szczęście! Za podpalony śmietnik splukuję się na adidas, wyglądające jakby od roku ich nie zdejmował. Ale nie ja w nich będę paradować.

Tak, proszę państwa, oto moje metody wychowawcze! Lecz czy w związku z tym, że mój synalek trafił na policję, ma chodzić z gołym tyłkiem?

– Równie dobrze mogłabyś na głowę włożyć wiadro – komentuje w zamian piękny kapelusz, który może faktycznie nie okazuje się zbyt twarzowy.

Mężczyźni są jednak zdecydowanie mniej liberalni.

Ostatecznie wybieram sobie rdzawy zakiet i zupełnie niepasującą do niego jasną spódnicę. Trudno, będę nosiła osobno, byleby uciec już z tej przymierzalni. Co za pomysł, by wszędzie montować jarzeniówki. W takich warunkach nawet Szapołowska wyglądałaby jak topielica!

Przypominam sobie jeszcze o szamponie bez czegoś tam, który poleciła mi koleżanka, lecz bez czego miał być? Kręcę się więc w kółko przy regałach z odżywkami, a Pat przygląda się wydumanym flakonikom ze wstrętem antyglobalisty.

– Chciałbym coś o takim zapachu, którego prawie nie ma, ale jednak jest – słyszę za sobą niski, spokojny, a jednocześnie pełen humoru głos (jeśli głos może być pełen humoru).

Próbuję dyskretnie zorientować się, kto może mieć takie subtelne zachcianki. Niestety, razem z głową złośliwie odwraca się i moja ręka, zrzucając jakieś maseczki ziołowe, do których ktoś musiał przyczepić dzwoneczki, bo rozdzwoniły się na pół sklepu.

– Pomogę – proponuje Głos, nie czekając na moją zgodę, i od razu schyla się, więc nadal nie widzę jego twarzy.

W chwili, gdy pojawia się Pat z odsieczą, z podłogi podnoszą się ku mnie... zielone oczy!

– Dzień dobry – mówi Zielonooki, równie zaskoczony.

– Dziękuję – bąkam, biorąc od niego butelki, z których jedna natychmiast spada z powrotem, już bez dzwonięcia, więc widocznie dzwonią tylko w grupie.

– Oj, mamó! – śmieje się Patryk, pomagając Zielonookiemu postawić je na półce.

– I co, znalazłeś? – podchodzi do nas jakaś kobieta, której na szczęście nie muszę polubić, bo już nie lubię.

Znaczy, do nas jak do nas, podchodzi do Zielonookiego i rozmawia z nim, jakbyśmy z Patem nie istnieli. I faktycznie trudno, byśmy zaczęli towarzyską pogawędkę. W końcu jakaś niesforna klientka, czyli ja, zrzuciła tylko na podłogę dzwoniące maseczki. Nie pierwsza i nie ostatnia.

Zielonooki kłania mi się jak dobrej znajomej. Odchodzą w stronę kremów i pudrów. Ona, brunetka mniej więcej w moim wieku, niestety niebrzydka, z nogami Sharon Stone, jest naprawdę elegancka i w dobrym stylu.

Ale właściwie dlaczego „niestety”? Powinam przyznać jej punkt, a właściwie całe dwanaście punktów, jak na Festiwalu Eurowizji. W końcu to zapewne dla niej Zielonooki rzucił szeficę.

Dla niej, bo nie robiła głupich min w restauracji „Hiszpanka” jak co niektóre idiotki broniące do siebie dostępu niczym średniowieczna twierdza.

– Mamo? Sparaliżowało cię? Znasz tego faceta?

A ten mój gnojek chyba się dzisiaj na mnie uwziął! „Mamo” i „mamo”, jakbym nie miała imienia. Wyglądam najwyżej na jego starszą siostrę!

– Pat, doskonale wiem, że jestem twoją matką, ale całych Domów Centrum to naprawdę nie interesuje!

– Co cię ugryzło? Znasz go?

– Nie znam i nie zamierzam poznawać. Zresztą już do nas nie przyjdzie. Nie ma po co.

Romans skończony!

– A przychodził do nas? Jaki romans? Miałaś z nim romans?!

– Nie do nas, tylko do biurowca. I nie ja, tylko moja szefowa.

– Szkoda. Tobie też by się chyba przydał jakiś romans. Jesteś jeszcze młoda, ładna...

– I głupia.

– Co?

– Nie mówi się „co”, tylko „proszę”!

„Jesteś jeszcze młoda, ładna...”, a ja do niego jak stara belferka savoir-vivre’u!

Naprawiam błąd:

– Ale dzięki za miłe słowa, Pat. Nie wiedziałam, że tak też potrafisz.

Wracamy do domu obładowani jak wielkanocne Mikołaje.

W bramie natykamy się na mamę, która właśnie wychodzi na uczelnię. Oczywiście z Gapą, swoją najlepszą studentką, bez jednego opuszczonego wykładu. Psica bezszelestnie od lat układa się mamie pod biurkiem i słucha jej wykładów. Kto by się spodziewał, że to rude skrzyżowanie owczarka collie z szafką na buty ma we łbie całą historię filozofii?

– Co robicie tu razem? W biały dzień? – Mama nie może się nadziwić, ale jest z nas wyraźnie zadowolona. – Skąd wracacie?

– Z komisariatu – odpowiadam machinalnie, czując na sobie rozzłoszczone spojrzenie Patryka.

– Okradliście policyjny magazyn? – Mama, wskazując na paczki, nieświadomie pomaga mi wybrnąć z sytuacji.

– Zgadłaś!

Dozgonnie wdzięczny Pat otwiera przede mną drzwi jak przed Królową Kłamstwa.

* * *

„Chciałbym coś o takim zapachu, którego prawie nie ma, ale jednak jest...”

Mam nadzieję, że wyjdzie mi to z głowy szybciej niż refren „Nie ma, nie ma wody na pustyni”, od którego nie mogłam się odczepić jako nastolatka. Niż „Nie mogę ci wiele dać” dręczący serce trochę później. I niż „Przyjdzie na to czas” nucony ostatnio coraz częściej chyba tylko w celach obronnych: by natychmiast nie rzucić się do Wisły.

Ale ruszyło mnie, bo faceci, których bliżej znałam (czasem nawet za blisko), nigdy by nie szukali takiego zapachu. Ani dla siebie, ani dla mnie.

Rysio, moja pierwsza miłość, pachniał popularną „Przemysławką”. Można o niej powiedzieć wszystko poza tym, że był to zapach, „którego prawie nie ma”. Raz, gdy wracałam z randki do domu, zaniepokojona mama spytała, co robiłam w szpitalu, że czuć ode mnie dezynfekcją. Rysio, o byczym karku i mentalności kogutka, naprawdę starał się, jak mógł, i nie jego wina, że tak mało mógł.

Pierwsze prawdziwe perfumy dostałam od Arka. Był bardziej zakochany we mnie niż ja w nim, lecz podobał się wszystkim dziewczynom i wybrał właśnie mnie. Która w takiej sytuacji

mierzyłaby linijką poziom westchnień? Na imieniny ofiarował mi flakonik „Być może...”

Być może ktoś kiedyś podaruje mi zagraniczne, pomyślałam wtedy, bo tak się niefortunnie złożyło, że gościliśmy wówczas ciotkę Ulę, oblaną prawdziwym Paryżem, przez który wracała do Polski z jakiejś dyplomatycznej placówki.

Arek, złotowłosy student germanistyki, poprosił mnie nawet o rękę. Całkiem serio! Ale byłam dopiero na pierwszym roku, a kilka miesięcy później pojawił się Franek. I o nic nie prosił, tylko wziął.

I dał – Patryka.

Byłam w drugim miesiącu, gdy podpisaliśmy się w urzędzie stanu cywilnego, i w trzecim, kiedy wsiadł na wymarzoną hondę, pożyczoną od kolegi.

Swoich teściów poznałam na jego pogrzebie i nigdy już ich potem nie widziałam. Na list, że mają wnuka, nie zareagowali, a gdy zadzwoniłam, ktoś odłożył słuchawkę.

Znaliśmy się ledwie cztery miesiące. Może dlatego wystarczały nam własne zapachy, na które reagowaliśmy jak zwierzęta w nieustającej rui. Perfum, pachnących Frankiem, nikt na świecie nie wyprodukował, a Pat pachnie już całkiem inaczej.

Przez kilka lat wahałam tylko śmieszna, małą dupkę, która pojawiła się nagle i wcale nie zamierzała zniknąć. Przeciwnie, najspokojniej w świecie sobie rosła. Na szczęście mama wychowywała wtedy siedmioletniego Tymona, do którego przykleiła moją ukochaną „dupkę”, żebym mogła dalej studiować.

– Nie będę się zajmowała twoim dzieckiem, jeśli masz czas na amory – oświadczyła mi sucho pewnego dnia, gdy się wydała sprawa ze Scenarzystą.

Bardzo chciała, bym sobie ułożyła życie, ale nie z człowiekiem, który ma żonę i dwoje dzieci!

Nim okazało się, że ma rację, zbierałam wspaniałą kolekcję wyrafinowanych perfum, od Tresor po Pleasures. Scenarzysta lubił jednak ostrzejsze zapachy, którymi mógł znaczyć swój teren, czyli mnie. Taki, „którego prawie nie ma, ale jednak jest”, nie wchodził więc w rachubę.

Scenariusz mojego-nie mojego Scenarzysty był za każdym razem taki sam, jak wszystkie odcinki kryminalnego serialu, którego był autorem. Dzwonił, żebym za pięć minut wyszła na chwilę z pracy albo z domu. Podjeżdżał wspaniałym czarnym seatem, otwierał okienko i wyciągał dłoń z elegancko zapakowanym pudełeczkiem. Gdy już znajdowało się w moich rękach, robił zza kierownicy czuły dziubek i z piskiem opon ruszał w siną dal, by od czasu do czasu zaszczyć mnie nocą.

Rutyniarz, ale jaki czarujący. I jasnowidz! Ponieważ, niemal kąpiąc mnie w tych pachnidłach, zapewne przewidywał, że będą musiały starczyć na długo, bo na swej drodze spotkam Jarka.

Jarek, piekielnie bystry facet o niebywalej subtelności umysłu, był tak kompletnie pozbawiony zmysłu powonienia, że z powodzeniem mógłby wziąć w ajencję sieć szaletów miejskich. Z tego powodu na wszelki wypadek trzy razy dziennie brał prysznic, przynosząc koniaki, czekoladki, a nawet świnkę morską (Patrykowi), lecz nigdy perfumy. Nie udało się, bo podejrzanie zerkał w stronę każdego piękna, owłosionego na torsie też...

Jeszcze dwóch Marcinów, Łukasz i Waldek, w końcu nie mam od dawna dwudziestu lat. Ale przelecieli przez moje życie concordami: z ponaddźwiękową prędkością, która tak samo szybko zmiotła wszelkie zapachy.

Concordy już wycofano z obiegu.

Mam nadzieję, że tych panów także.

7.

Jak Wielkanoc, to ciotka Ula!

Jest naszym jajeczkiem, barankiem, kiełbaską z chrzanem i w ogóle całym koszyczkiem. Jest resztką dziedzicznego, mocno obtłuczonego miśnieńskiego serwisu, wyjmowanego przez mamę tylko dwa razy do roku, a i tak w coraz mniejszym składzie. Na naszym stole mogłoby nie być mazurka, mogłoby nic nie być, ale gdy siedzi ciotka Ula, są z pewnością wiosenne święta. Boże Narodzenie ciotka, jak prawdziwy polski bocian, spędza zawsze w ciepłych krajach.

– Kochanie, nie możesz pamiętać, jak myłam twoje stópki w filizance, taka byłaś maleńka!

Wystarczyła godzina od odebrania jej z dworca, by ciotka Ula wypowiedziała słynne zdanie, bez którego wizyta nie mogłaby się udać. Mogę przy niej zapomnieć, jak mam na imię, ale nie to, że urodziłam się miniaturowym wcześniakiem.

Jak zwykle, wysiadła z pociągu Amsterdam–Warszawa, otoczona wianuszkami nowych fanów.

Ciotka ma ich już po kwadransie wspólnej podróży, a po podróży całym dniem w jednym przedziale poszliby za nią do piekła. Czasami jednak wydaje mi się, że najlepiej do takiego, jak je sobie wyobraża sama ciotka, czyli miejsca, w którym musiałyby milczeć.

– Ta pani w spódnicy w kratkę ma bardzo chorą córkę. Ten pan z wąsami to jej mąż, zapalony brydżysta – szepcze do mnie ciotka, wskazując bezpardonowo palcem kłaniające się nam małżeństwo.

– Tamta blondyna, no tu, zobacz, wyszła za Araba, wywiózł ją do Algierii i ledwo udało jej się uciec. A ten chłopak, widzisz go? Ciężko pracuje w wesołym miasteczku, by utrzymać swoją sparaliżowaną żonę.

Ciotka powinna zostać redaktorem naczelną magazynu „Polskie Losy”. Sukces murowany, a przedsięwzięcie kosztowałoby grosze, bo sama byłaby w stanie wypełnić cały numer, dyktując wszystkie teksty jednocześnie kilku asystantkom.

W tygodniku „Wzdłuż”, a potem w kilku innych, był taki dziennikarz, który jednak co pewien czas zniknął z pola widzenia w czeluściach klinik odwykowych, bo nadmiar energii musiał hamować czymś wysokoprocentowym.

Ciocia także ma podobne inklinacje, choć nie zdarzyło się jej, jak tamtemu, iść zygzakami na premierę do teatru i potem jeszcze napisać, że aktorzy mieli kiepską dykcję.

Bar oczywiście przywiozła ze sobą i natychmiast po wejściu do mieszkania jest gotowa go otworzyć. Wyciąga z bagażu kilka opasłych butelczyn, do wyboru, do koloru, fachowo dobranych dla dorosłego i dla dziecka, dla smakosza i dla abstynenta oraz dla całej rodziny.

Dorośla jestem ja: dziękuję za koniak. Abstynentem jest mama, na bakier z wszelkimi używkami prócz tak mocnej herbaty, że podnieciłaby zakonnicę. Dostaje więc likier kawowy. Dla Tymona, który w wizjach cioci wciąż pozostaje dzieckiem, przeznaczyła zgrzewkę piwa. Patryk musi się zadowolić czekoladkami – rzecz jasna, tryskającymi wiśniówką. A rodzinie możemy się uraczyć francuskim czerwonym winem. Sama ciotka jest ponad podziałami i z pewnością przez trzy dni świątecznych odwiedzin zdąży spróbować wszystkiego.

– Czego się napijecie? – pyta, nie czekając na odpowiedź. – Bo ja gorącej herbaty i lampeczkę metaxy!

Gdy stawiam przed nią wypełnioną do połowy koniakówkę, dochodzi do wniosku, że woli jednak piwo, bo świetnie pobudza apetyt, ale woli nie od brandy, tylko od... herbaty.

W efekcie siada zadowolona przy lufce metaxy i szklaneczce piwa.

– Nic mi nie będzie, Alinko – komentuje z rozbawieniem karcący wzrok mamy.

– W przeciwieństwie do ciebie, jestem doskonały rocznik. To rok Shirley MacLaine, Zośki Loren i Bardotki!

Bo ciotka Ula, z burzą miedzianych włosów, talią osy, w skórzanych spodniach i na dziesięciocentymetrowych obcasach, ma już ponad siedemdziesiąt lat! I nigdy nie uwierzę, że jest rodzoną starszą siostrą mamy, choć babcia była niewątpliwie najporządniejszą kobietą na świecie. Są podobne jak teoria do praktyki, i w taki też sposób się uzupełniają.

Mama ma doktorat z filozofii i uczy, jak żyć. Ciotka nie pokończyła szkół, bo żyjąc, nie miała na nie czasu. Mama wie, czym się „je” monady Leibniza, ciotka – czym się jada homara. Mama uważa, że istnienie jest świadomą koniecznością, ciotka świadomie goni za wszystkim, co miłe.

Dzień upływa pod hasłem: „Znacie? To posłuchajcie”. Monolog trwa siedem godzin.

Ciotka przypomina swoje trudne i wspaniałe życie, którym mogłaby obdzielić jeszcze kilka osób. Od momentu, gdy jako siedemnastolatka wyszła z rodzinnej biedy z rzeczami w pudełku na buty:

„Szłam przed siebie jak jakaś Janka Muzykantka!”

Po nowobogackie przyjaciółki, chodzące z nią w Wiedniu do Opery: „Maria tak dzwoniła pierścionkami, że nie słyszałam, co śpiewają!”.

Słuchamy o tym, jak to została najmłodszym w kraju urzędnikiem stanu cywilnego i dawała śluby: „Żalowali, że nie mogę udzielać także kościelnego!”.

Jak w specjalnym ośrodku w Szklarskiej Porębie opiekowała się skośnookimi sierotkami, przywiezionymi do Polski po wojnie koreańskiej: „Nie byłam w stanie ich odróżnić, więc karałam albo nagradzałam wszystkie!”. Jak została przewodniczką po obozie koncentracyjnym w Sztutowie i sama jedna w tym obozie nocowała: „Na hitlerowskie duchy miałam wielki nóż, a dla naszych słoik miodu”.

Słuchamy wszyscy prócz Patryka, któremu udało się wymknąć z domu, nie wiadomo jak i gdzie. Nam się nie udaje spokojnie wyjść nawet do kibelka.

– Lucynko? Wszystko w porządku? – słyszę przez drzwi ubikacji. – Lucynko?! Wracaj szybciućko, bo teraz będzie najważniejsze!

„Najważniejsze” to kolejna nieśmiertelna historia o pierwszym, drugim lub trzecim mężu, dyplomacie, z którym przez lata mieszkała za granicą. I tym czwartym, bogatym holenderskim żydzie, właścicielu trzech aptek, którego testament podważyła rodzina i cioci nie dostało się nic poza eleganckim mieszkaniem, gdzie żyje sobie z wdowiej renty.

O drugiej w nocy, gdy mama już spada z krzesła, choć nie wypła ani grama (zdaniem ciotki – właśnie dlatego, że nie wypła ani grama), wpychamy gościa do pokoju Tymona, który ma nocować u mnie.

Robimy z braciszkiem krok z wycieraczki na wycieraczkę, do mego królestwa. Nawet Pat już wrócił i śpi. My też nie mamy na nic siły. Tymon, po trzech piwkach, wali się na niepościelony materac. Ja, po połowie butelki pięciogwiazdkowej metaxy, rzucam się na kanapę bez zmytego makijażu. I wtedy słyhać dyskretne pukanie. W drzwiach stoi ciotka w zjawiskowej jedwabnej pidżamce.

– Już śpicie? – nie może się nadziwić. – Zapomniałam ci jeszcze powiedzieć, jak to szliśmy z Beniem na ważne dyplomatyczne przyjęcie i tuż przed wyjściem poparzyłam sobie palec. Bolał jak cholera, ale party to party, więc wkładam cieniutkie rękawiczki i idę.

– Wiem, ciociu. I potem... – rozpaczliwie usiłuję skrócić doskonale znaną anegdotę.

– No właśnie! I potem, ponieważ nie zdjęłam ich do kolacji, patrzę, a wszystkie elegantki

tez usiłują zjeść krem z łososia w rękawiczkach! No nie! Więc uprzejmie mówię: „Przepraszam państwa bardzo, że nie zdjęłam rękawiczek, ale przed chwilą uległam małemu wypadkowi.” Wszystkim babom, w diademach, koliach i bransoletkach, wypadają łyżki z rąk, a Benio, blady jak twarożek, kopie mnie pod stołem w kostkę, najmocniej jak potrafi!

Ciotka zatacza się ze śmiechu bardziej niż ja ze zmęczenia.

Jesteśmy zapewne jedyną rodziną w bloku, która nie kupiła na święta gazety z programem telewizji. Po co?

* * *

A jednak telewizor zawsze się przydaje. Co roku Tymon próbuje spacyfikować ciotkę, włączając któryś z jej ulubionych filmów. Właściwie oglądamy na przemian trzy: „Nad Niemnem”, „Lalkę” albo „Noce i dnie”.

– Uleczko, może jednak coś innego? Tymon zgromadził dużą kolekcję – proponuje mama.

– Ale ja nie pamiętam żadnych innych filmów! – broni się ciocia, wybierając „Noce i dnie”.

Kinowa wersja trwa cztery godziny. I niepotrzebny serial, który ciągnie się przez dwanaście, bo ciotka znów wytrzymuje bez słowa ledwie kwadrans.

Jadwiga Barańska, czyli Barbara Niechcicowa, przypomniała jej o „Hrabinie Cosel”, gdzie występował Dmochowski, w którym się ciotka za młodu okrutnie kochała. Błoto w Serbinowie skojarzyła natychmiast z drogą, którą pokonywała przez lata od autobusu do domu na peerelowskim osiedlu w wiecznej budowie. Wraz z Ryszardą Hanin, ubijającą stopami kapustę w beczce, pojawiła się przy stole wywołana z zaświatów moja prababka, niestety mi osobiście nieznana. Podobno były identyczne! A nieznośny Tomaszek, przez którego biedna Barbara Niechcicowa omal nie zwariowała, doprowadził nas do własnych dzieci.

Przy scenach z krnąbrnym synem westchnęliśmy głęboko wszystkie trzy: mama, ciotka, której jednak ostatecznie wyszedł na ludzi i mieszka w Ameryce, oraz ja. „Noce i dnie” to rzeczywiście uniwersalne arcydzieło!

Jakim cudem udało się ciotkę wyciągnąć do parku na niedzielny spacer, pozostaje tajemnicą mamy i Gapy, ale nie było ich przez całe popołudnie.

– Nie znasz jakiegoś wolnego mieszkania, takiego do zaopiekowania się, a nie za tysiąc zeta? – pyta nagle Tymon.

– Zaopieeeeekuj się mną – śpiewam stary hit, drugi dzień na nieustającym rauszu.

– Lucyna, pytam poważnie.

– Mamusia tego nie przeżyyyjeee – śpiewam na sobie tylko znaną nutę.

– Przeżyje. Przynajmniej dostanie zawału raz, a nie za każdym razem, gdy dzwonię, że nie wrócę na noc. Bo dzwonię, naprawdę robię, co mogę, żeby jej nie martwić. Ale...

– Aleee oonaaa się maaartwiii – wciąż wyję, jakbym komponowała operę.

– Nic na to nie poradzę. – Mój brat jest wyraźnie zdeterminowany i po raz pierwszy od nie wiem kiedy nie chichocze.

– Gdzie ty właściwie spędzasz te noce?

– Gdzie czy z kim?

– Czy to nie to samo?

– W każdym razie jest mi dobrze.

– Widziałam ją w tramwaju z jakimś...

– Kogo?

– No, Cycopchelkę!

Tymon parska szczerym śmiechem. Nareszcie!

– To nie ona. Ale fajnie, że kogoś ma.
 – Więc kto?
 – Lula, nie obraź się, ale...
 – Tylko nie Lula! – Koniaczek działa na mnie zaczepnie i retrospektywnie. Ta „Lula”
 była moją zmorą przez naście lat. – I wiesz, że się na ciebie nie obrażę!
 – Obiecuję ci, że dowiesz się pierwsza, dobrze?
 – Dooobrzeeee – wracam do komponowania.
 – A ty? – pyta Tymon.
 – Cooo jaaaa?
 – Zamierzasz zostać starą panną?
 Odechciewa mi się śpiewać.
 – Już mi nie grozi, miałam półtora męża, choć w papierach tylko jeden.
 – Dawno i nieprawda.
 Jaka ta młodość jest bezwzględna. Czy ja też taka byłam?
 No byłam; powiedziałam mamie, że ojciec jest dla niej za stary. A oni tak się kochali!
 – Ostatnio spodobał mi się jeden pan, więc chyba jeszcze nie jest ze mną najgorzej
 – wyjawiam braciszskowi.
 – Jaki pan?
 – Zielonooki.
 – Ty jemu też się spodobałaś?
 A jaka ta młodość jest dociekliwa!
 – W każdym razie klęczał przede mną.
 – Nie żartuj! Gdzie?
 – W drogeeriii. – Pękam na całego i nie jestem w stanie udać, że mój pijacki szloch to
 śpiew.
 – Oświadczył ci się w drogerii? Super! To lepsze niż ślub ze spadochronem. – Tymon jest
 zachwycony.
 – Lepiej nalej po drinku.
 A potem po drugim i trzecim... Piję, pochlipuję i opowiadam mu historię, której prawie
 nie ma.
 – Oj, siostra, zachowujesz się jak idiotka, a nie jak dorosły człowiek – mówi, zamiast
 przytulić mnie i pocieszyć.
 Młodość jednak potrafi zabić!

* * *

W Wielki Poniedziałek jestem już tak zdenerwowana, jak przed maturą z matematyki, do której przystąpiłam, odróżniając tylko plus od minusa.

To jasne, że brzuch mnie boli nie z powodu drinkowania, lecz w związku z jutrzejszym kolegium. A przecież powinnam choć trochę odpocząć, co najwyżej układając hymn dziękczynny do naczelnej, że łaskawie przesunęła termin redakcyjnego spędu i nie kazała nam się stawić przed swym obliczem dzisiaj.

Mama bez słowa podaje mi rosół, ale jej spojrzenie mówi więcej niż cały monolog Hamleta. Pat korzysta z sytuacji i znów zawirusowuje komputer. Tymon uciekł w objęcia swej tajemniczej panienki.

– Co właściwie u was słyhać? – frasuje się ciotka Ula na godzinę przed wyjściem do pociągu, którym pojedzie jeszcze do Gdańska odwiedzić przyjaciółkę. – Zawsze brakuje nam czasu...

Tylko mama odprowadza ją na dworzec, bo ciocia jest prawie bez bagażu: w torbie

najwięcej ważyły butelki.

Słyszę potem, jak mama wraca i bierze Gapę na setny już chyba dziś spacer. Ten wieczorny jest jednak najważniejszy: spotyka się z panią Niną (prawie ratlerek), panią Zosią (niemal pudel), panią Kasią (połączenie mopsa z taborettem) i panem Stefanem (miks foksteriera z saksofonem).

W klubie psiarzy omawia się wszystko, od nieogryzionej kości, przez zawartość nowego „Tygodnika Powszechnego”, po kolejną aferę polityczną. I oczywiście pogodę. Jutrzejsza pogoda na spacer jest najważniejsza! W dodatku z tej psiej masonerii nie można się wypisać, czego dowodem jest pani Bronia. Od pół roku oplakuje swoją Suzi, a mimo to dzielnie przychodzi do parku o tej samej porze, nawet w największy deszcz.

W przyplýwie najgorętszych, bo jeszcze nie do końca wypoconych z organizmu, rodzinnych uczuć podchodzę do okna, by im serdecznie pomachać.

I co widzę? Mama czujnie rozgląda się dookoła, jakby za chwilę miała przekazać meldunek kapitanowi Klossowi. Rozgląda się również Gapa, jak najprawdziwszy wilk konspiracji. W dodatku dzierży w ręku niewielkie pudełko. Znacząca mama, nie Gapa.

Ciasteczka!

Już kilkakrotnie nakryłam ją na wynoszeniu ciastek, choć parkowe kaczki karmi się chlebem i bynajmniej nie wieczorem! Nie mogła się wyprzeć, bo raz rozsypały się na wycieraczce. I to jakie? Jej ulubione kruche półksiężycy, tak zwane całuski!

Na moje zaskoczenie mama tylko szybko machnęła lewą ręką, choć przecież mogła zelgać, że są na przykład dla łakomej pani Zosi. Lecz raczej nie były, bo mama, tak jak nie umie pić, nie potrafi kłamać. Gdy nie chce czegoś wyjawiać, właśnie tak robi: szybko macha lewą ręką, przecinając nieważną sprawę.

Odruchowo chowam się za zasłonę, żeby mnie nie widziała: jak Kloss, to Kloss!

Mama zerka w moje okna i upewniwszy się, że jej nie widzę, skręca w przeciwną stronę niż park. Gapa robi to samo bez oporów, co oznacza, że do tego skrętu już się przyzwyczyła.

Gdy po godzinie wracają, niby przypadkiem otwieram drzwi i pytam, jak tam parkowe kumpelki.

– Zimno dziś – odpowiada mama i... macha szybko ręką.

Lewą.

8.

Święta, święta i po świętach.

Ale nie dla wszystkich. Naczelna wciąż świętuje. Wyjechała odsapnąć gdzieś na Mauritius, Madagaskar czy inne Bora-Bora. A może Bara-Bara? Nie ma też Władka, który skorzystał z okazji i pewnie zaszył się gdzieś z luksusowymi dziewczynkami (wysokie blondynki, trójeczka w biuście) na dłużej niż jeden wieczór. W końcu zarabia tu krocie.

Kolegium prowadzi Gabryś, drugi zastępca szeficy. Eloquentny, elegancki: proszę, dziękuję, przepraszam. Miły i sympatyczny jak bohater „Psychozy”, z zimną krwią mordujący pod prysznicem kobietę, z którą przed chwilą jadł kolację. Niewinnie uśmiechnięty jak pyton zaciskający pętlę na szyi ofiary, jakby jej wkładał perłowy naszyjnik.

Naczelna jest furia, ale ma lepsze i gorsze dni. Władek to wesz, lecz przewidywalna i daleko mu do popełniania zbrodni z premedytacją. Z tej świętej trójcy to właśnie Gabryś jest najbardziej niebezpieczny. Z wdziękiem i bezwzględnie utopi każdego, kto będzie zagrażał jego interesom lub po prostu wyda mu się słaby.

Na nie tak znowu dawnym zdjęciu, wciąż reprodukowanym w naszym piśmie, Gabryś jest bystrym przystojniakiem, który mógłby zmienić świat. Za biurkiem siedzi już jednak przedwcześnie postarzały, błądy i otłuszczony pracoholik, dla którego największą karą byłby przymusowy urlop. Ilekroć go widzę, mam ochotę spytać, co robi z tą kupą forsy, która co miesiąc wpływa na jego konto? Co takiego ma w sobie władza nad ludźmi – nad nami i nad tysiącami tych, którzy wierzą w to, co wypisujemy – że może się wydać ciekawsza od spędzenia roku na Nowej Zelandii lub od badań w kosmicznym laboratorium NASA, do których piekielnie inteligentny Gabryś z pewnością się nadaje? Władek ze swymi panienkami wydaje się przy Gabrysium uosobieniem człowieczeństwa.

Na zebraniu Gabryś odrzuca tyle samo propozycji, co naczelna w najgorszym humorze, i znowu dostajemy godzinę na poprawienie się. Jednak sposobu, w jaki to robi, może mu pozazdrościć każdy oświecony władca absolutny.

Po tygodniu względnie spokojnie wraca szefica i pobija rekordy swego szaleństwa sprzed świąt. Widać egzotyczne wywczasy nie złagodziły bólu po rozstaniu z Zielonookim (na pewno dlatego uciekła na koniec świata). Wściekła energia tryska z niej jak starożytny Wezuwiusz.

Bezradny jest nawet Władek, bo nie towarzyszył jej w podróży i nie jest w stanie odgadnąć, co też po drodze wpadło jej do świeżo zafarbowanego łba. Gdy zatem ona chrząka, on też chrząka. Gdy marszczy czoło, pilnie marszczy je i Władek. Gdyby zaczęła się drapać po resztkach ogona, z pewnością zaczęłby i on.

Lecz to nie radioaktywny deszcz inwektyw, który na nas spada, jest bohaterem kolegium, ale Mirka. Najspokojniejsza na świecie szeregowka koleżanka z działu rodzinnego, która w zastępstwie chorej Iwonki męczy się z nami po raz pierwszy.

Oba nasze działy są wyjątkowo wdzięcznym chłopcem do bicia, bo na rodzinie i kulturze zna się przecież każdy. Od naczelnej po kobotyna wybierającego fotografie.

Lecą więc na rodzinny wióry aż miło i nagle pada znajome:

– Chyba tylko psa mogłyby obchodzić te bzdury!

Zaskoczona Mirka ogląda się za siebie, jakby szukała tego psa. A potem, zamiast spuścić wzrok, wpatruje się w szeficę coraz większymi oczami... Nie zdążyłam jej uprzedzić, że to jeszcze nic, bo może oberwać w łeb papierową kulka, a dziś to nawet piórnikami, którym naczelna rytmicznie stuka w stół.

Lecz dla Mirki to nie jest nic.

– Nie życzę sobie takiej agresji! – mówi powoli i dobitnie ta najbardziej szara ze wszystkich myszy.

I wstaje!

Konsternacja. Nikt jeszcze nigdy nie ośmielił się wstać, zanim nie wstała naczelna.

– A ja nie życzę sobie takich życzeń! – syczy Halina Cesarska, bardziej czerwona niż radziecki sztandar. – Siadaj! – rozkazuje Mirce jak swemu słynnemu psu.

Ale Mirka demonstracyjnie wsuwa krzesło pod stół i wychodzi najbardziej godnym z kroków. Jest już ponad. I nie w tym rzecz, że nie ma tu życia, nawet gdyby od razu jej nie zwolniono. Jest ponad, bo wzniosła się do lotu, zmieniając się z kury w najpiękniejszego orła.

Udajemy, że Mirka nigdy nie istniała, że sytuacja sprzed sekundy po prostu nie miała miejsca.

Referuję swoje propozycje, wyśmiewane ohydnie przez naczelną, jakby przed chwilą nic się nie stało. I wszystko mi jedno, mogę teraz nawet oberwać piórnikiem.

Nie wiem skąd przypominam sobie nagle patetyczną mądrość pewnego hinduskiego poety: *Cała historia ludzkości to cierpliwe czekanie na triumf człowieka poniżonego.*

I podejmuję decyzję: nie będę już uczestniczyła w tych paranoicznych poniedziałkach. Nawet gdybym miała dostać pensję Gabrysia, albo – co zdecydowanie bardziej prawdopodobne – skończyć jak dziad pod kościołem.

Kapelusz mam!

* * *

Mam nawet kilka kapeluszy, ale nie jestem samobójczynią jak Mirka. Chcę tylko wrócić do tego, co było: na miejsce zwykłej dziennikarki w dziale. Dotychczas wyłącznie cesarzowa i tylko, rzecz jasna, za karę, podejmowała takie decyzje.

Ale co przeszkobać, by mieć pewność, że karą będzie degradacja a nie wywałka z pracy na zbity pysk? Postanawiam, że zrobię z siebie idiotkę, czyli ofiarę losu. Anetka jakimś cudem znajduje mi dziesięciminutową dziurkę w kalendarzu naczelnej.

Staję więc przed boską Haliną i robię. Z własnej matki staruszkę po wylewie, z brata sportowca po wypadku, a z syna początkującego złodzieja. Tylko ja mogę oporządzić mamusię, wymasować braciszka i wyrwać synalka z paszczy zła. Dlatego nie jestem w stanie tkwić w redakcji do nocy, pilnować i reprezentować. Wyjaśnienie oblewam fontanną łez.

Skutkuje! Dostaję łaskawą zgodę, lecz chyba nie dlatego, że jestem tak doskonałą aktorką. Cesarska sprawia wrażenie nieobecnej, a nawet przybitej. I chyba wiem co, a raczej kto, jest powodem. Zielonooki!

Muszę co prawda opuścić gabinet z oknem na rzecz ślepego boksu, w którym można się tylko nabawić depresji, a nie cokolwiek wymyślić, ale zgadzam się potulnie na wszystkie warunki, zwłaszcza że zbytnio nie obniżono mi pensji. Nieoczekiwanie pomogła mi też wrodzona chciwość Maćka, który połasił się na kierowniczą pensję, więc z dnia na dzień zamieniliśmy się biurkami.

Po aferze z Mirką, która prosto z gabinetu naczelnej przytomnie udała się do lekarza i wydebiła miesiąc płatnego zwolnienia, nasza działowa roszada przeszła niemal bez echa.

– Ty to masz fart – mówi Iwona, spotkana w naleśnikarni na siódmym piętrze, jak zawsze z jakimiś papierami, na których robią jej kleksy hektolitry tuszu z rzęs.

– Mam Farta i Porachę, dwie papużki – żartuję beztrósko na myśl o wyjściu z biurowca o ludzkiej godzinie.

– One zawsze chodzą razem – wieszczy katastroficznie Iwona.

A niech sobie spacerują całymi watahami: jestem wolna! Wolna! Jak czasem niewiele

potrzeba do szczęścia. Przecież tak naprawdę jedynie wróciłam do sytuacji sprzed pięciu miesięcy, w której też czułam się niewolnicą, tyle że w niedzielę wieczorem nie bolał mnie brzuch na myśl o najbliższym poranku. Jest więc jak w tym dowcipie o rabinie, do którego przyszedł młody żyd z pytaniem, co zrobić, jeśli ma się za małe mieszkanie i żadnych perspektyw na większe. Rabin mu poradził: weź sobie kozę. A gdy po jakimś czasie żyd powrócił z tym samym kłopotem, mędrzec kazał kozę wyrzucić!

Na razie udało mi się w biały powszedni dzień przepracować przez Ogród Saski i Krakowskie Przedmieście i poczuć piękną kwietniową wiosnę. Niestraszne mi nawet setki stron, które muszę przeczytać do końca maja w związku z konkursem na powieść dla kobiet.

Trzy propozycje, które już obrobiłam, wołają o ministerialny zakaz sprzedawania więcej niż kartkę papieru na osobę.

„Artystka” – w podtytule „Studium egoizmu” – jest o świetnie zapowiadającej się harfistce, która tak niefortunnie potyka się na ulicy, że wbija jej się w żyłę... igła krawiecka leżąca na chodniku (bo u nas takie igły leżą na chodnikach stosami). Rekonwalescencja, długa i upierdliwa jak sama powieść, każe jej zastanowić się nad sobą i swym postępowaniem.

Szkoda, że najpierw nie zrobiła tego autorka.

„Głosy jasności” to historia małżeństwa, dla którego całym światem jest Radio Maryja. Ona, zajęta próbami dodzwonienia się do studia, traci pracę w pasmanterii. On, kierowca ciężarówki, wsłuchany w fale eteru, powoduje wypadek i przegrywa walkę o rentę. Kto winien? – pyta w powieści-oskarżeniu pisarka. Radio, krwiożerczy kapitalizm, czy może sam Pan Bóg?

I wreszcie „Wanna” – łazienkowo-pornograficzna trawestacja słynnej Kafkowskiej „Przemiany”. Tam bohater stał się karaluchem. Tu rozbudzona seksualnie właścicielka restauracji budzi się jako wanna, w której kąpią się seksi byczki najróżniejszej maści.

Podejrzewam, że pod adekwatnym do zawartości książki pseudonimem „Blanka Bruk” kryje się Manuela Gretkowska.

* * *

– Będziesz pisała o telewizji – komunikuje mi Maciek, wczoraj podwładny, dziś mój pan. Jest całkiem żywy po swoim pierwszym kolegium, bo – choć trudno w to uwierzyć – do ekscentrycznych obyczajów szeficy należy „miesiąc miodowy”. Każdy nowy szef dostaje trzy do pięciu tygodni, podczas których jeszcze nie zostanie wyzwany od debili.

Maciek jest żywy do tego stopnia, że przyjął ton szacha Persji, jakby był tu kierownikiem od zawsze, choć to ja przyjąłam go do pracy. Ale czort z nim. Starczy, że polecenie, jakie przyniósł, powala mnie jak strzała Winnetou.

Telewizja! Więc to taką zemstę obmyśliła na mnie naczelna?

W tygodniku „Wzdłuż” jeszcze nikomu nie udało się napisać takiego artykułu o telewizji, który by się jej spodobał. Nie dość, że ona sama nie wie, co właściwie lubi oglądać, to jeszcze (a właściwie przede wszystkim) jest uwikłana w sieć telewizyjnych zależności.

Program A jest koszmar: wręcz modelowy przykład nudziarstwa, z którym walczyliśmy jak lwy. Ale prowadzi go pani B, która z redakcją, czyli z naczelną, jest zaprzyjaźniona. Program C jest wspaniały i dokładnie odpowiada temu, co propagujemy na łamach. Niestety, scenariusz napisał pan D, który nie ma ochoty się z nami zadawać, więc figuruje na czarnej liście nieistnienia. Jego nazwisko wymieniane jest w gabinecie naczelnej jednym tchem z właścicielem stacji E, który kiedyś ośmielił się nazwać szeficę „oszołomką nadającą się co najwyżej do prowadzenia butików”. Cóż więc mi po tym, że emitowany tam talk-show sympatycznej pani F wart jest pochwalenia?

I tak dalej, nie mówiąc o moich własnych upodobaniach czy ocenach, pomagających w tej pracy jak dziura w moście. Przecież ostatecznie będę musiała nakłamać, co każą, podpisać się

pod artykułem i zbierać na mieście gratulacje.

– *To naprawdę świetne. Jaki pazur, co za odwaga!* – wykrzyczy mi w twarz jedna czy druga znajoma, zaszczycone znajomością z taką gwiazdą dziennikarstwa jak ja.

– *Masz pióro!* – Klepnie mnie po plecach kolega po fachu z konkurencji, dyplomatycznie nie wdając się w merytoryczne szczegóły.

– *Córeczko, dlaczego tak rzadko piszesz takie doskonałe teksty? Panie z parku czytały i prosiły, żeby cię pozdrowić!* – *Da się nabrać nawet moja mama.*

O tak. Z pewnością dla pań z parku, oglądających sobie telewizję przy herbatce, jestem kimś!

Ale najpierw tekst musi się w ogóle ukazać. Chyba tylko cudem i dzięki jubilerskiej robocie Władka, wpisującego między moje wersy to, co uda mu się wyciągnąć od naczelnej.

Ten slalom-gigant jest nie do pokonania i kilka razy wypadły z toru prawdziwe medialne gwiazdy, zaproszone przez Cesarską z zewnątrz do napisania takiego artykułu. Nawet T.R., wytrawny gracz, ulubieniec naczelnej i wszystkich pań z parku, nie chciał sygnować dopisków Władka swoim nazwiskiem.

W przeciwieństwie do mnie, nie musiał. Popadł w niełaskę i zniknął z tygodnika, ale ma własne wydawnictwo i w ogóle taką pozycję, że pewnie spłynęło to po nim jak krew po zdechłym kocie.

Patrzę w sufit i zastanawiam się, jak przegryźć tę kapsułkę cyjanku i pozostać przy życiu.

– Nie ma co się gapić w sufit, tylko w telewizor – pociesza mnie Maciek na swój bardzo specyficzny sposób.

Maciek byłby idealnym dyrektorem poprawczaka dla młodych przestępców. Już go słyszę, jak mówi z nieukrywaną nutką satysfakcji:

– *Nie ma co szarpać za kraty. I tak stąd nie wyjdziecie.*

A właśnie, że będę gapiła się w ten sufit! Policzę wszystkie kasetony! Raz, dwa, trzy, cztery, czternaście... Z każdej płytki spogląda na mnie wykrzywiona twarz szeficy. Pochyliła się nad moim losem, by popatrzeć, jak sama podcinam sobie żyły.

Lecz czy redakcja „Wzdłuż” jest rzeczywiście jedynym miejscem pracy w Warszawie dla kogoś takiego jak ja? Siedzę tu czwarty rok i jakoś dotąd nie zadawałam sobie takich pytań.

Po latach żmudnego redagowania serwisów radiowych, awans na panią od kultury w wysokonakładowym tygodniku to było coś! Zaproszenie do współpracy uznałam za nobilitację i nawet przez pewien czas skrzętnie wycinałam swoje artykuły, chowając w skoroszybie z napisem „Moje sukcesy!”.

Nim się obejrzałam, zostałam znaną dziennikarką, zastępcą kierownika działu, a gdy się wykończył na zawał – że też nie wyciągnęłam z tego wniosków! – kierownikiem. Mój notes napęczniał od sławnych nazwisk, a znajomi z dumy.

No cóż, mnie też nie było z tego powodu przykro. Wszyscy byli tacy mili – wiadomo, media, czwarta władza! Tylko szybko okazało się, że ja, osobiście, nie mam żadnej. Nie dość, że byłam kierownikiem bez kierownicy, to jeszcze musiałam jechać po odgórnie wytyczonym torze. Szybko i bez wypadku.

Całym sercem stałam po stronie aktorów, pisząc o buncie w teatrze przeciwko tępemu dyrektorowi. I całe to serce kazano mi głęboko schować, bo naczelna z owym dyrektorem bawiła się w piaskownicy.

Kiedy ostatecznie pozbyłam się honoru? Pisząc o głupim filmie, że dobry, czy smarując pamflet na Bogu ducha winną piosenkarkę, która podczas koncertu miała po prostu grypę, ale była kochanką kochanka Cesarskiej?

– Gazeta to nie książka – pomogła mi pani Ewa, mistrzyni świata w krętactwie od

trzydziestu lat – Czego byś nie napisała, za tydzień nikt nie będzie o tym pamiętał. Byle z dala od polityki, bo to wyciągną ci zawsze.

I, przepowiadając to sobie jak mantrę, przebijałam się jakoś i bujam dalej.

Pięćdziesiąta siódma płytka na suficie i pięćdziesiąty siódmy grymas na wyprasowanej twarzy szeficy.

– Współczuję ci tematu – szepcze Hania.

Moja sympatyczna stażystka ma jednak swój problem. Całkiem nieoczekiwanie naczelną dorwała ją dziś w korytarzu i obsypała pochwałami. Znaczący, jej akcje pną się w górę. A z góry już tylko na łebek, na szyjkę. Gorzej od samobójcy, który przynajmniej moment końca wybiera sobie sam.

– Wychodzę – rzucam Maćkowi przez półotwarte drzwi.

– O drugiej po południu? Nie zwalniam cię jeszcze! – moduluje głos znad „Przeglądu Sportowego”

Znam go dobrze. Niby dowcip, ale nie do końca.

– Uważaj, bo ja cię zwolnię – odcinam się jak dziecko.

– Obawiam się, że już nie.

I mówi prawdę, jak wesolutko by w jego paszczy nie brzmiała.

– Wychodzę w sprawach służbowych – warczę.

– A dokąd to?

– Do domu. Oglądać telewizję!

Po drodze wstępuję jeszcze do Pamel na kilka minut solarium. Coś kiepsko działa albo mam skórę niezbyt podatną, na wygląd á la Oprah Winfrey. Byłam tu ostatnio kilkakrotnie, a efekty żadne.

Na tipsy, odkąd warknęłam, że są dobre dla ekspedientek (co też nie jest prawdą, bo jak podawać towar?), przestały mnie namawiać.

– Przepraszam – odzywa się grzecznie jedna z Pamel, gdy już opuszczam kabinę. – Ale zauważyłam, że gdy się pani opala, nie zamyka pani łóżka.

– Łóżka? Ach, dziękuję, zamyśliłam się trochę. – Siłę się na uśmiech, zdruzgotana własną głupotą.

Nic dziwnego, że nie zostałam Oprah! I raczej już nie zostanę, nie tylko z powodu skóry...

Zjeżdżam na parter. Ruch jak na dworcu. Gdzie oni się tak wszyscy... gdzie my się tak wszyscy spieszymy?

Oho, jeszcze tylko czyścibut mnie nie podrywał! Co się tak gapisz? Zajmij się lepiej cudzymi butami, złorzeczę w duchu. Jakiś chrzaniony menadżerek daje ci zarobić, to pracuj!

Wzrokiem naczelną z kolegium spoglądam w stronę właściciela markowego obuwia i potykam się o własne, bulwersująco zafajdane czółenka. Z fotela uśmiecha się do mnie Zielonooki!

Mam nieodparte wrażenie, że gdyby mógł, wyskoczyłby ze swoich czarnych elegantów, żeby się ze mną przywitać. Ale może się mylę? Dlaczego niby miałyby biec przez korytarz w skarpetkach? W celu złożenia mi hołdu? Czy zasługuję na akt adoracji, bo stroiłam miny w „Hiszpance” i zrobiłam porotę na stoisku kosmetycznym?

Tak czy owak, jest uwięziony, a ja już wsuwam się w główne drzwi, wymyślone przez maniaka karuzeli. Ale kłaniamy się sobie z daleka.

I tyle.

9.

To znaczy, tyle pewnie zarejestrowała wszędobylska kamera. Gdyby ją zainstalować w mojej głowie, nakręciłaby o wiele więcej. Postmodernistyczny kryminał, czyli suspens bez wyjaśnienia intrygi.

Po co Zielonooki przyszedł do biurowca i w dodatku czyścił, a raczej polecił wyczyścić, swoje obuwie? Jasne jak mleczna zupa! Postanowił wrócić do Cesarskiej, a wyglansowane buty to ona ceni sobie wyżej niż całą naszą redakcję! Może w interesach miał małą dziurę budżetową (dla niego mała, dla mnie kosmos) i Cesarska wstrzyknęła w niego parę groszy (dla niej pestka, dla mnie majątek)? A teraz, nie w ciemną bita, domaga się natychmiastowego zwrotu.

I słusznie, też bym tak postąpiła. Kochasz? Bierz! Nie kochasz? Oddawaj! Z lichwiarskimi procentami za złamane serce.

I Zielonooki się tego zapewne okropnie przestraszył, bo forse już wydał, spłacając pilny dług, za który ściga go na przykład ukraińska mafia. Na ołtarzu biznesu szybko poświęcił tamtą belladonnę z drogerii. I dobrze. Należało jej się.

– Znalazłeś to, czego szukasz? – zapytała go wtedy w sklepie uprzejmie chłodnym tonem, jakby jej to wcale nie interesowało.

Ma za swoje!

Lecz jeśli on jest taki cwany, to nie ma najmniejszego powodu, bym sobie zawracała nim trzewia.

Oj, nie dam ja się nabrać, bratku, na te twoje słodkie zielone oczka. W rzeczywistości pewnie czerwone od intensywnego wylapywania ofiar, które można naciągnąć na kasę! Bo przecież tę jego świeżą trawkę we wzroku dają tylko soczewki, jak mój lazur.

A ja, durna, jeszcze mu się odkłoniłam!

Zaraz... może to nie tak.

Znaczy, cesarzowa na pewno zażądała natychmiastowego zwrotu pożyczki, już ja ją znam. I Zielonooki, człowiek honoru, zdecydował się w ostatniej chwili jednak nie przekazywać walizki z banknotami czekającym mafiosom, tylko oddać jej całą kwotę. A nie należy do facetów, którzy by oddawali pieniądze w zakurzonych butach, o nie!

I teraz grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, bo jeśli nie zwróci forsy Ukraińcom... Oczywiście! To tłumaczy fakt, że chciał się wyrwać z rąk czyścibuta, by poprosić mnie o pomoc. Konkretnie – o mój adres, żeby się zadekować na kilka dni, a potem przemknąć na lotnisko i wsiąść do samolotu na Hawaje albo przynajmniej do Złotych Piasków. Ukraińska mafia przecież nie wie, gdzie mieszkam. Może wrócić i się zgodzić?

Stanę sobie przy głównych drzwiach, najlepiej koło apteki, niby że czekam, aż przygotują mi mieszankę ziół odchudzających. Iwonka tu taką zamawiała i naprawdę musiała czekać. W międzyczasie wypiszę malutką karteczkę z nazwą ulicy, numerem domu i mieszkania. Żeby tylko nie pomylił drzwi i nie zapukał do mamusi! Gdy będzie wychodził, dyskretnie wsunę mu kartkę do kieszeni.

A jeśli bandziory dowiedzą się, gdzie mieszkam?

Jaka ja jestem naiwna! Przecież oni nie takie informacje potrafią zdobyć w lot.

Wystarczy, że pójdą do naczelniej, przystawią jej spluwę do chirurgicznie naciągniętej szyi i ona natychmiast wszystko wypapla. A szkoda, bo gdyby się postawiła – trrrrach! (niesłyszalny, bo glock z tłumikiem), i wszyscy byśmy wreszcie odetchnęli.

Nie wykluczam też, że stara wiedźma wypapla mój adres z przyjemnością, bez lufy

w zmarszczkach wyprasowanych na ceratę. To całkiem prawdopodobne, bo i tak przeznaczyła mnie już na odstrzał, wyznaczając do napisania artykułu o telewizji. A zresztą najnormalniej w świecie jest z bandziorami w zмовie! Czy ktoś w naszym kraju może mieć duży, dobrze prosperujący interes bez mafijnej „opieki”?

Całe szczęście, że podczas zeszłorocznego remontu wstawiłam nowe zamki, tak łatwo nie wejdą. Nawet może odpuszczą sobie forsowanie drzwi, Gapa potrafi czekać jak rottweiler!

Ale wystarczy, że zaczają się pod szkołą na Patryka. I stanie się cud, czyli będzie to akurat w dniu, gdy mój synalek raczy pójść na lekcje. Wsadzą go do samochodu i – cześć pieśni! Zresztą, akurat jemu to by się spodobało.

A potem już tylko telefon z propozycją transakcji rozdzierającej serce: jedyny syn za ukochanego mężczyznę! Dobrze, że się farbuję, bo w takich przypadkach człowiek podobno może osiwieć w ciągu kilku minut.

No ale przypuśćmy, że Ukraińcy nie od razu wpadną na mój trop. I po co mi to wszystko? Mam się przykleić się do faceta, który tylko myśli o tym, jak znaleźć się w samolocie na Hawaje albo przynajmniej do Złotych Piasków? A przykleję się natychmiast, bo jestem samotna i już nie pamiętam, kiedy jakiś twardziel próbował mnie wziąć w ramiona...

Zresztą, „ukochany mężczyzna” to nonsens. Przede wszystkim ukochany mężczyzna zabrałby mnie ze sobą! Patryka zostawiłabym z Gapą i mamusią, już one zadbałyby o to, żeby skończył nie tylko liceum, ale i jakieś studia. Za kilka lat przyjechaliby do nas na bajeczne wakacje, razem z Tymonem i jego Cycopchełką czy tam inną Dupkoweszka. Może nawet zamieszkaliby niedaleko, mama tak lubi ciepło.

Byle nie drzwi w drzwi!

Już mam wrócić do biurowca i stanąć na czatach pod apteką, gdy uświadamiam sobie, że przecież nie wyjedziemy z Zielonookim na żadne Hawaje ani nawet do Złotych Piasków. Ani razem, ani osobno. Za co? Przecież ta forsa wróci do naczelniej lub na Ukrainę! I jak mogłam postawić obcego przystojniaka nad własnego syna? Wyrodna matka! Toż lepiej, żeby przy mnie nie skończył żadnych szkół niż był dyplomowanym sierotą! Poza tym, jak ja zamierzałam napisać ten nieszczęsny artykuł o telewizji? W wyuzdanych objęciach kochanka i z mafią na progu?

Macham na taksówkę i pędzę do domu, nim zrobię coś głupiego. Pod blokiem wpadam prosto na Patryka. Ma tak zbolałą minę, że nie mam wątpliwości: jednak był dziś w szkole i właśnie z niej wraca.

– Synku najdroższy! – Przyciskam go do siebie. – Nie musisz już chodzić do tej parszywej budy, gdzie nikt cię nie chce zrozumieć. Najważniejsze, że jesteśmy razem! I nikt ani nic nie jest w stanie nas rozłączyć!

– Serio? Super! – mówi Pat, wyplątując się z moich objęć i patrząc, czy aby ktoś nie widział tej uczuciowej kompromitacji. – W takim razie daj mi dwie dychy.

* * *

Sobotę spędzam prawie jak Goldie Hawn w „Ze śmiercią jej do twarzy”, gdy Meryl Streep ukradła jej męża. Na niezaścielonej kanapie, z workiem chipsów na kolanach, długopisem w jednej i pilotem do telewizora w drugiej ręce.

Po błaganiach, jakie sześć razy nagrałam na sekretarce Władka, łaskawie oddzwonił z konsultacjami.

– Napiszmy coś o telewizji – powiedziała mu naczelnia. – Pojawia się tyłu nowych ludzi! Zwłaszcza „my” jest ujmujące, jakby to ona miała pisać!

Nowi ludzie? Kogo mogła mieć na myśli? Goście w programach publicystycznych wciąż ci sami. Prowadzący także. Nie zmieniają się też aktorzy w serialach. Żmijewski z policjanta stał

się ojcem Mateuszem, a Joasia Brodzik z Kasi od Tomka przeszła do rozlewania swych wdzięków nad rozlewiskiem.

Doszliśmy do wniosku, że tekst, zainspirowany dziewięcioma słowami szeficy, będzie o występujących w TV amatorach. To jedyni nowi ludzie i w dodatku najbezpieczniejsze wyjście, bo z takimi Cesarska się nie zadaje i nic jej z nimi nie łączy.

Pstryk, pstryk, pstryk, zmieniam kanały, aż dostaję oczopląsu.

I nie mogę się nadziwić, bo na co dzień na telewizję nie mam ani chwili czasu.

Faktycznie, amatorzy są wszędzie. Śpiewają, gotują, zgadują, ćwiczą na przyrządach, remontują mieszkania, udają Piętaszków na bezludnych wyspach...

I dobrze, niech sobie udają. Ale po co ja mam to wszystko oglądać?

Dlaczego, zamiast pokazać Celine Dion, proponuje mi się anorektyczkę z Kielc, która ją udaje? Zachwycona sobą dziewczyna, w sztucznej biżuterii i na estradzie markującej wielką scenę, już na wejście dostaje dziką owację. Potem masakruje hit Celine i znów burza braw bez końca. Rozumiem, że bawi to samą zainteresowaną, rodzinę i przyjaciół ogłupionego Kopciuszka, ale kogo jeszcze?

Patrzcie, zachęcają autorzy filmowego felietonu, jeszcze wczoraj była w swoim mieście pomocniczką fryzjerki. I oto spełniła wreszcie swoje marzenia!

I ja się niezmiernie cieszę, że ktoś na tym niesprawiedliwym padole wreszcie mógł zademonstrować swój porażający talent. Ale dlaczego mnie? Nie biorę pieniędzy za kaleczenie swoich uszu jak jurorzy „Idola”. Przeciwnie, za włączenie odbiornika jeszcze płacę! Na cholere mi podróba, skoro mogę podziwiać naprawdę wielkich artystów?

Pstryk.

Oto zięć próbuje odgadnąć, czy jego teściowa woli Krawczyka, Deląga czy Dańca? Udało się! Woli Dańca! Takiej owacji, jak ten wypłosz w dresie, nie dostała nigdy żadna z typowanych gwiazd. A gdy teściowa, cała w falbankach i koronkach (świetnie pasujących do dresu jej zięcia) podnosi łapkę, by pomachać zgromadzonej w studiu publiczności, szał sięga zenitu. Madonna i Doda mogą się skręcać z zazdrości.

Pstryk.

I znowu nieustające wesele. Dwie rodziny w składach wzmocnionych o zastęp dalekich kuzynów wpatrują się w wielkie zdjęcie. Co to za reprodukcja? Może jakiś warty podziwiania obraz i ludzie, którzy na co dzień nie mają kontaktu ze sztuką, uczą się przynajmniej, że malarstwo nie zaczyna się od główek znanych jako „Poczet królów polskich” i nie kończy „Bitwą pod Grunwaldem”?

Wolne żarty. Z fotografii krzywi się jakaś papuśna dziewczynka. Czyje to zdjęcie z dzieciństwa?

– Urszula? – Syn brata taty nie jest przekonany.

– Krystyna Prońko? – Żona siostry też nie jest pewna.

– A może to „Piasek” Piaseczny? – dedukuje przyszywany pociotek z konkurencyjnej rodziny, wzięty do programu, żeby nie musiał go w domu oglądać sam, bo wszyscy w telewizji.

Prowadzący quiz znany szansonista jest zachwycony. W końcu dostanie honorarium bez względu na to, która z rodzin odpowie prawidłowo. A te patrzą na siebie coraz bardziej spode łba. Jest o co walczyć. Za właściwą identyfikację buźki na obrazku można będzie cały klan wyżywić przez miesiąc.

Pstrykam dalej.

– Basiu, musisz odpowiedzieć! – grzmi kolejny moderator, czyli po naszymu właśnie prowadzący.

– Kiedy nie wiem – kwili przerażona Basia, spocona już jak ruda mysz na egzaminie

z metafizyki.

– Ale Basiu, no pomyśl! – życzliwie radzi miły pan, choć przesłuchiwana jest na granicy omdlenia.

Widownia w napięciu czeka na iluminację Basi, która za żadne cukierki nie chce nastąpić.

– Jak ona ma pomyśleć, skoro nic nie wie?! – krzyczę do tego mądrali, rzucając w ekran resztkami chipsów.

Tymczasem na elektrycznym krzeselku usiadła już następna delikwentka, którą publika, w ramach kredytu zaufania, wita histerycznym piskiem i tupaniem. Jeśli nie odpowie na żadne pytanie, a na to się zanoszą, będzie mogła przynajmniej wspominać tę owację. W ten sposób nie popadnie potem w depresję, za co mogłaby od autorów programu domagać się odszkodowania.

Bo telewizja jest rodzinna i jak rodzina – bezpieczna!

W ferworze braw za nie wiadomo co nie słyszę nawet mamy, która nagle wyrasta przede mną.

– Co ty wyprawiasz? – pyta zniesmaczona. – Cały dzień przed telewizorem? Wyszłabyś z dzieckiem na spacer przy weekendzie.

– Pracuję. A dziecko musiałoby najpierw wrócić do domu.

– Nie ma go?

– A kiedy ostatnio był?

– To wszystko źle się skończy. – Mama bierze kubek po porannej kawie i, zamiast wyjść, przysiadła na rogu fotela.

Tak zwyczajnie, bez powodu, nie usiadła ze mną od czasów dinozaurów, więc czekam na jakiś komunikat. Niech zgadnę: będzie o zaniedbywaniu rodzicielskich obowiązków albo o tym, że fatalnie się odżywiam, bo podejrzliwie zerka na worek po chipsach. W każdym razie nic dobrego.

I tu się mylę.

– Sama też mogłabyś... gdzieś wyjść – mówi niemal szeptem, jakby wstydziła się tej propozycji. – Znaczący, niekoniecznie sama, no wiesz...

Robię coraz większe oczy i nawet nie muszę uważać, że mi wypadną soczewki, bo się w nie w domu nie stroję.

– Niby z kim? – Nie dość, że udaję Greka, to jeszcze odwracam kota ogonem. – Nigdzie ze mną nie chcesz wyjść, nawet przestałam proponować. Tylko szkoła, gary, pies, szkoła, gary, pies...

– Szkoła daje mi pieniądze, o garach lepiej nic nie mów, bo beze mnie jedlibyście chyba żwir z podwórka. A pies... pies właśnie musi się wysikać – kończy sucho mama, podnosząc się z fotela.

I jest mi głupio, że przez niewyparzoną gębę na własną prośbę straciłam okazję do normalnego serdecznego pogadania. Jak znam mamę, w takiej sytuacji wyjdzie od razu.

Lecz ona jeszcze przystaje w drzwiach.

– Wiesz, jak to miło przejść się z kimś sympatycznym po wiosennym parku? Pamiętaj, córeczko, że po czterdziestce życie ucieka jak... jak spłoszony motyl – mówi ciepło i z jakimś osobliwym smutkiem, którego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam.

– To jeszcze zostało mi kilka miesięcy – żartuję, choć wcale nie jest mi do śmiechu.

– Potem liczy się każdą godzinę – mama wzdycha bardziej do siebie niż do mnie i wychodzi.

Życie ucieka jak spłoszony motyl? Ja powiedziałabym pewnie, że jak oszalały zając. Ale na jedno wychodzi. I z kim miłym ona tak przechadza się po parku, skoro zaczęła o tym mówić?

No, ale życie ucieka, więc wracajmy do zabawy. Pstryk!

Pod gigantyczną krzyżówką jakiś chudzielec odpytuje panią o gabarytach meblościanki. W słowie WIKTUAŁY brakuje już tylko litery A. Lecz Meblościanka nie zna tego słowa, choć przecież widać, że głównie spędza czas na ich pochłanianiu. Nie mogła wystartować w konkursie na zjedzenie jak największej liczby pączków? Przynajmniej dałaby sobie szansę!

* * *

Całą niedzielę spędzam przy komputerze, smarując artykuł.
„Telewizja amatorów”, myślę o tytule.
„Telewizja dla wszystkich”, piszę.
„Żeby pokazać się na szklanym ekranie, nie trzeba dziś już nic umieć, wystarczy tupet”, myślę.
„Nareszcie każdy może zaprezentować się milionom widzów”, piszę.
„Ogólnopolski program przypomina osiedlową telewizję, w której ciocia Hela demonstruje sąsiadce, jak się powinno odkurzać”, myślę.
„Wydumane programy, niemające związku z rzeczywistością, zostały zastąpione samym życiem”, piszę.
„Tandetna oferta sprowadza nasze poczucie humoru na dno, gdzie śmiejemy się serdecznie z tych, którzy fałszują lub z pewnością siebie mówią głupstwa”, myślę.
„Efektowna formuła telewizji społeczno-obyczajowej pozwala nam lepiej poznać rodaków i cieszyć się ich sukcesami”, piszę.
„To potworne, te wszystkie imitacje gwiazd i te zgadywanki, co zrobiłaby babcia, gdyby była dziadkiem”, myślę.
„Okazuje się, że talentów mamy co niemiara, a sława jest tylko kwestią szczęścia”, piszę.
„Żenujące jest robienie z igły wideł, tremolo bębnow podnoszące temperaturę oczekiwania na odpowiedź, czy państwo Kowalscy przyjechali z Łodzi, czy ze Świdnicy”, myślę.
„W telewizji rodzinnej nikt nie poczuje się zlekceważony – piszę. Poza garstką widzów, którzy nie dali się jeszcze ogłupić”, myślę.
„Poza zgorzkniałymi inteligentami, którzy sami nie wiedzą, czego chcą”, piszę, cytując dosłownie naczelną z kolegium.
Siedzę nad tym do świtu. Jak by nie patrzeć, powstają dwa artykuły! Po publikacji drugiego musiałabym zmienić zawód, bo nikt by takiego tygodnika nie kupił.
Bohaterka któregoś z filmów Almodóvara pisała po nocach kiczowate romansidła, wydając je pod pseudonimem. A w dzień szła do redakcji, by już pod własnym nazwiskiem nie zostawić na nich suchej nitki. I mówi się, że jego filmy są dziwaczne i oderwane od rzeczywistości!
O szóstej rano wysyłam artykuł do Władka. „Nie chcem, ale muszem”, jak by powiedział nasz Wałęsa. Władek był wczoraj z naczelną na jakimś wielkim bankiecie. Może, między lampką campari a ptifurką, palnęła coś na temat telewizji i to coś, wpisane teraz do tekstu przez Władka, uratuje mi głowę?

10.

O ja naiwna! Myślałam, że ten poniedziałek, skoro nie muszę już iść na kolegium, rozpocznie w moim życiu słodki czas wymarzonego spokoju. Zamiast budzika, luksusowo nastawionego na dziesiątą, o siódmej budzi mnie telefon od Anetki.

– Przepraszam, ale w piątek kompletnie zapomniałam ci powiedzieć, że naczelną chce z tobą rozmawiać o artykule dziś, jeszcze przed kolegium, o dziewiątej czterdzieści pięć.

Jestem po godzinie snu. Może to jednak upiorny koszmar? Ale nie, zdecydowanie trzymam w ręku komórkę.

Dziękuję Anetce, że w ogóle sobie raczyła przypomnieć, i wciskam numer Władka. Trudno, najwyżej bóg programowy też wstanie.

O dziwo, odbiera od razu.

– Władek – sapię nieprzytomna do słuchawki – wybaczone, że o tej porze, ale mam pilną sprawę, bo widzisz, naczelną...

– Wszystko wiem – mówi spokojnie Władek. – Twój tekst uładziłem i Halina ma go już na komputerze.

Jeżu, czy on nigdy nie śpi?

Dostaję takiego przyspieszenia, że pod biurkiem ląduję przed czasem. Do taksówki, z której wysiadam, wpycha się Danka, kumpela z tygodnika „Lala”. Powinnyśmy zamienić się adresami, bo „Lala” mieści się koło mnie, a żeby od Danki dostać się do mojej redakcji na dziesiątą, można wstać pięć po dziewiątej.

– Lucyna! Gdzie ty się chowasz? – pyta zaskoczona Danka. – Przynajmniej dwa razy w tygodniu jest jakaś impreza! Jak nie premiera filmu, to konferencja prasowa ze świetnym bufetem... Byłyśmy wczoraj na ekstra pokazie mody, ciuchy nie do włożenia, ale burgundzkie wino i kupa fajnych ludzi! Przecież dostajecie zaproszenia? Zadzwoń! – krzyczy na jednym oddechu, moszcząc się w taksówce.

Nie wiem, gdzie ja się tak chowam, w każdym razie nie celowo. A wczorajszy dzień spędziłam, tłukąc głową w komputer.

Danka jest kilka lat młodsza (choć nie wygląda), też sama wychowuje dziecko i też w swojej redakcji tkwi cały dzień. Tyle, że nie musi podchodzić do wszystkiego jak pies do jeża. Píše to, co uważa. Nie żeby w „Lali” byli tacy liberalni. Ona po prostu ma to szczęście, że jest skrojona na dzisiejsze czasy, nie jakaś tam klasyczna. Przez myśl by jej nie przeszło, że można, pisząc artykuł, układać sobie drugi, całkiem inny, w głowie.

Śmiesz ją „Kiepscy” i z przyjemnością pokibicuje przy obiedzie wypłoszowi w dresie zgadującym, co lubi jego teściowa, a za chwilę o tym nie pamięta. Dobre jest to, o czym mówią, że dobre. Własne zdanie wystarczy mieć wobec kandydata na kochanka. A i wtedy, zamiast zbędnej kokieterii, podnoszenia i opuszczania nosa na milimetr (ale by się śmiała!), wystarczy przecież od razu powiedzieć: tak lub nie.

Danka nie szła do pracy jak na ścięcie, a z prostactwa naczelnej otrzepałyby się jak sroka po deszczu i szybko pognałyby na pokaz mody.

Lucynka ledwo lezie, jak zły uczeń, który chce ominąć sprawdzian.

* * *

– Szefowa już czeka! – przerażona Anetka rzuca się na mnie od windy.

– Jeszcze nie czas – warczę, bo za chwilę sobie raczej nie powarczę, i dziarsko wchodzę do gabinetu.

Udzielna władczyni złamałaby kręgosłup, gdyby podniosła się zza biurka na mój widok. I straciłaby do siebie cały szacunek, proponując, bym usiadła. Nie bawi się też w żadne przywitania.

– Moja droga, tym razem chyba się nie zrozumieliśmy – cedzi przez zęby, jak na nią i tak wyjątkowo uprzejmie

A kiedy to niby się rozumieliśmy?

– No, nie dostałam w sumie żadnych dokładniejszych wskazówek... – bąkam, stojąc nieruchomo niczym rzeźba nagrobna na środku gabinetu-grobowca z prawie czarnego drewna.

– Rasowy dziennikarz nie potrzebuje żadnych wskazówek! – przechodzi do ataku.

I bez tych słów czuję się jak kundel.

– Coś ty tu powypisywała? – rysuje tipsem po biurku.

I czyta na głos... nie mój tekst! Owszem, wyłapuję jakieś swoje sformułowania, ale są kroplą w morzu wiadomo kogo.

Poczekaj, niech ja cię dorwę, ty gnido!

– To Władek – mówię bez emocji i dziwię się, że to mówię. – Przecież wszyscy wiedzą, że nim nasze artykuły trafią do Ciebie, przechodzą przez ręce Władka. Dlatego są identyczne i brak im charakteru, choć podpisane przez różne nazwiska.

Od miesiący obiecywałam sobie, że wreszcie kiedyś to powiem, ostatecznie demaskując wszechwładnego programowego.

No, toś się zdziwiła, myślę, powstrzymując się od triumfalnego uśmiechu i czekając, aż padnie, jak siedziała.

Cesarzowa nie pada. Przeciwnie: usztwytnia się, jakby ją kto nagle zagipsował.

– Gdyby nie Władek, wszystko, co piszecie, nadawałoby się od razu do kosza – mówi spokojnie i robi z mojej nieprzespanej nocy papierową kulkę.

A spróbuj tylko nią we mnie rzucić, to wydrapię ci oczy, postanawia we mnie strzęp człowieka, którym właśnie się stałam.

– Nowy tekst poproszę rano na biurko – oznajmia szefica łagodnie.

Dopiero teraz kulka celnie ląduje w kubie na śmieci, a ja, z perspektywą pilnego samobójstwa, za drzwiami.

Nie napiszę tego, bo nawet nie wiem, co jest źle. Socjologiczny bełkot, w jakim Władek utopił mój artykuł, z autarkią, nudą i niszą, też jednak wychwalał telewizję amatorów pod niebiosa. Więc o co chodzi? Napisać to, co naprawdę myślę? Nie, Cesarska nigdy nie poszłaby na wojnę z tym, co się powszechnie podoba.

Jedynym człowiekiem na świecie, który mógłby mi pomóc, jest niestety Władek. Tylko on ma cię szansę dowiedzieć się, w jakim to w ogóle kierunku powinno pójść. Szkoda, że teraz raczej mi nie pomoże.

Stoję i zastanawiam się, jak zginąć. Nawet nie zauważam naczelnej, która bez słowa przechodzi obok w drodze na kolegium. Nie cieszy mnie, że nie muszę już tam iść.

Bo już nigdy nigdzie nie będę musiała iść!

Z pożądaniem patrzę w stronę naszych wielkich okien. Z trzydziestego piętra zabiłby się nawet Superman. I nagle mnie oświeca, dlaczego te okna się nie otwierają. To, że przez klimatyzację to ściema, jak mówi Patryk. One się nie otwierają, bo stos trupów zabarykadowałby wejście do biurowca!

Wchodzę do aneksu kuchennego. Z elektrycznego dzbanka wylewam resztki wody, podłączam do kontaktu i wsadzam rękę.

– Żegnajcie – szepczę, zaciskając dłoń na spirali grzewczej.

Ale szybko robi się tak gorąca, że jestem zmuszona ją puścić. Życie przyniosło mi

wystarczająco dużo bólu. Umrzeć chcę bezboleśnie!

Cholera, noże tylko plastikowe...

A gdyby tak wsadzić głowę do mikrofalówki i nastawić na najbardziej zabójcze fale?

– Ty nie na kolegium? – wbiega Anetka z krokietkami w tak drżących rękach, że kapuściane nadzienie wypada na podłogę. – Tylko teraz mam chwilkę, by zjeść – mówi szeptem, wsuwając do mikrofalówki niemal samo ciasto.

– A co? Jedzenie krokietów zabronione, bo naczelną wchrania tylko kielki?

– Ciiiiichooo! – Anetka, niemal zwalona z nóg, rozgląda się po suficie.

– Kamery? Mikrofony? – Patrzą w sufit i wystawiam język.

Anetka porzuca krokiety i błyskawicznie, ślizgając się po kapuście, znika.

Jak zwykle w poniedziałki o tej porze, redakcja jest pusta. Snuję się między biurkami w poszukiwaniu czegoś... Nie wiem, co to by miało być, ale jak znajdę, będę wiedziała.

Kserokopiarka? Zabija tylko oczy. O, na komputerze Majki leży jakieś lekarstwo...

Aspiryna. Też wymyśliła!

Mam, nożyczki! Tylko jak je sobie wbić? Widziałam kiedyś taki film, trzeba jednym ruchem. Ale to był facet, w dodatku chirurg, żona go rzuciła. Może gdybym je w coś wetknęła i z rozbiegu się na nie nadziała... Tylko w co? W szklaną ściankę boksu nie da rady. I jak wziąć rozbieg, skoro tu można wyłącznie skakać jak przez płotki?

Sinusoidą dochodzę do swojego miejsca. Przy biurku obok siedzi już Kuba. Proszę, jaki pracoholik!

– Lucyna, dobrze się czujesz?

– Eee... nie za bardzo. A widać?

– Nie pytaj. – Uśmiecha się tak, że mi trochę lżej. – Poległaś na telewizji?

– Ostatecznie! – Walę się na krzesło i wszystko mu opowiadam. Poza elektrycznym dzbankiem, mikrofalówką i nożyczkami. I tak po tym, co zrobiłam, musi mnie mieć za wariatkę. Z letargu wyrywa mnie dzwonek telefonu. Odruchowo odbieram.

– Pani Lucyna?

– Tak, ale już nie jestem kierownikiem.

– Dzwonię ze szkoły. Pani syn miał się dziś wyciągnąć z matematyki, to był ostatni termin. I nie przyszedł.

– Mój syn? – pytam bez sensu i odkładam słuchawkę na stół.

W co ja mam wetknąć te nożyczki?

– Halo? – słyszę głos Kuby. – Jak to, kto mówi? Ojciec! Nie, nie pracujemy razem, jestem tu przez przypadek. Co się stało? A konkretnie z czego? Aha... A mógłby to zdawać w jeszcze mniejszych częściach? Doskonale. Na jutro będzie przygotowany!

* * *

– Zatłukę cię, smarkaczu! Nadzieję na nożyczki! – drę się od wejścia do domu jak syrena fabryczna.

– Przestań – uspakaja mnie Kuba. – Nie tędy droga.

– A którą?! Masz dzieci?

– Przecież wiesz, że nie.

No wiem, ale poza tym prawie się nie znamy. A że gnojka oczywiście nie ma, Kuba opowiada mi o sobie.

Nie mogę się nadziwić. Ma ledwie trzydzieści lat, a przeżył co najmniej pięćdziesiąt. Zdążył bogato się ożenić i honorowo rozwieść, gdy zrozumiał, że żona po prostu go sobie kupiła. Taki ktoś nie da się omamić cesarzowej jak Zielonooki! W najgorszych czasach rozwoził mleko, a w najlepszych był wicedyrektorem prywatnego banku.

Ale czy to wystarczy, by w jedno popołudnie i noc nauczyć Patryka matmy? I w ogóle gdzie on polazł? Komórka oczywiście nie odpowiada.

– Nie martw się i siadaj do tekstu – mówi Kuba, jakbym to ja wymagała żelaznej ręki.

– Nic nie zamierzam pisać! – odgrzązam się, otwierając laptop.

– Nie wygłupiaj się. Przecież stara musiała odreagować łachę, którą ci zrobiła, zezwalając na rezygnację z kierowania działem.

– Niczym nie kierowałam, byłam tylko jak pan Zenek, który tu na dole na parkingu wypuszcza i wypuszcza samochody!

Kuba zza moich pleców czyta odrzucone arcydzieło. Władek odesłał mi je w swojej wersji z uroczymi życzeniami powodzenia, bez słowa komentarza.

– Wiesz co? Trzeba to wszystko na nowo pomieszać, poprzerstawić akapity i tyle. Sałatka ryzykowna, ale innego wyjścia nie ma. I może się udać, bo Cesarska sama nie wie, czego chce.

Szybko pojął zasady gry, przystojniak jeden. I chyba ma na mnie dobry wpływ.

Przymierzam się do mieszania „sałatki”.

– Najlepiej wytnij koniec, którego na pewno nie przeczytała, i przerzuć na początek!

– No coś ty, aż tak?

Kuba błyska białymi zębami amanta.

– Nie sądzę, by stara zadała sobie trud wgłębiania się w resztę. Są już próbne wydruki zdjęć do jej nowego wywiadu i nic więcej jej nie obchodzi.

– A co tym razem wymyśliła?

– Pochyla się nad ubóstwem Polski B, stojąc nad biedaszybem w Wałbrzychu i wdzięcząc się do kominów pozamykanych kopalni. Cała w diamentach jako szlachetniejszej formie węgla!

– Nie żartuj... – Nie mogę uwierzyć.

– A wszystko pod tytułem „To też jest nasza rzeczywistość!”.

– No, jej w szczególności!

Warszawa, państwo w państwie, od czasu do czasu próbuje się podlizać prowincji, z której pochodzą prawie wszyscy. Prawda jest taka, że stolica i reszta kraju nienawidzą się serdecznie i z wzajemnością. Na Mazurach czy innym Śląsku słusznie uważają, że nam tutaj przewróciło się w głowie, a na nowych salonach Cesarska i jej podobni trzęsą markowymi portkami przed najazdem coraz bardziej zdesperowanych barbarzyńców: swoich kolegów z podwórka. Materiały z życia prowincji zamieszczane w wydawanych w Warszawie czasopismach nie wynikają z żadnej troski o nasz „wspólny los”, tylko z obawy o własny tyłek. Przesłanie jest oczywiste: u was jest cudownie, świeżo, twórczo, nawet jeśli biedniej. Dostrzeżcie to i nie pchajcie się między nas, bo stołki już zajęte.

Ktoś anemicznie puka do drzwi. Czyżby zepsuł się dzwonek? W progu stoi lekko zawstydzona mama.

– Przepraszam cię. Nie chcę przeszkadzać, ale zostawiłam chyba książkę...

– Zgubiłaś moje klucze? – Liczę, że mama nie słyszy w moim głosie nadziei.

– Nie, ale widziałam przez okno, że nie wracasz sama i nie chciałam... – szepcze porozumiewawczo.

W zdumiewającym ataku dyskrecji nie wypuściła nawet Gapy.

– Wejdz, poznaj Kubę, mojego kolegę z redakcji.

– Dzień dobry. – Mama lustruje go tym intensywniej, im bardziej próbuje ukryć, że mu się nie przygląda.

– A jakbyś natknęła się na Pata, to powiedz mu, żeby uprzejmie odwiedził własny dom.

– Patryczek jest! Trochę wcześniej wrócił ze szkoły, ale zatrzymałam go u siebie, żeby nie przeszkadzał. – Mama uśmiecha się dwuznacznie.

To już nie dyskrecja. To najnormalniejsze rajfurzenie! I sabotaż, bo przecież właśnie na Patryczka czekamy!

Po chwili wywelekam synalka za ucho z mieszkania *vis-à-vis*. Za nami wypada uradowana Gapa.

– Przecież mówiłaś, że już nie muszę chodzić do budy! – handryczy się moje dziecko.

– Tumanie jeden! A gdybym powiedziała, że masz sobie obciąć fiutka, to byś obciął?!

– Lucynko! – Ton mamy plasuje się gdzieś między teatrem a kościołem.

– To jest Kuba. – Wskazuję mu naszą jedyną nadzieję o posturze boksera. – I jeśli nie nauczysz się do jutra tego, co miałeś dziś zdać, wpiępry ci tak, że cię rodzona matka nie pozna!

– Czyli ty? – beczelnie chichocze mój potomek.

Mama wycofuje się rakiem, obiecując szybką kawkę, a Kuba z Patrykiem dekują się w jego pokoju. Zostaję sam na sam z sałatką o telewizji, niestrawną i znienawidzoną jak warszawiak w Kielcach.

– Pobudka! – słyszę nad sobą głos Tymona.

Podnoszę głowę. Szczęście, że na klawiaturze nie rozbiłam sobie nosa. Ale ileż można nie spać? Jest północ. Tymon robi za chłopca z pizzerii, a pizzę upiekła mamusia. Pat już podobno odróżnia trójkąt równoramienny od trapezu.

– Fajny facet! – rzuca półgębkiem Tymon pod adresem Kuby.

Grunt to rodzinka! Z poczuciem, że nie jestem sama i wszyscy tak bardzo mnie kochają, pracuję do piątej nad ranem. Chłopaki za ścianą też.

11.

Gdyby nie nerwy, które zupełnie pozbawiły mnie własnego ja, pękłabym dziś z dumy! Zazdrosne spojrzenia całej redakcyjnej populacji z biustem (lub z tym, co ma nim być), towarzyszą mi od holu z windami po samo biurko.

Faktycznie, prezentujemy się z Kubą, jakbyśmy przebalowali całą noc. Kto by mi uwierzył, że był to bal intelektualny? Nie zamierzam zresztą nikogo wyprowadzać z błędu. Aż taka prawdopodobna nie jestem.

Także Hania, najzyczliwsza istota pod słońcem, patrzy na nas dziwnym skosem... Nie. Jednak wybucha śmiechem, za dobrze nas zna.

– Wiecie, jak wyglądacie?

Nawet gdybym nie wiedziała, wystarczyło spojrzeć na minę Iwonki. Zawisać w stanie czystym kapala z niej jak żywica z sosny!

Za to skosem niewątpliwie patrzy Maciek.

– Za wczorajsze samowolne opuszczenie redakcji w biały dzień będę chyba musiał podać państwa do raportu – oświadczam z przekąsem znad jakiegoś komiksu.

I oczywiście wiem, że nigdy by tego nie zrobił, ale jego poczucie humoru, finezyjne jak średniowieczna armata, naprawdę trudno polubić.

Przybywa Władek. Zapewne z wyrokiem. Mnie tylko oficjalnie kiwa głową i kieruje się prosto do pokoju Maćka. Droga służbowa nie może wróżyć niczego dobrego. Winna? Niewinna?

Po chwili Władek dematerializuje się, a mój kierownik Maciek wzywa mnie na dywanik. Winna. Wyrok śmierci. Tekst odrzucony. Śmierć odbędzie się w męczarniach. Do osiemnastej ma powstać kolejna wersja.

– To ją sobie piszcie – oświadczam swojemu kierownikowi, zarzucam torbę na ramię i wychodzę.

Niech się dzieje, co chce!

W holu dopada mnie Kuba.

– Zjedź na siódme piętro, idź na kawę i na co tam jeszcze chcesz i nie ruszaj się stamtąd pod żadnym pozorem! – szepcze mi do ucha.

Koleżanki w windzie przyglądają mi się wzrokiem z cyklu „Co takiego on w niej widzi?”. Dałyby sobie rękę uciąć, że Kuba przed chwilą wyznał mi miłość.

Na siódmym pełno ludzi. Pora lanczu, bo obiadki jada się już wyłącznie u cioci i gdy nikt nie widzi. Wolne miejsce jest tylko w pobliskiej poczekalni do dentysty. Siadam więc przy stole pełnym kolorowych gazet. „Twój Styl”, „Zwierciadło”, „Sukces”, „Show”, „Viva”, „Gala”, „Lala”-srala... Kiedy one wszystkie zjedzą własny pawi ogon?

Zaproponowałam raz, że zrobię wywiad z fajną piosenkarką.

– Poczekajmy, aż wyda nową płytę – usłyszałam z góry.

Gdy pół roku później wydała, w dziesięciu pismach ukazał się niemal identyczny wywiad, bo trudno każdemu dziennikarzowi mówić co innego. No i jest tak, że przeglądam jedno z pism, a znam wszystkie.

Po skaczącym Adamie i pływającej Otylii są rajdowiec Robert i szusująca Justyna. Oscarową Anne Hathaway wyparła oscarowa Kate Winslet, a Kasię Skrzynecką Kasia Cichopek... Są wszędzie, na podobnych zdjęciach opatrzonych lepiej lub gorzej zredagowanym komentarzem wysnutym z tej samej informacji.

A świat jest taki piękny i ciekawy, i pełen niezwykłych postaci! Nawet jeśli akurat dzisiaj

ten świat raczył mi się zawalić.

Po kwadransie z gabinetu wyczołguje się jakiś zapuchnięty zombie. Nie uciekam tylko dlatego, że do dentysty przecież się nie wybieram. Ale w drzwiach staje sympatyczny doktor i zaprasza, a ja nie mam nic do stracenia. Bo właściwie czemu nie? Przynajmniej zrobię na koszt firmy przegląd uzębienia.

Po tym, co ostatnio przychodzi mi znosić, pół godziny z wiertarką w ustach jest niczym relaks nad Adriatykiem. Dziura jak lej po bombie? Niemożliwe! Leczenie kanałowe? Za mało mi jeszcze kanałów? Wychodzę z lekarstwem, które w tej dziurze, pardon, w ubytku, mam nosić przez tydzień.

– W redakcji ważą się twoje losy, a ty sobie idziesz do dentysty?! – Kuba, krążący w poszukiwaniu mnie po całym piętrze, jest naprawdę wściekły.

– Nie wiesz, że zdrowie jest najważniejsze? – odparowuję. – A tu potrzebne jest końskie!

– Wracamy na górę. Maciek każe ci przyjść.

– Kazać to może swojej żonie! – miotam się jeszcze bez sensu.

– To on ma żonę?

– Nie wiesz? Nosi to samo nazwisko i pracuje w telewizji.

– Skojarzyłem, ale mówił mi, że to siostra!

To cały Maciek. Mózg Einsteina i dziwny niedorozwój w kontaktach międzyludzkich. Lecz żeby nawet okazał się sprawcą serii potajemnych morderstw i zjadał swe ofiary jak Hannibal Lecter, nie powiem na niego już nic złego do końca swoich dni. Bo gdy wchodzę do jego pokoju, właśnie kończy mój artykuł.

– Nie myśl, że zrobiłem to dla ciebie – syczy, rzeczywiście wykończony.

– Nie posądziłabym cię o to za wszystkie diamenty naczelnej!

– Jestem odpowiedzialny za przedstawienie kompletu tekstów do druku i one będą gotowe w terminie. My policzymy się później. A teraz przeczytaj, żebyś wiedziała, co podpisujesz, i idź do domu się wyspać. Trupy nie są mi tu potrzebne.

Za te trupy to ja bym mu coś powiedziała, ale przecież obiecałam: nic złego o Maćku do... no, może nie do końca moich dni, ale do czasu, gdy odzyskam formę.

* * *

Śpię jak trup przez trzynaście godzin.

W upiornym śnie staję nade mną Pat, ogolony na łyso! Mówi, że zdał kawałek geometrii i prosi mnie o numer komórki Kuby. Usiłuję w ciemności wymacać swój telefon. Która jest w ogóle godzina? Naprawdę znowu piąta nad ranem?

Przyszły dwa esemesy. Oba od Kuby. „TEKST ZAAKCEPTOWANY” – głosi pierwszy. „PATRYK JEST U MNIE UCZYMY SIĘ DALEJ” – informuje drugi.

Wybieram numer Kuby. Jeśli się uczą, to przecież nie śpią, a ja mam coraz jaśniejsze przeczucie, że...

– Cześć. Czy Pat ma ogoloną głowę?! – rzucam w eter, gdy tylko Kuba odbiera telefon.

– Żyjesz? – śmieje się wisielczo. – Bo my już nie.

– Pytam, czy Pat ma ogolony łeb?!

– Liczy się to, co ma w środku – żartuje mój kolega. – A ma coraz więcej.

Wszystko jasne!

– Daj mi go do słuchawki.

– Wykluczone. Teraz potrzebny mu spokój.

– Już ja mu zrobię spokój! Czy wiesz, że łysolowi żadna belferka nie zaliczy nawet najprostszego dodawania?

Wyłączam się. O spaniu nie ma mowy, choć godzina idiotyczna. Ponieważ mama jeszcze

śpi, robie kawę (smaczna), rachunek sumienia (same mdłości) i usiłuję sobie przypomnieć, co właściwie mam do zrobienia.

Najpilniejsze jest pranie i odrosty.

Zauważyłam je już kilka dni temu. Są siwe, choć jeszcze niedawno byłam szatynką. A pralkę włączę natychmiast. Chodzi jak traktor, więc przy okazji policzę się z tą cimcią z góry, która po nocy przestawia meble. Nie pośpisz sobie dzisiaj, ślicznotko!

Odrosty chyba zrobię sama, jeszcze gdzieś powinnam mieć trochę farby, reklamowanej zawzięcie przez gwiazdę jednego serialu. Gwiazda ślicznie się prezentuje, ale kto przy zdrowych zmysłach uwierzy, że taka *star* farbuje się sama, domowym sposobem?!

Po praniu ani śladu, brudnym ani czystym. Mamo najukochańsza, jak cudownie, że mieszkamy drzwi w drzwi i że masz oczy dookoło głowy! Nigdy, przenigdy się stąd nie wyprowadzę!

Niestety, ani śladu także po farbie...

I nagle dociera do mnie, że najpilniejsze, co mam do zrobienia, to rozprawienie się z książkami na konkurs. Przecież po niedzieli mam posiedzenie jury!

Choćbym więc miała chodzić w brudnych majtkach (dzięki mamie już mi to nie grozi) i siwa jak wypłowiwała szynszyla (nonsens, jestem przewodniczącą), muszę się uporać z dwoma stosami wydruków wielkości nocnego stoliczka.

Przysięgam, chciałam zapoznać się z nimi dokładnie, ale kiedy? Próbuję wziąć je sposobem, czytając co trzecią stronę. W zupełności wystarcza.

„Popielniczka”. W tej powieści-metaforze babskiego losu bohaterka przeżywa nieudany romans za romansem, czując się niczym tytułowa popielniczka, coraz bardziej przepelniona skipowanymi w niej petami – facetami. Jeszcze moment, a popiół zatrułby i mnie.

Przyznaję „Popielnicze” swoją prywatną Grand Prix, ex equo z niezapomnianą „Wanną”.

Jeszcze bardziej wstrząsają mną losy niejakiej Pipki, mniej więcej mojej rówieśnicy, wychowanej na książce i filmie o Pippi Langstrumpf, znanej też jako Fizia Pończoszanka. Otóż biedna Pipka – cóż za wdzięczne imię! – ma problem odwrotny. Nikt jej nie chce, nawet miejscowy oblech, właściciel sklepu mięsnego. Pozostaje jej tylko świat dziecięcych fantazji i skamieniałe dziewictwo, nienaruszone nawet ostrymi próbami masturbacji.

Feministyczna „Pipka” ma i tak większą szansę na nagrodę niż „Supermarket”. Czy nasze czytelniczki chciałyby poznać historię pary staruszków, żyjących sobie skromnie, ale godnie w małym miasteczku, gdy liczą się tylko młodość, szmal, brak zahamowań i metropolia?

No i ten przygnębiający, egzystencjalny finał. Autor, zrzucając na staruszków dach nowo wybudowanego supermarketu, spod którego nie wychodzą żywi, chce nam koniecznie przypomnieć, że nic nie trwa wiecznie, a nawet potrafi skończyć się całkiem nagle. Która z nas życzy sobie o tym pamiętać w pogoni za nowym, ponoć genialnym pilingiem?

Literatura! Dopiero siódma rano, a ja jestem już tak zdołowana, że nie cieszy mnie nawet pyrrusowe zwycięstwo w bitwie o telewizyjny tekst.

Niech będzie, stara utarła mi nosa, ale czy jej to wystarczy? Z czym wyskoczy za parę dni? A wojna z Władkiem? Jak go znam, w ogóle nie nawiąże do żadnej sprawy, lecz już swoje wie i więcej mi nie pomoże.

Jedyne, co mogę zrobić, to nową fryzurę. Jak cię widzą, tak cię piszą! Zamiast przeglądać te depresyjne wypociny, wyjdę wcześniej do redakcji i po drodze pójde do fryzjera. O!

* * *

Każdy, kto choć trochę zna kobiety, doskonale wie, że im bardziej widowiskowa koafiura, tym mniej pewności siebie w środku. Mój szalowy fryz panatenajski – ostre bordo,

pejsy, loczki – nie pozostawia w tej kwestii żadnych wątpliwości.

Nie spodziewałam się głośnych ochów i achów, ale żeby tak zupełnie nic, żadnego odzewu? I w ogóle wszyscy w redakcji jacyś dziwnie struci, chowają się po kątach. Może cesarzowa zabroniła już się ze mną kolegować?

Maciek i tak nie dałby poznać po sobie, że widzi mój *niu imidż* (bo wygląd tyczy się już wyłącznie domów), ale faktycznie jest bardzo zdenerwowany. I kiwa się na krześle jak pijana kaczką, co robi tylko wtedy, gdy chodzi o pieniądze.

I oczywiście chodzi. Zupełnie zapomniałam, że jest ostatni tydzień miesiąca i niebawem wypłata.

Nigdy nie wiesz, ile dostaniesz, bo urzędnicy jesteśmy tak, że podstawą, którą muszą wypłacić, są jakieś symboliczne grosze. Reszta zależy od tego, jak pracowaliśmy w danym miesiącu. Kierownik działu sporządza listę swoich pracowników z tytułami artykułów: każdy z nas musi opublikować dwa albo trzy, w zależności od niepisanej umowy.

I tu pogrzebany jest pierwszy pies. Bo żeby coś opublikować, nie wystarczy napisać i dostąpić zaszczytu akceptacji tekstu. Dział ma określoną liczbę stron. Wystarczy, by naczelna lub któryś z jej zastępców poprosił o artykuł kogoś z miasta – znajomego, sławnego bądź utytułowanego, by uświetnił pismo – i bęc! Z numeru wypada któryś z naszych.

Najbardziej pechowa koleżanka popełniła kiedyś osiem tekstów, pisząc po dwa razy każdy z nich, by w miesięcznym podsumowaniu dostać zero punktów, bo z tygodnia na tydzień w ostatniej chwili wchodził jakiś zamówiony w mieście. Efekt? Jałmużna na konto i ustne upomnienie.

Drugi pies ma jeszcze większe kły. Bo są to kły naczelnej. To ostatecznie ona i tylko ona decyduje, kto jak pracował i nawet jeśli opublikowałeś tyle, ile ci każą, może się okazać, że artykuły były jednak kiepskie i nie zasługują na dużą wycenę.

Ale to jeszcze nic, bo w przypadku jakiegokolwiek pyskówki na kolegium czy tekstu zwróconego do ponownego napisania dostajesz karę i masz w plecy od trzech stówek do tysiąca.

I dziwnym zbiegiem okoliczności, w tygodniu, w którym naczelna podpisuje kwity, odbywa najpierw słodką przechadzkę po działach, by wyrazić swoje niezadowolenie z etatowych pracowników i dać do zrozumienia, że w mijającym miesiącu objęli się wręcz koncertowo. Ten miły spacer zakończyła dziś tuż przed moim przyjściem do redakcji. Czerwony Maciek, biała Hania i zielony Kuba tworzą zgodnie włoską flagę złości i bezsilności.

Maciek jako kierownik nie ma obowiązku pisania, ale spóźnił się raz pięć minut na kolegium. W dodatku nie było go przy biurku około siódmej wieczorem, gdy naczelna miała kaprys porozmawiać z nim, zapomniawszy, że poszedł służbowo na premierę filmu.

Hania ma wysokie notowania i została przecież niedawno pochwalona, lecz udało jej się upchnąć tylko jeden tekst.

Kuba był zbyt uprzejmy wobec pewnego artysty, o którym pisał i któremu pokazał swój artykuł przed ukazaniem się w piśmie, by sprawdził zgodność faktów. Nie wiemy tylko, ile go będzie kosztować to „wyjątkowo nielojalne i nieprofesjonalne zachowanie”, jak usłyszał od Władka.

Co do mnie, to podejrzewam, że za prośbę o zdjęcie z funkcji kierownika i trzy wersje pasztetu o telewizji będę musiała jeszcze naczelnej dopłacić.

Grobowe milczenie przerywa dzwonek telefonu, niestety na moim biurku.

– Dzień dobry. Mówi Joanna Ptasieńska-Pałąg. Czy pani Lucyna od literatury?

Nie, pani Gienia od nowej fryzury, myślę sobie i szukam w pamięci: Pałąg, Pałąg, czyli pałak przez g... Wiem! Przysłała do redakcji tomik jakichś potwornych wierszy, o drżącej akacji, czy coś w tym stylu... Od razu wylądowały w koszu.

– Czy to pani poetka dwojga nazwisk? – pytam, może zbyt zachęcająco.
– Owszem, to właśnie ja. – Słyszę w głosie te wszystkie akacje, pachnące aż do zawrotu głowy. – Przeczytała pani moje wiersze?
– Oczywiście, dlatego pamiętam.
– No i?
– No i niech pani posłucha. Te wiersze są okropne. Po prostu bełkot. Może byłoby dobrze, gdyby to ktoś pani wreszcie powiedział.
– Ale... przecież zostały wydane... – Jej głos drży jak obiekty jej westchnień.
– Czy pani nie wie, że to teraz nic nie znaczy? Że wydanie czegokolwiek nie jest już żadną nobilitacją? Że praktycznie każdy może sobie tomik wydać sam? Naprawdę nie chcę pani obrażać, ale...
Słyszę odkładaną słuchawkę i trudno mi ukryć satysfakcję.
– No to mamy jedną czytelniczkę mniej – oświadczam zdumionym kolegom, odbierając kolejny telefon.
– Pani Lucyna? – Męski głos rozsadza wściekłość. – Mówi Janusz Pałąg. Przed chwilą doprowadziła pani moją żonę do łez. Uważaj, kobieto, bo możemy wyciągnąć konsekwencje!
Mąż poetki rozłącza się, a ja mam wrażenie, że od kilku dni żyję w koszmarze, który nie może być jawą. Na samą myśl, że jutro też muszę tu przyjść, robi mi się niedobrze.
I te pieniądze. Jeśli stara obetnie mi tyle, ile sobie obliczam, po zadowoleniu banków zostanie mi na suchy chleb.
Zadzwońię do Danki. Może akurat mają jakieś wolne miejsce w „Lali”? Może, zanim zwariuję albo umrę z wycieńczenia, pójdę jeszcze chociaż na jakiś pokaz mody?
Znajduję wizytówkę, ale telefony oczywiście zajęte. Lecz jest adres mailowy. Włączam komputer i piszę do niej list.

12.

Pat, w ramach korepetycji udzielanych przez Kubę (jak ja mu się odwdzięczę?), będzie chodził na boks. Pozwoliłabym mu nawet, gdyby zapytał, czy może. Kuba trenuje raz w tygodniu, a mój syn wpatrzony jest w niego jak w... No dobrze, muszę to sobie głośno powiedzieć: jak w ojca, którego nigdy nie miał.

Normalnie wychowywane chłopaki w tym wieku patrzą już na tatusiów jak na zepsute radio, ale dla Pata to taka nowość, że z radością poszedłby za Kubą nawet do własnej szkoły.

Zresztą chodzi i sam, przynajmniej na matematykę, z której rozumie coraz więcej i dostał pierwsze trójki. W takim tempie, rozprawiając się z jednym przedmiotem w ciągu kilku tygodni, już następną wiosną będzie mógł zaliczyć tegoroczny semestr zimowy. Zawsze coś!

A boks, gdy się mieszka na dużym osiedlu, jest z pewnością lepszym rozwiązaniem niż jazda figurowa na lodzie.

– Pokanceruje się bardziej niż wtedy, gdy mu zabrali komórkę. I to na własną prośbę – zrzędzi mama.

– Ale przynajmniej nie zabiorą mu drugiej. – Gramolę się z łóżka, spod konkursowych powieści, nad którymi szybko wczoraj zasnąłam, co jest ich najkrótszą recenzją.

– Jak się w ogóle miewasz? – Mama, drugi raz w tym tygodniu, przysiada na rogu fotela.

– Bywało lepiej, sama ostatnio widziałas... Ale mam pewien pomysł, by ulżyć swojej ciężkiej doli. – Przytomnieję z każdym łykiem kawy z pianką.

– Tylko uważaj, Lucynko. Czasem lepszy wróbel w garści...

Wiedziałam! Taki jest właśnie jej stosunek do ryzyka i wszelkich zmian.

Sama nie należę do tych, którzy skoczyliby na bandzi, lecz ludzie zmieniają pracę i jakoś żyją. Ale na razie nic jej jeszcze nie powiem, zresztą to gruszki na wierzbie.

– Przepraszam, czy ten fryzjer, u którego byłaś, robi tylko takie... wściekle włosy, czy umie też coś mniej awangardowego?

Po tym pytaniu obudziłabym się i bez kawy! Od kiedy pamiętam, mama nosi to samo uczesanie. Proste, schludne i praktyczne, obecnie w kolorze lekko wyleniałego kojota. Ile razy próbowałam jej wytłumaczyć, że po zmianie fryzury zostanie nadal tą samą osobą.

– Pewnie umie. A co byś chciała zrobić?

– Coś... wiosennego – zawstydza się trochę.

– W kolorze trawki?

– Raczej... w kolorze Gapy. – Czochra wniebowziętą sukę po beżowej sierści.

Mogłam się tego spodziewać. Jeszcze tylko włosami się nie upodobniły! Czekam, kiedy z tego samego materiału poszyją sobie identyczne pasiaczki i wstąpią do Mazowsza.

– Ten pan Kuba to cię chyba lubi... – rzuca w powietrze, niby do siebie i natychmiast wstaje, by przypadkiem nie wyszło na to, że przeprowadza jakąś sondę. – Ile on ma lat?

– Trzydzieści dwa.

– Pamiętasz Stefańskich? Ona była od niego starsza o siedemnaście lat, a jednak zawsze do niej wracał. To jest, chciałam powiedzieć, że byli szczęśliwi. Po was nie widać takiej różnicy...

– Bo jej prawie nie ma! – Czuję się dotknięta. – A zresztą Kuba jest tylko kolegą z pracy! – krzyczę w stronę drzwi, ale mama już chyba nie słyszy.

Uciekające życie, wiosna w parku, a teraz jeszcze chęć zmiany na głowie. I ciasteczka wnoszone z domu w przeciwnym kierunku... To mi pachnie jakąś nową znajomością,

niekoniecznie z kolejną staruszką, której się nie da odróżnić od jej pudła.

A może jednak się mylę? Przez okno widzę, jak mama z Gapą wychodzą z domu z naszą największą, najbardziej reprezentacyjną łyżką wazową! Cacko lśni w słońcu jak berło królowej angielskiej.

Kiedyś, bardzo zakochana, wybiegłam na randkę w dwóch różnych butach. Jeden był na obcasie, drugi na koturnie. Dobrze, że tej samej wysokości. Ale żeby z chochelką do zupy?!

* * *

W redakcji jestem wyjątkowo punktualnie. Patrząc na próbny wydruk artykułu o telewizji. Nie łączy mnie z nim nic prócz imienia i nazwiska autorki. Niech idzie i nie wraca. Zresztą nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo trzeba pilnie oddać teksty do rubryki „Wzdłuż kultury”, czyli rekomendacje najciekawszych wydarzeń przyszłego tygodnia. Wybieram głośną premierę teatralną; nową, nie najgłupszą książkę; sympatyczny film dla całej rodziny i koncert zawsze wartej słuchania Kayah.

Z czterech wydarzeń, za które daję głowę, że warto, znam tylko przeboje Kayah, i to te dawne. Spektaklu obejrzeć nie zdążyłam, mordując się z telewizją. Podobnie z filmem: nie da się siedzieć za biurkiem i jednocześnie być w kinie. Można oczywiście iść wieczorem, ale... kiedy żyć? Do egzemplarza książki wydawnictwo na szczęście dołączyło krótką charakterystykę. I tak mam do przeczytania jeszcze dziesięć powieści na konkurs.

Oszustwo? Przeciwnie! Jestem dla siebie pełna uznania, że nauczyłam się wreszcie profesjonalnego dziennikarstwa, czyli dokonałam sensownego, w miarę obiektywnego wyboru, oddzielając ziarno od plew i coś do rzeczy od baracha, a na wszystko poświęcając dwie godziny. Na luksus smakowania kultury mogą sobie pozwolić tylko czytelnicy, a szewc wiadomo bez czego chodzi.

I nagle pojawia się Władek, a to, co wymyśliłam i opisałam, mogę zarekomendować najwyżej sobie samej, bo zamiast głośnej premiery trzeba wstawić nikomu niepotrzebną informację o bardzo okrągłym jubileuszu czterolecia pewnego kabaretu: jego twórca jadł z naczelną kolację. Podnosząca na duchu książka niezłego autora musi ustąpić miejsca grafomaństwu pana, który pisarzem staje się dzięki pracy w radiu, gdzie zachwala nasz tygodnik. Miły film rodzinny trzeba zamienić na gniot typu „zabili go i uciekł”, bo ubawiła się na nim do łez żona naszego sekretarza redakcji, a zamiast na koncert Kayah, czytelnicy powinni się wybrać na występ nowej, tandetnej gwiazdki z jednym przebojem na koncie, z którą ponoć spotyka się Władek.

Oszustwo? Przeciwnie! Pismo jest przecież całkiem prywatnym przedsięwzięciem!

Dumam, jak znowu złapać się lewą ręką za prawe ucho, czyli wyjść z tego przynajmniej z połową twarzy, gdy nadchodzi Maciek.

- Jesteś proszona do gabinetu Gabrysia.
- Mogę za chwilę? Naprawdę muszę szybko oddać materiał.
- Nie znasz Gabrysia? To rozkaz!

Drugi zastępca szeficy faktycznie wygląda za swym sterylnym biurkiem jak generał w (luksusowym) cywilu.

- Cześć, Gabrys. To pilne? Bo mam naprawdę mnóstwo roboty.
- Cześć, Lucyna. – Nie podaje mi ręki i nie prosi, żebym usiadła, choć słynie z manier idealnych jak jego krawaty i garnitury.

Za to sam wstaje, bierze z biurka jakiś papier i okrąża mnie, stając przy zamkniętych drzwiach.

- Podpisz to – mówi beznamiętnie, jakby mnie pierwszy raz widział, podając kartkę i pióro.

Rzucam okiem na papier i robi mi się słabo. Najzwyczajniej baranieję. Kartka jest dokumentem, w którym zwalniam się z pracy, na własną prośbę i w trybie natychmiastowym!

– Gabryś, o co właściwie chodzi? – sylabizuję półprzymiennie.

– O nic. Po prostu to podpisz.

– Gabryś... Znamy się cztery lata!

– Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie podpiszesz.

– Słucham?!

– Podpisz, nim zmienimy to na wypowiedzenie z naganą wpisaną do akt.

Nie wiem, co powiedzieć. Może to, co niewinnie aresztowani w amerykańskich filmach?

– Wybacz, ale muszę skonsultować się z adwokatem... – Robię krok w stronę drzwi.

– Dopóki nie skonsultuję się ze swoim adwokatem, nie przyjmę żadnego pisma. Pozostanie niedoręczone.

Lecz żeby wyjść, musiałabym go staranować!

– Podpisujesz i wychodzisz z redakcji. Za zaległy urlop i czas wypowiedzenia zostanie ci zapłacone – komunikuje generał. – W recepcji zostawisz identyfikator.

– Ale Gabryś, ja mam robotę! – mówię jak potłuczona. – A we wtorek przewodniczę obradom jury konkursu na powieść!

– Już nie – ucina i wciska mi do ręki pióro.

Podpisuję.

Gabryś zabiera dokument, naciska klamkę i odchodzi od drzwi, omijając mnie szerokim łukiem jak trędowną. Wychodzę z jego pokoju i skręcam w kierunku gabinetu naczelnej.

Wmawiam sobie, że ona nic nie wie, lecz nawet w tym stanie szybko idę po rozum do głowy: to przecież nonsens! Ale może przynajmniej wytłumaczy mi, co się stało?

Gdy jestem już w przedsionku jej gabinetu, Cesarzowa wystawia właśnie nos. Chyba chce za coś zrugać Anetkę, ale na mój widok cofa się jak przed morowym powietrzem i szybko zamyka wielkie odrzwia. Zatem to tak.

– Przepraszam, ale muszę wziąć od ciebie identyfikator – Anetka kwili ostatkiem siły, jakby przed chwilą wyrżnięto w pień całą jej rodzinę.

Więc już wie. Czy już wszyscy wiedzą?

– Nie ma sprawy. – Oddaję jej elektroniczny klucz. – Trzymaj się, Anetka.

– Ty też. – Po raz pierwszy ośmiela się spojrzeć mi prosto w oczy. – Lubiłam cię.

Lubiłam. W czasie przeszłym. Bo ja od kilku minut nie istnieję.

Idę do swego boksu po płaszcz.

– Co przeskrobałaś? – chichocze Maciek.

Hania i Kuba jak para surykatek podnoszą główki znad komputerów. Nie wiedzą. W milczeniu biorę płaszcz.

– No nie, teraz cię nigdzie nie puszczę, nawet z rozkazu Pana Boga! Wszystko rozbabrane!

– Maciek, ja już tu nie pracuję. I zwolnił mnie właśnie sam Pan Bóg.

– Oszalałaś? – Kuba patrzy na mnie, jakbym zmieniła się w jego byłą żonę.

– Nie ja.

* * *

A może jednak to ja oszalałam? Nie mam pojęcia, co jest grane. Nie zwalniam się nikogo ot tak, z mostu, po zaakceptowaniu artykułu. Nawet w nieprzewidywalnym tygodniku „Wzdłuż”!

Owszem, łąziłam po redakcji, nie zawsze wyrażając swój dziki zachwyt z powodu stresującego zapieprzu. Ale wszyscy łążą i narzekają.

Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem! Mam w głowie pustkę, jaka nie występuje nawet

w kosmosie.

A jeśli w aneksie kuchennym faktycznie jest kamera? No to co? Nie zwolniono mnie przecież za pokazanie języka!

A może?

Kiedy zdążyłam zjechać windą? Tego też nie wiem i w ogóle nie mam siły. Muszę gdzieś usiąść. Najbliżej jest fotel czyścibuta.

– Do pełna!

– Proszę?

– Na glanc!

– Ma-ś-roz-mieć-szan-pani – mówi po chińsku czyścibut.

Nigdy nie miałam tak lśniących czólenek i przymulonej mózgownicy jednocześnie. No pewnie, że oszalałam! Powinna skakać z radości! Przecież zrobili tylko to, o czym od dawna marzyłam! Czyż nie miałam serdecznie dosyć?

A może to sprawka Iwonki? Ostatnio znów przy niej biadoliłam, że ślepnę przez te ohydne jarzeniówki. I doszła do wniosku, że trzeba mi jednak jakoś pomóc. Szepnęła więc, komu trzeba, żeby uwolnił mnie nagle a skutecznie od powolnego konania w prosektoryjnym świetle. Naczelnej zrobiło się żal, bo serce ma wielkie. Tak wielkie, że wszystkim nam przysyłania wzrok i jakoś ni diabła nie możemy go dojrzeć. Postanowiła ulżyć mi natychmiast.

Co tam robota, dokończy ktoś inny, ostatecznie możemy nawet nie wydawać najbliższego numeru. Najważniejsze, żeby pochylić się nad bliźnim, nad naszą malutką Lucynką, która ostatnie z najlepszych lat swego życia spędza w obozie pracy, choć mogłaby błyszczeć najjaśniejszą gwiazdą w serwisie kulturalnym CNN! I pochyliła się. Tak dyskretnie, że postanowiła nie załatwiać tego osobiście, wiedząc, że Gabryś uczyni to w białych rękawiczkach i przygotowuje tak, bym nie musiała się o nic martwić. Niestety, prawo nie zezwala, by się za mnie podpisał i musiałam wziąć do ręki jego pióro, ale w końcu złote! A gdy naczelna zobaczyła mnie w drzwiach, cóż za subtelność, wołała udać, że mnie nie widzi i trzasnąć mi nimi przed nosem zamiast odbierać me podziękowania, które żenują ją jak Matkę Teresę.

I dobrze! Sama nie miałabym tyle odwagi, żeby przewracać swe życie do góry nogami. Serdeczne dzięki, bo siedząc tu całe dni, nigdy bym nie znalazła czasu, by zadbać o swoje interesy i poszukać sobie odpowiedniejszego miejsca.

Właśnie, przecież wczoraj dzwoniłam do Danki... Stop! Dzwoniłam, lecz telefony były zajęte. I wtedy napisałam list. Że padam na pysk. Że wypisuję bzdury, robiąc dobrą minę do złej gry. Że panuje zamordyzm i przygnębiająca atmosfera. Że, jak w poprawczaku, stosuje się ciągle jakieś kary, a kto karze, ten powinien też umieć nagradzać. I że naczelna musi być chyba bardzo wierząca, choć ukrywa to jak chrześcijaństwo w „Quo Vadis”, bo wychodzi z założenia, że nagroda jest jedna i czeka nas dopiero w niebie.

I wysłałam ten list ze służbowego komputera!

13.

Panuje isticie majowy zar, a ja muszę się pilnie napić koniaku.

To oczywiste, że redakcyjne komputery są inwigilowane. Nie bez powodu konserwatorzy sprzętu są nieuchwytni, gdy nagle coś się zepsuje. Mają ważniejsze sprawy. Nie wiem, czy szpiegują nas wszystkich od rana do nocy, ale ktoś kiedyś nawet mówił, że tego wymaga ogólne bezpieczeństwo firmy.

Zasiadam w najbliższym ogródku przyklejonym do biurowca i usiłuję wczytać się w kartę, ale literki skaczą mi po niej jak tresowane pchły. Śnięta kelnerka podaje mi wreszcie kroplę jakiegoś obrzydlistwa. Po chwili proszę o dolewkę, pod warunkiem, że jednak z innej butelki.

Zatem wyszło na to, że jestem zdraczkinią. Pokąsałam rękę, która mnie karmiła! Sąd był szybki, bo doraźny. Mimo to zrobili mi łaskę, nie zwalniając za naruszenie dyscypliny, czy jak to się tam nazywa. Po prostu nie chcą mnie więcej widzieć.

Swoją drogą, co napisaliby w takim zwolnieniu? Że przechwycili mój mail, naruszając prywatność korespondencji? Bzdura. W pracy się pracuje, a nie wysyła osobiste listy, szkalujące szefostwo.

Szkalujące? Wyznałam samą prawdę. I tylko dlatego, że doprowadzili mnie do ostateczności.

Widziałam kiedyś taki film, w którym jacyś sadyści zamknęli matkę z ryczącym niemowlakiem i przez kilka dni czy tygodni obserwowali oboje przez wizjer. Kobieta przeszła przez wszystkie możliwe stany uczuciowe, a potem zabiła swoje dziecko, nie mogąc znieść tych ryków.

Zarwane noce, nieustanne nerwy, brak najmniejszego oparcia w kimkolwiek i perspektywa durnowatego użerania się bez końca w celu ogłupienia czytelników, żeby zapłacić rachunki... I proszę, oto rezultaty!

Wybieram numer Marka, naszego prawnika. Dorzeczny z niego gość, choć pracuje dla Cesarskiej. Odbiera od razu, choć bym się nie dziwiła, gdyby mnie teraz unikał.

– Mareczku, przepraszam, mam małe pytanie. Czy można natychmiast wylecieć z roboty za prywatny list napisany ze służbowego komputera?

– Lucynka, powiem ci krótko – mówi serdecznie i rzeczowo. – Za taki list można.

Zatem i on już wie. Jaka ja głupia, przecież to Marek musiał przygotować papier. Dziękuję mu i życzę powodzenia. Rozumiemy się bez zbędnych słów.

– Wszystko jasne! – mówię do kelnerki, która stawia przede mną filiżankę kawę i szklankę soku. – Ale... ja tego nie zamawiałam!

Skonfundowana kelnerka wije się przy stoliku.

– Wiem. To ten pan siedzący koło drzewa. Prosił, żeby do alkoholu podać pani kawę i sok pomarańczowy. Mówiłam, że pani nie zechce, że przecież może pani sobie kupić sama, ale...

Za drzewem, przy obiedzie, we własnej osobie siedzi... Zielonooki!

– A może zechcę i nie mogę? – rzucam się na kelnerkę. – Proszę zostawić i się nie wtrącać!

Nikommu nie pozwolę zniszczyć pierwszego miłego momentu tego koszmarnego dnia!

Zielonooki nie zamierza do mnie podejść, tylko ciepło się uśmiecha.

O, coś mi pokazuje. Aha, żebym się napiła soku. Ale co ma znaczyć ta pętelka, którą wykonał ręką nad talerzem? Aaa, że gorąco... Też mu wykonam pętelkę, że gorąco. A ten

samolocik w dół to co znowu? Jasne, do chrzanu. Kiwam tylko głową.

On nie podejdzie, bo jest za dobrze wychowany. Ale ja? Mamusia starała się, jak mogła, lecz nie wszystko się powiodło.

Idę! Powiem mu tylko:

– Już nie pracuję u tej pani.

I wrócę do swego stolika.

Dopijam drugie ohydztwo i wstaję. Widzi, co robię i chyba szerzej się uśmiecha. Jestem już niemal na wyciągnięcie ręki, gdy jedno z moich wyglansowanych czółenek haczy o coś modnym, długim czubkiem i walę się jak długa na jego stół, lądując nosem w resztkach ryby. To chyba łosoś.

– Już nie pracuję u tej pani – mówię, nadal w rybie, gdy już mnie podniósł, usadził na krzeselku i właśnie podaje serwetkę.

– Nie? – Jest wyraźnie zaciekawiony. – Ale u jakiej pani?

– U tej, do której pan przychodził.

Jeśli przed chwilą był zaciekawiony, to teraz jest zbity z tropu.

– A... do kogo przychodziłem?

– No przecież wiemy oboje...

Jeśli był zbity z tropu, to teraz jest zszokowany.

– Ale grunt, że nic się panu nie stało – kontynuuję, pełna szczerzej troski. – Mafia czuwa!

Jeśli był zszokowany, to teraz ma mnie za wariatkę.

– Najważniejsze, że to pani nic się nie stało. – Wskazuje gigantyczny konar, sunący po ziemi od drzewa tuż przed stolikiem.

To o ten konar musiałam się potknąć. I całe szczęście: przynajmniej nie uzna, że jestem pijana!

Zielonooki dyskretnie spogląda na zegarek i daje znak kelnerce, że chciałby zapłacić.

– Przepraszam, mam ważne spotkanie.

– Nie szkodzi, mogę poczekać. – Sama nie wiem, co mówię, ale jedno jest pewne: nigdzie się dzisiaj nie spieszę.

Jeśli miał mnie za wariatkę, to teraz zadzwoni po kaftan.

– Niestety, spotkanie potrwa do wieczora, lecz może, jeśli się pani nie obrazi...

– Nie obrażę się! – ćwierkam wesolutko.

Co on może mieć na myśli?

– Jeśli się pani nie obrazi, zapraszam na noc do swojej sekretnej garderoby. – Tak powie?

I pójdę! Jest elegancki i przystojny. A ja naprawdę nigdzie się dzisiaj nie spieszę! Jutro zresztą też nie. Co ja ostatnio miałam z życia? Seksu to nawet przedostatnio nie było!

Kelnerka przynosi rachunek i patrzy na mnie z nieukrywanym triumfem.

„Widzisz, opryskliwa babo? Gdybyś potraktowała mnie po ludzku, nie zaryłabyś w rybkę tego przystojniaka”, myśli sobie, licząc pieniądze.

Niestety, żadnego seksu nie będzie. Wygląda na to, że miałam się obrazić za otrzymanie wizytówki. Też coś! Zielonooki szuka jej w portfelu, ale bezskutecznie.

– A ja mam! – Wyjmuję kartonik, wydrukowany na czerpanym papierze jak na snobistyczny tygodnik przystało. – Proszę.

– Dziękuję. – Jest wyraźnie rozbawiony i bardzo się już spieszy. – Skorzystam na pewno! – mówi, kłaniając się. – Do widzenia.

– Niech jej pan nie ufa! To źmija! – krzyczę jeszcze za nim przez ogródek, ponad zdziwionymi klientami. Ale co tam, byleby nie zadawał się z Cesarską.

„Sama jesteś źmija”, myśli kelnerka i podchodzi na moje żądanie.

Ale Zielonooki zapłacił też za dwa koniaki. Cholera, a ja nie podziękowałam mu nawet za kawę i sok! Mam nadzieję, że będzie jeszcze okazja, jeśli oczywiście zadzwoni.

Zadzwoni? Cholera, nie zadzwoni, bo na wizytówce są tylko telefony do redakcji i nikt mu nie poda prywatnego.

Lecz gdzie mam go teraz szukać? Nigdy już nie wejdę do biurowca, obiecuję sobie pod przysięgą. Choćby miał się zapalić!

No, wtedy to tym bardziej.

* * *

Droga do domu ze Śródmieścia na Mokotów zabiera mi trzy godziny. Idę, jak niegdyś na obozie w Strzyżowie, tak zwanymi tiptopkami, stawiając stopę tuż przed stopą w ten sposób, że pięta jednej zachodzi na palce drugiej. Tak może się prezentować tylko podstarzała, ześwirowana harcerka lub ktoś, kto nagle stracił punkt zaczepienia.

Postanawiam, że na razie nic nie wyjawię ani mamie, ani Tymonowi, ani Patrykowi. Za tydzień lub dwa, gdy będę już miała nową pracę, rzucę od niechcienia:

– Ach, zapomniałam! Wiecie co? Zmieniłam pracę!

Teraz powiem, że będę rzadziej chodziła do redakcji, bo pozwolono mi koncepcyjnie działać w domu, choć naczelna prędkiej dałaby się zjeść ludożercom.

Ale na razie najbardziej nurtuje mnie sprawa nieszczęsnego maila. Próbuję dodzwonić się do Danki, lecz to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Píše więc esemesa: CZY DOSZEDŁ DO CIEBIE MÓJ MAIL? Bo może oni go przeczytali i zatrzymali? Danką nie odpowiada.

Kapuśniak w głowie nie sprzyja planowaniu czegokolwiek. Gdy jednak siadam w fotelu i rozglądam się po mieszkaniu, robota znajduje się sama. No i całe szczęście, bo inaczej od tego myślenia zwariowałabym od razu. Mama może mi zrobić przepierkę, ale sprzątać nie przychodzi.

Zawsze po zimie jest brudno, choćby nie wiem jak o wszystko dbać. Lecz u mnie jest jak po cyklu zim stulecia. Przez okna nie widać już nic, jakby ktoś na nie z góry regularnie puszczał pawie, a odkurzacz chyba jest przekonany, że służy do lotu na Marsa, bo od wieków nikt się nim nie zainteresował.

Żeby jednak odkurzyć, trzeba przynajmniej odsłonić podłogę, na której leżą pokotem dziesiątki książek, płyt CD i DVD, setki kolorowych gazet, tysiące papierków po gumach (do żucia!), cukierkach i batonikach (Pat rzuca je, gdzie popadnie) oraz miliony małych, żółtych karteczek, odpadających od mebli zaraz po przyklejeniu.

Zamiast pomysłów na wiersze, notuję na nich wszystko, o czym mam pamiętać, a co zapominam natychmiast po zapisaniu.

„Cukier”, obwieszca jedna. Pewnie miałam kupić. „Dorota” – informuje druga. Dziwne, nie znam żadnej. „PLATABEBE!” – krzyczy tajemniczo trzecia karteluska, zapisana w takim pośpiechu, że zastrzelcie mnie, a nie wiem, o co mi szło.

Na środku surrealistycznego bajzlu stoi sobie w najlepszej klatka z papużkami. Nie jestem pewna, czy aby nie zasnęły na amen, bo od kilku dni obłożone są wydrukami powieści na konkurs, choć klatkę należy zaciemnić tylko na noc.

Gdybym wiedziała, że w podzięce za odsłonięcie klatki Poracha znów spojrzy na mnie jak na najlepszą kumpelkę, a Fart z niesmakiem się odwróci, zostawiłabym je w tej ciemnicy na zawsze.

Na czas sprzątania próbuję wstawić papużki do pokoju Pata. Ale gdzie? Przy jego bałaganie w moim salonie panuje wojskowy porządek! Stawiam klatkę w przedpokoju i byleby nikt teraz nie zapukał, bo nie dostanę się przecież do drzwi.

Ale kto niby miałby pukać? Kiedy ja się widziałam z jakąś koleżanką? Czy w ogóle ktoś, prócz Kuby i kolegów Pata, przyprowadzanych tylko wtedy, gdy mnie nie ma, odwiedził nas

w ciągu ostatniego roku?

Praca, praca, świecki paciorek („Pozwól mi, Panie, przeżyć w redakcji jutrzejszy dzień!”) i spanie. A życie ucieka!

Usiłuję ustawić na półce wideokasety przysyłane mi przez różnych dystrybutorów do recenzji, które nigdy nie powstały. Obejrzałam zaledwie kilka z nich. Książkę można przekartkować, ale trudno dobry, psychologiczny film oglądać na przyspieszonych obrotach! Jeszcze nieodplombowane, kasety już stały się nieużyteczne, bo magnetowidy wyszły z użycia i wszystko kupuje się od nowa na płytach DVD. Fakt, że zajmują o połowę mniej miejsca.

W dzisiejszych czasach odłożenie czegoś na później znaczy na święty Nigdy. Gdy jednak przeoczę jakiś film, świat się nie zawali. Gorzej z odłożonym życiem.

O, płyta z „Godzinami”. Obejrzałam je trzykrotnie, płacząc jak bóbr dziewięć razy, nad każdą z bohaterek osobno.

– Dlaczego one tak cierpią? – irytował się Maciek po powrocie z kina. – Żyją sobie w cieplarnianych warunkach. Nie są bite, poniżane, szykanowane, nie muszą pracować w redakcji „Wzdłuż”. O co im chodzi?

Najbardziej wściekła go Julianne Moore.

– Pojechała do hotelu popełnić samobójstwo, bo nie udał jej się urodzinowy tort dla męża? – pytał mnie wstrząśnięty Maciek.

W idiotycznej recenzji napisał, że jeśli kobiety są właśnie takie jak w „Godzinach”, to on się bardzo cieszy, że jest mężczyzną, i na dodatek wcale im nie współczuje. Szowinista!

A ja im wręcz zazdroszczę! Bo przynajmniej miały czas, żeby sobie cichutko pocierpieć, żeby zastanowić się nad sobą i odpowiedzieć sobie na najważniejsze pytania.

Włączam płytę.

Gdy późnym popołudniem Pat usiłuje się wdrzeć do domu, skacząc przez Farta i Porachę, ja – smętna wisienka na czubku tortu z kurzu, brudu i bałaganu – krztuszę się od łez.

– To z tobą żył – mówi właśnie Meryl Streep do kochanka swej wielkiej miłości. – Mnie dostało się jedno lato – powtarzam za nią słowo w słowo i ryczę jak bóbr.

* * *

Zamiast sprzątać mieszkanie, przez cały następny dzień siedzimy z Patem w bardaku, porządkując jego głowę. Po matematyce ma się wyciągać z polskiego. Wkurzona polonistka kazała mu uporządkować wszystko, co musi wiedzieć, by mógł się zorientować, o co w ogóle jest pytany. Od kolejności epok, które dla Pata nie mają żadnego znaczenia. Któż mógłby być lepszym korepetytorem ode mnie?

Odpowiedź jest prosta: każdy. Ale jak nie dostać szału wobec kompletnego odmóżdżenia rodzzonego syna?

– Dla ciebie nie poszłam dziś do pracy! – oświadczam, ciesząc się w duchu, że szlachetne kłamstwo przyszło do mnie samo. – A ty? Czytałeś chociaż te cholerne „Szkice węglem”?

– Niektóre tak – bąka Pat, kłamiąc jak ja – w najlepszej wierze.

– Dobra, od początku. Co pisał Kochanowski?

– Wiersze.

– Bingo! Jakże? No? „Na śmierć Orszulki”...

– Fraszki.

– Umiera mu ukochana córka, a on pisze fraszki?

– Czemu nie?

– Pomyśl. Co byś napisał po stracie ukochanego dziecka?

– Raczej nic.

– Treny! Treny! Napisałbyś cykl trenów!

- Ja? – dziwi się mój Patryk.
- Też się dziwię.
- Mikołaj Rej. Coś ci mówi to nazwisko?
- Śluby... wiedeńskie? – Sam jest zaskoczony swoją erudycją.
- Kochanie, masz na myśli „Śluby panińskie”? Aleksander Fredro. A Fredro to rooo...
- Rooo... botnik?
- Sam, ośle, zostaniesz robotnikiem, jak tak dalej pójdzie! Romantyzm!
- Nie lubię tego romantyzmu – krzywi się z niesmakiem.
- Dobra, więc wróćmy do Reja. „Polacy nie gęsi...” Słyszałeś?
- Nie jestem głuchy!
- Czy słyszałeś, że „Polacy nie gęsi”? Na lekcji?
- Na lekcji? Po co? Przecież każdy głupi wie, że nie gęsi!
- Kto go w ogóle przepchnął przez podstawówkę?
- Jak to kto? Ja!

Zamierzam mu dać w ten ogolony łeb najgrubszym z podręczników, gdy mama woła ukochanego wnuczka na obiad.

- Mogę coś zjeść? – pyta uprzejmie mój skretyniały potomek.
- Wynoś się i nie wracaj! – syczę, wykończona.
- Jak każę, tak posłusznie robi i... znika do wieczora!

Myśl, że w ostateczności mogłabym pójść uczyć do szkoły, porzucam w przedbiegach. Że też Kuba nie był również najlepszy z polskiego!

– Mam nadzieję, że chociaż twoi studenci trzymają jakiś poziom – wzdycham, opowiadając mamie o tej lekcji.

– Jacy studenci? – wybucha wisielczym śmiechem. – Przecież oni nawet nie przychodzą na zajęcia!

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że mówisz w pustej sali tylko do Gapy?

– Prawie. Studentów bezpłatnych nic to nie obchodzi, grają w gry w telefonach. Pewna kandydatka na rzeźbiarkę powiedziała mi wprost, że wiedza ją obciąża i gwałci jej samorodny talent. A ci, którzy płacą, są jeszcze gorsi, bo bezkarni. Żerują na tym, że szkoła łaknie tej forszy jak kania dżdżu i nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie próbował ich wyrzucić.

„Jak kania dżdżu...” Oto, co znaczy wykształcenie. Patryk by myślał, że to w suahili!

- I nie masz na nich żadnego wpływu?
- Lucynko, oni są dorośli! – mówi mama i oczywiście szykuje się na spacer z psem.
- A chochelki dziś na spacer nie zabierasz?
- Proszę?
- No, tyżki wazowej!
- A skąd wiesz? Szpiegujesz mnie? Wstyd!
- Tak się samo zobaczyło...
- Nie, już nie zabieram, na szczęście nie muszę. – Mama się rozpromienia. – Akcja

szczyński wykonana!

– Akcja szczyński?

– Od tygodnia próbowałam złapać trochę sików Gapy do badania. Ale nim zdążyłam postawić słoiczek, było za późno. I pani Bronia miała świetny pomysł, żeby wziąć chochelkę. Nawet się schylać nie musiałam!

14.

Nazajutrz dzwoni Hania. Jest tak wstrząśnięta, że nie wie, jak ze mną rozmawiać, i na wszelki wypadek przeprosza za niepopelnione winy.

Błaga o pomoc. Jej akcje rosną w zdumiewającym tempie. Dopiero co stażystka, została nagle wyznaczona na moje miejsce do przewodniczenia jury konkursu na powieść, a przecież żadnej nie przeczytała.

Umawiamy się na wieczór we włoskiej kawiarence, a ja, wiedząc, jak Hania jest zajęta i sama chwilowo lepszego zajęcia nie mając, kartkuję jeszcze kilka arcydzieł.

„Zawsze w sobotę” to wiejski thriller rodzinny. Bardzo polski, z bogobojnymi gospodyniami i pijanymi w trupa gospodarzami. Dylematy, jak zatuszować podbite przez męża oko, zmieniają się niepostrzeżenie w prawdziwie sensacyjną intrygę, gdy do wsi przybywa psycholog.

Podczas sobotnich sesji, odbywanych jak tajne komplety pod pretekstem kursu gotowania, psycholog próbuje oświecać bohaterki, którym w niedzielne przedpołudnia ksiądz każe ograniczać się do szydełkowania. W efekcie jedna wariuje, druga próbuje zamordować brutalnego męża, a sam psycholog tajemniczo ginie, podziurawiony chłopskimi widłami, kupionymi za dotację z Unii.

„Nie pisz, wymaluj” to chwytająca za serce historia wziętej modelki, która ledwo się umie podpisać, bo zamiast do szkoły, mama od dziecka prowadziła ją na castingi. W urodziwej analfabecie zakochuje się sławny pisarz i z wielkiej, wręcz gigantycznej miłości, rezygnuje z napisania dzieła życia, byle tylko nauczyć ukochaną czytać. Niegramotna piękność – idealna narzeczona dla mojego Pata! – jest jednak odporna na naukę niczym ortalion na deszcz i w niewyobrażalnym stresie smaruje twarz coraz grubszą warstwą pudru...

A może zwyciężyć powinna powieść-rzeka „Bez wstydu”?

Autorka rzeczywiście bez najmniejszego wstydu popełniła wielopokoleniową sagę z życia rodziny, w której chłopcy rodzą się rudzi, a dziewczynki leworęczne. Przez wszystkie epoki kolejni potomkowie walczą jak lwy o godność. I nagle w wielkim finale zaskoczenie! Czwartego czerwca osiemdziesiątego dziewiątego roku, gdy skończył się w Polsce komunizm, przychodzi na świat para bliźniaków: ona jest ruda, a on leworęczny!

By bez bólu głowy czytelnik mógł rozszyfrować tę zagmatwaną metaforykę, proponuję sprzedawać książkę razem z opakowaniem panadolu.

Wieczorem, we włoskiej kawiarence, Hania notuje wszystko w kajeciku, a włosy stają jej dęba jak na rysunkowym żarcie. Wcale nie jest jej do śmiechu, ani z powodu z tych streszczeń, ani w związku z wyrzuceniem mnie z pisma. W dodatku nie może się nadziwić, że na nasze spotkanie nie przyszedł błada i rozdygotana jak Anetka.

– Nie martwisz się, co będzie dalej?

– Daj spokój! – Beztrosko potrząsam komórką. – Przez cztery lata nałapałam kontaktów, nie jestem byle kim z ulicy!

Przykro mi tylko, że w redakcji jest tak, jakby mnie tam nigdy nie było.

Hania idzie na obrady jury. Powiedziała mi też, wstydząc się, jakby była winna, że dziś rano zaproponowano jej etat. Maciek pisze artykuł, który miałam pisać ja. Kuba poprowadzi za mnie spotkanie z jakimś pisarzem, na szczęście science-fiction, więc sobie poradzi. I już ponoć rozpuszczono wici, że jest jeszcze jeden wolny stołek, dla czwartego do ślepego brydza.

– Chłopcy cię pozdrawiają! – Hania robi dobrą minę do złej gry.

– Dzięki, ale mogli sami zadzwonić...

– Wiesz, jaki mamy młyn. Znowu wszystkie teksty zostały zwalone i z dnia na dzień trzeba było pisać nowe.

Niby prawda, a jednak przykro.

– Mam do ciebie jeszcze prośbę – nieśmiało zwracam się do swej byłej stażystki.

– Ależ oczywiście, rozumiem, jak tylko będę coś wiedziała na temat jakiejś fajnej pracy...

– Nie, nie. Znaczy też, ale chodzi mi o jednego faceta. Gdyby zadzwonił i o mnie pytał, podaj mu, proszę, mój numer telefonu. To ważne.

– Nie ma sprawy. – Hania uśmiecha się porozumiewawczo. – A jak on się nazywa? Kolejna, spieprzona przeze mnie sprawa! Jak on się nazywa? Przecież nie Zielonooki! Nie wiem i nagle nie zgadnę!

W jednym z teledurniejów, które obejrzałam, pisząc tekst o telewizji, wyglądałoby to następująco:

– *Miła pani Lucynko, skąd pani do nas przyjechała?*

– *Z Głupkowic Dolnych.*

Brawa.

– *Jest pani przygotowana?*

– *Tak.*

Owacje.

– *Możemy zaczynać?*

– *Tak.*

Fanfary. Wyciemnienie.

Rozjaśnienie. Fanfary.

– *Na pewno jest pani przygotowana?*

– *Tak.*

Gwizdy i krzyki podziwu.

– *A zatem zaczynamy...*

Werble. Światła migają jak w lunaparku.

– *Jest pani pewna, że możemy zaczynać?*

– *Tak.*

Wycie syren.

– *A zatem...*

Tupanie w podłogę.

– *Pani Lucynko, wyraża pani ostateczną gotowość do gry?*

– *Tak.*

Fanfary raz jeszcze.

– *Proszę się skupić!*

Gong.

– *Tajemniczy elegant w czerni o ostro zielonych oczach, spotkany w windzie, w „Hiszpance”, w drogerii, na fotelu czyścibuta i w restauracyjnym ogródku, nazywa się...*

Dźwięk grzechotki.

– *A. Kowalski.*

Dźwięk dwóch grzechotek.

– *B. Nowak.*

Trzy grzechotki.

– *C. George Clooney.*

Szaleństwo wszystkich możliwych grzechotek.

– *Właściwą odpowiedzią jest...*

Brawa. Fanfary. Gwizdy. Krzyki. Werble. Owacje. Wycie syren. Tupanie. Gong i komplet grzechotek.

De. De Jak dupa. Oto właściwa odpowiedź.

Nie wiem, jak on się nazywa!

– Nie wiesz, jak on się nazywa? – pyta zdziwiona Hania.

– Nie wiem. Ale jest warty tego, żebyś mu podała mój telefon. Czuję to!

* * *

Jednak sprzątam. To znaczy ja sprzątam, bo Patryk rozmazuje płyn do mycia szyb po oknach i co chwilę pyta, czy już jest dobrze, a wysłany z jedynym dywanem na trzepak, wraca po trzech godzinach ze złamaną trzepaczką.

Wieczorem siedzę już jak na prawym obrazku z elementarza.

Obrazki były dwa. Z lewego straszyło skrzywione czupiradło pośrodku pandemonium jak po trzęsieniu ziemi. Na prawym uczesana, zadowolona dziewczynka w tym samym, wysprzątanym pokoju chrupała świeże jabłuszko.

Jako uczennica miałam wręcz perwersyjną przyjemność w przyglądaniu się tym rysunkom, nawet gdy już przeszliśmy do następnej czytanki. To wtedy, pytana kim chciałabym zostać, odpowiadałam:

– Sprzątaczką!

Wyspana, wysprzątana, wymyta, wypachniona i wymalowana jak na premierę w operze postanawiam odświeżyć swoje zardzewiałe kontakty towarzyskie i wybieram numer Niny. Nie dzwoniłam do niej od feralnego sylwestra na trzy i pół frustratki. Nie, żeby nagle zapałała chęcią wysłuchiwania cudzych żalów, które ulżyłyby moim. Ale wszystkie te frustratki pracują w gazetach, a ja powinnam zacząć szukać pracy.

– Nie zapraszamy cię już, bo się nie odzywasz – karci mnie Nina. – Oczywiście, że nadal się spotykamy. Jutro wypada u Zośki. Wpadaj!

Ach! Och! Ech! Pokaż się! Obróć się! Skąd masz taki fajny pasek? Po kilku miesiącach przerwy mam iście królewskie entrées.

Oto moje przyjaciółki.

Zośka. Dla chamów stara panna, dla kulturalnych samotna pani, dla mnie jowialny muminek, w higienicznej paranoi opiekający nad gazem każdą bułkę, a dla siebie samej ideał, na którym nie poznali się faceci. Układa rebusy w „Momencie Relaksu”.

Nina. Dla chamów ostra rura, dla kulturalnych pikantna rozwódka, dla mnie narcystyczna nimfetka z cyklu „wsiąść do pociągu byle jakiego”, a dla siebie samej ideał, na którym faceci nie chcą się poznawać więcej niż jeden raz. Jest sekretarzem redakcji w „Tygodniu Marzeń”.

Mariolka, czyli Molka. Dla chamów kostyczna nudziara, dla kulturalnych szczupła i spokojna, dla mnie jak smętny stół, na którym co postawisz, to stoi, a dla siebie samej ideał, który trafił na najgorszego w świecie męża. Odpowiada na listy w kolorowej szmatce „Twoja Frajda”.

A między nimi ja. Lucyna. Dla chamów idiotka z pretensjami, dla kulturalnych kobieca kobieta, dla koleżanek zadzierająca nosa pudernica, a dla siebie samej ideał, który jeszcze wzleci, zanim sięgnie bruku. Aktualnie bezrobotna.

Ale szybko orientuję się, że one nic jeszcze o tym nie wiedzą. I znów zadzieram nosa, bo zamiast zwierzyć się ze swoich kłopotów – w końcu po to tu przyszedłam! – udaję, że wszystko jest w porządku. Jak zawsze twierdzą, że „Wzdłuż” nie może się beze mnie obejść. I że jest dwie klasy wyżej niż ich tabloidy, donoszące na tytułowej stronie, gdzie puściła baka księżniczka

Karolina z Monako. Czy nie puściła go aby w Monako?

– Może znalazłoby się u was coś dla mnie? – pyta Zośka, dolewając wina. – Zgłupieję od tych rebusów!

– Kto u ciebie jest sekretarzem redakcji? Zjadłam na tym zęby, mogłabym uczyć organizacji pracy, ale w „Tygodniu Marzeń” jestem jak perła przed wieprze... – żali się Nina.

We „Wzdłuż” chętnie by się zahaczyła także Molka.

– Wiesz, jak kompetentnie potrafię odpowiadać na listy? Od porad prawnych po operacyjne odsysanie tłuszczuuuu! – ożywia się Molka, najchudsza z nas, więc już tradycyjnie najbardziej wcięta.

No i proszę. Zamiast dowiedzieć się, czy u siebie znalazłyby dla mnie miejsce, wysłuchuję próśb o rekomendację u Cesarskiej! A przecież po tym, co opowiadają o swoich kolegach, nie wytrzymałyby u starej wiedźmy ani chwili.

– Kawa, ciasteczka i można planować numer! – mówi Nina, jakby to było oczywiste.

– Ja w niedzielę zawsze piekę coś specjalnego i szef od razu ma lepszy humor! – wyjawia Zośka.

– My czasami przenosimy się na naradę do kawiarni – oświadcza Molka.

Po prostu imieniny u cioci!

I tyle dobrego. Poza tym, idąc do któregoś z ich szmatławców, wlaźłabym z deszczu pod rynnę. Ale co mam robić, skoro nie umiem nic prócz wymądrzania się na papierze?

Wszystkie one siedzą w boksach, tyrając po dwanaście godzin. Raz na tydzień upijają się, raz na miesiąc tęsknią za konkretnym męskim ciałem, raz na kwartał zamykają się w domu z wyłączonym telefonem, a raz na rok zmieniają okulary na mocniejsze.

Ratunku, nie chcę tak, nie życzę sobie, odmawiam!

– Za ostatnie podrygi zdychającej ostrzygi! – Pięćdziesięcioletnia Zośka teatralnie wznosi kieliszek.

– No, no, tylko nie zdychającej! – protestuje trochę młodsza Nina.

– Dziękuję ci, kochana – wzrusza się Zośka.

– Przecież ona myślała o sobie! – niechcący gasi ją Molka, przerażająco prawdziwym w rzadkich przebłyskach intelektu.

Nina otwiera trzecią butelkę. Przy trzeciej jest z reguły o mężczyznach.

– Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego więcej nie zadzwonił. No, serce na dłoni!

Pożyczył ode mnie samochód, żeby odwieźć żonę do szpitala! – zachwala jakiegoś cwaniaka.

– Oddał? – niepokoi się Molka, przywieziona przez Ninę do Zośki tymże samochodem.

– Gdzie ty ich wszystkich znajdujesz? – pytam naszej Casanovy.

– Szczerze? W internecie! – oznajmia Nina. – Siedzę sobie w domku cieplutko pod kocykiem i czekam, aż coś się wydarzy.

– Nie zaczynaj już, proszę cię. – Zośka chucha na szkło i wyciera niewidzialną plamę.

– Najważniejszy jest dobry nick – rozkręca się Nina.

– Ja mam tak dosyć komputera w pracy, że nie mogłabym. Ale gdy się wreszcie rozwiodę... – marzy Molka.

– Nie mogłabyś ani z komputerem, ani bez. I nigdy się nie rozwiedziesz! – Nina macha lekceważąco ręką. – A najważniejszy jest dobry nick!

– Błagam cię! – Zośka, w swojej obsesji natręctw, trze talerzykiem o rękaw sweterka.

– Na przykład jaki? – Molka już zjeżdża z krzesła i tylko patrzeć, jak ściągnie nam obrus.

– Zależy. Jeśli chcesz szybko kogoś poznać, musisz udawać wampa.

Szybko to Molka może poznać co najwyżej siebie samą w lustrze, a i to nie w tej chwili. I jak stół miałby udawać wampa?

– Czyli?

– Wpisz sobie na przykład „mocna szpryca”! Powodzenie murowane!

Molka tak rozdziawia usta, że przestaje nawet spadać z krzesła. Zośce z rąk wypada talerzyk, a i ja jestem pod wrażeniem. Naprawdę, można się jeszcze tylko napić!

Czwarta butelczyna to już happy end, jak z kabaretu Olgi Lipińskiej. Zośka, opętana tymi swoimi rebusami, nastawia płytę „Hity z polskich seriali”.

I znowu teledurniej! Wdowa, panna, mężatka i rozwódka, liczące sobie razem jakieś sto osiemdziesiąt wiosen, przekrzykują się, zgadując co, kto i z czego. A fałszujemy tak, że lepiej od nas robią to tylko uczestnicy „Szansy na sukces”.

– W stepieeee szerookim... – rozlega się z głośnika.

– „Potop”! – krzyczy Nina.

– Gdzie?! – Zrywa się Molka.

– Nie „Potop”, tylko „Pan Wołodyjowski”! – poucza gospodyni.

– Na jedno wychodzi – pyskuje Nina.

– Czterdzieści lat minęło...o.

– Skądś to znam! – cieszy się Molka.

„Życie, życie jest nowelą...”, nucę sobie jeszcze w domu, szukając aspiryny. Wzięta od razu, a nie dopiero rano, działa znacznie lepiej.

15.

Coś mi się zdaje, że ta moja aspiryna musiała być mocno przeterminowana. Gdy mama wchodzi z kawką i rogalikiem, przewracam się, nieżywa, na drugi bok.

– Nie idziesz dziś do redakcji?

– Nie – chrypię spod kołdry. – Mówiłam, że będę pracowała w domu.

I pracuję, czyli już około drugiej po południu siadam przy czwartej kawie z komórką, telefonem domowym i wszystkimi notesami w ręku. Na stole usypuję Giewont z wizytówek.

Adrianna hostessa. Kto to może być? Hostessa?

Aaa, poznałam ją na wieczorze literackim sponsorowanym przez firmę produkującą czekoladki. Książka, którą promowaliśmy, była sama w sobie tak mdła, że nie dało się jej czytać nawet ze słodkim prezentem. A tej Adriannie to ja miałam załatwić jakąś lepszą fuchę.

Agata P. Bardzo miła, z jakiejś szczecińskiej gazety. Ale o której musiałabym wstawać, żeby dojeżdżać do pracy do Szczecina?

Agdiunkt? Chyba adiunkt, ale coś popijaliśmy, gdy wklepywałam numer do komórki.

Ooo, adiunkta to już dawno powinnam wykasować. Dwa razy umówił się ze mną na drinka i dwa razy dziwnym trafem zapomniał portfela, skapiradło!

Azerska Krystyna. Kryśka, świetny kontakt! Wiceprezeska koncernu wydającego między innymi magazyn o sztuce. Chyba muszę się jej przypomnieć.

– Dzień dobry, Krysia?

– A kto mówi?

– Lucyna!

Lodowata cisza.

– Lucyna, nie poznajesz?

– Przepraszam, ale...

Cholera. Chyba muszę inaczej.

– Lucyna z tygodnika „Wzdłuż”.

– Dzień dobry, pani redaktor. Pani prezes nie ma, a ja jestem jej drugą asystentką.

Wysokie progi, aż dwie asystentki, no no!

– Naprawdę? Macie z Krysią takie podobne głosy...

Tak w ogóle to nie mam pojęcia, jaki głos miała ta cała Krysia. Znałyśmy się dziesięć minut, gdy wpadła do redakcji coś załatwić, i w siódmej przeszłyśmy na ty.

– Czy zostawi pani wiadomość?

– A kiedy będzie pani prezes?

– Za jakieś trzy tygodnie.

– Nie, dziękuję, sama zadzwonię.

Wykonuję jeszcze kilka podobnych akcji, ale wszyscy mają jakichś zastępców, sekretarki, asystentki i nie wiadomo jeszcze kogo. Żywa barykada, przez którą nie sposób przeskoczyć, nie łamiąc nóg. A wysoko postawionych celów mojego polowania albo nie ma, albo są nieprawdopodobnie zajęte, nie mówiąc o telefonach, które milczą lub z wdziękiem każą się nagrywać. Co miałabym powiedzieć tej taśmie?

– Halo, tu Lucyna, poznaliśmy się ze dwa lata temu, ale nie jestem pewna gdzie?

Zmieniam front. Wypiszę sobie wszystkich w słupku, żeby móc notować, gdzie się już dodzwoniłam, gdzie telefony się zmówiły, żeby nie odpowiadać, i kto kiedy będzie osiągalny, jeśli oczywiście żyje.

Po informacji, że znajoma dziennikarka z pisma o podróżach stała się śniadaniem niedźwiedzia polarnego na Alasce, włączam sobie piosenkę Eltona Johna z pogrzebu księżnej Diany.

Myślałam, że pójdzie mi szybciej. Praktycznie do wieczora podzieliłam tylko setki osób na: przydatne teraz, przydatne awaryjnie, z różnych względów nieprzydatne i takie, których numery w moich archiwach zwyczajnie mnie obrażają.

Do przydatnych teraz, natychmiast, zaliczyłam około trzydziestu, w tym nawet Kaśkę G., dziś redaktor naczelną wziętego magazynu mody, a kiedyś, gdy wyśmiałam jej koszmarne spodnium, więcej niż sekretarkę pewnego biznesmena. Mam nadzieję, że mnie pamięta, a kpin ze spodnium już nie.

Znajomości przydatne awaryjnie to osoby, do których niezbyt chciałabym się zwracać, ale gdybym miała nóż na gardle, to kto wie. Na przykład Elwira W., właścicielka egzotycznej restauracji. Co mogłabym robić u Elwiry W.? Właściwie tylko witać gości, bo gulaszu z tajskich kotów do stołu podawać nie będę.

Z różnych względów nieprzydatna okazuje się między innymi przeurocza pani doktor okulista, która przepisała mi soczewki, znajomy matematyk, tak kłótniwy, że nie da się z nim pracować (pomijając fakt, że liczyć bym mu nie pomogła) i cyrkowy żongler, o którym pisałam artykuł. Cyrku to ja mam już dość.

No i kontakty, które dawno powinnam skasować, co niniejszym czynię. Choćby do Artura B. Powiedział mi kiedyś, żebym się nie wymądrzała, bo od tego to ma encyklopedię.

– To śpij sobie z nią! – Trzasnęłam drzwiami, w środku zimy wracając do domu bez pończoch.

Zaabsorbowana, nie zauważam nawet powrotu Patryka, zdziwionego, że nie witam go pytaniem, które powinnam nagrać na taśmę: gdzie się znowu włóczyłeś? Więcej, daję mu na jutrzejsze kino, byleby nie pojawiał się przed wieczorem. Bo tego, czy pójdzie na korepetycje z polskiego do pewnej niedrogiej desperatki, pewna nie jestem.

* * *

– Siostra, od jutra przestajemy być sąsiadami! – zachwycony Tymon rozsiada się u mnie wygodnie, choć już pierwsza w nocy. – Znalazłem mieszkanie!

– Tylko nie mów mamie! – proszę go bez sensu, jakby mógł się rozdziwić, mieszkając i z nią, i gdzieś tam.

– Już wie. Obeszło się bez lamentów.

– Nie żartuj!

– Serio, sam się zdumiałem. Spytała, kiedy mnie będzie mogła odwiedzić.

– Z czyją mamą tak rozmawiałaś? Bo przecież nie z naszą!

– Ostatnio się zmieniła, jest jakaś serdeczniejsza. Nie zauważyłaś?

– Owszem, bo złapała wreszcie siki Gapy na chochelkę.

– Co takiego?

Opowiadam mu o akcji szczyński i widzę, jak zmęźniał i jaki jest szczęśliwy, choć ze zmęczenia podpira się nosem.

Od rana wykłady, po południu praca w knajpie, w nocy pisanie licencjatu, co drugi dzień zajęcia do państwowego egzaminu z angielskiego. Tymon jest dopiero w połowie studiów, a już trzęsie portkami na myśl, co będzie, gdy je skończy w kraju trzech milionów bezrobotnych.

Przy jego młodości, moja była sielanką z bajki dla nadpobudliwych dzieci. Tatuś dawał wystarczające kieszonkowe, mamusia papu, podczas gdy ja przez pięć lat beztrudnie czytałam sobie książki, w dodatku mając dziecko. I nawet nie wysiliłam się, żeby się dobrze nauczyć angielskiego... Nad tym, co będę ewentualnie robić, zaczęłam się zastanawiać dopiero po

otrzymaniu dyplomu.

A Tymon jeszcze znalazł czas, żeby sobie wymodelować z włosów blond czubek! Wygląda jak Marilyn Monroe, której zabrakło farby na całość.

– Nie uważasz, że facet powinien mieć raczej coś w głowie niż na niej?

– Mam tu i tu – odparowuje i trudno nie przyznać mu racji, więc swoje staromodne upodobania chowam do kieszeni.

Ale czy Gregory Peck, Robert Redford albo Bogusław Linda paradowaliby z blond czubkiem? Na Zielonookiego z fantazyjnym refleksem nad czołem też bym jakoś nie reflektowała.

Lecz to nie mój czubek i nie ja będę go po nim głaskać.

– Rozumiem, że tej twojej pannie się podoba.

– Jej? Szczerze mówiąc, nie za bardzo – śmieje się Tymon. – Powinniście się polubić, też jest trochę... klasyczna.

– Powinniście – budzi się we mnie polonistyczny zgred. – Bo mowa o dwóch kobietach. Braciszek wlepia we mnie wielkie gały.

– Posłuchaj, a gdyby na przykład okazała się Murzynką?

Żart? Prawda? Cholera, z nim nigdy nic nie wiadomo.

– No... Murzynka, znaczy tego, Afroamerykanka, to przecież też kobieta! – odpowiadam niepewnie.

– Daj spokój z tą poprawnością, nie jesteś w redakcji. I nie każda Murzynka to Afroamerykanka – chichocze. – Ale... miałybyś coś przeciwko temu?

– Jeśli jest piękna jak Halle Berry, inteligentna jak Condoleezza Rice i śpiewa jak Beyoncé... – czaruję, bo nie wiem, co powiedzieć.

– No pewnie!

Kurde, Tymon jest zakochany! I chyba faktycznie w jakiejś ciemnoskórej! Może z Kenii, jak ojciec Baracka Obamy? Albo z Tanzanii? Ślub u stóp Kilimandżaro. Zawsze chciałam tam pojechać!

– Tylko trzeba jakoś przygotować mamę – radzę mu delikatnie.

– Przecież od zawsze na swoich wykładach głosi pochwałę tolerancji!

– Oczywiście, ale to trochę co innego.

– Dlatego chciałbym, żebyś najpierw wpadła do nas sama.

– A gdzie uwiliście to wasze gniazdko?

– W Śródmieściu, Za Żelazną Bramą. Mówię ci, super i okazjnie tanie! Jest już szeroki materac, stół, lampa...

– Bardzo czarna?

– Lampa?!

– Nie, ta Murzynka.

– Jak smoła!

– Przestań!

Myślę o białych genach, które są w takiej sytuacji zawsze na straconej pozycji. Nie znam się na tym, ale wrzućcie do kartonu mleka pudełko czarnej pasty do butów! A czarne dziecko w polskiej szkole może się czuć spokojnie tylko na lekcji religii, i to dopiero wtedy, gdy Murzyn zostanie papieżem.

– Więc jednak jesteś uprzedzona... – Tymon smutnieje, zatem coś jednak jest na rzeczy.

– W życiu! Otwórz tylko moją szafę! Mam czarny płaszcz, ze trzy czarne sukienki, czarny zakiet, czarne spodnie, nie mówiąc o butach. Nawet żółta bluzka, gdy się jej dobrze przyjrzeć, ma czarne paseczki! Dwie koleżanki ubrałam na pogrzeb!

– A jeśli jest Indianką...
– Przykro mi, lecz na czerwono się nie noszę, bo mi nie do twarzy.
– ...albo Wietnamką?
– Tymon, ty się wreszcie zdecyduj i nie rób mi wody z mózgu, dobrze? Ale Wietnamka na osiedlu Za Żelazną Bramą przynajmniej będzie się czuła jak u siebie. Tam mieszka ich mnóstwo. I stu członków jej klanu zawieszysz na wesele jednym wielkim samochodem!
– Nie zawiozę – chichocze mój brat.
– Nie zamierzacie się hajtać?
– Nie jest Wietnamką. Dobra, spadam spać, bo mam na ósmą – nagle kończy rozmowę.
– Czekaj. Więc kim wreszcie jest ta panna?!
– Oj siostra, siostra. Zobaczysz! Obiecuję ci, że poznasz ją jako pierwsza!
Tymon znika, a ja pozostaję w wielokulturowym tyglu z Wielką Niewiadomą. W jakim obrządku bierze się ślub z Indianami? W każdym razie ciotka Ula na pewno nie skorzysta z zaproszenia. Jej tolerancja ogranicza się do cichego przyzwolenia na kręcenie westernów.

* * *

Gdy rano mama wtacza się z kawą i wielkim albumem zdjęć rodzinnych zamiast rogalika, jest dla mnie jasne jak spód murzyńskiej dłoni, że bardzo przeżywa wyprawdzkę Tymona.

– Zobacz. Jeszcze niedawno był złotowłosa laleczką!
– Pamiętam bez fotografii. Gdy się urodził, miałam szesnaście lat.
– Ale nie wiesz, że niewiele brakowało, by się nie urodził – mówi mama jakby nigdy nic.
– Byłaś już duża, chciałam się zająć pracą naukową. Pasjonowały mnie wtedy wyprawy krzyżowe, zamierzałam pisać monografię.
– Naprawdę?
– A dlaczego nie? Ciebie też chciałam mieć trochę później. I wcale nie z twoim ojcem. To znaczy, potem z nim, ale wcześniej byłam bardzo zakochana w kimś innym.

Jestem wstrząśnięta. Czuję się jak w peruwiańskiej telenoweli, w której nic nie okazuje się takie, jak jest.

– Byłaś zakochana w kimś innym, nim poznałaś ojca i przyszłaś o ósmej rano, żeby mi o tym powiedzieć?

– Kiedyś byłaś za młoda, a potem zajęłaś się sobą. A że nie kłapię ozorem jak moja szanowna siostrzyczka, toteż i niewiele wiesz. – Spokojnie głaszcze Gapę.

Mama? Nasza mama miała jakąś przeszłość, zanim się pojawiliśmy na świecie? Nie była od razu stworzona tylko po to, by się zajmować nami i ojcem, przy okazji chodząc do pracy? Niewiarygodne!

– Spójrz. – Pokazuje mi sfatygowane, zszarzałe zdjęcie roześmianej pary na skuterze. Dziewczyna w chusteczce na głowie, okręconej w stylu retro wokół szyi, jest piękna, ale ma od mamy znacznie większy nos. Chłopak, w ciemnych okularach, wygląda jak Cybulski.

– Kto to?

– Ja.

– Z takim nosem?

– Gdy miałam dwadzieścia lat, złamałam go na nartach i skorzystałam z okazji, by wyrównać ten garbek. Twój ojciec nie znał mnie takiej.

Mama? Nasza mama taka próżna? Oj, nie wygrałybyśmy rodzinnego turnieju w telewizji. Przypominam sobie dresiarza i jego falbaniastą teściową i zaczynam być pełna uznania.

– A ten... Cybulski?

– To właśnie Cybulski!

Odejmuje mi mowę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Zrobiłybyśmy jakiś wywiad! Taka historia!

– Przyszłam do córki, a wychodzę od dziennikarskiej hieny. – Mama demonstracyjnie zamyka album.

Cholerna szkoła tygodnika „Wzdłuż”. Choć już tam nie pracuję, na każdy chwytliwy „nius” zapalają mi się we łbie kolorowe lampki jak wytresowanej małpie.

– Poczekaj! Przepraszam... Ale tego zdjęcia tu nie było! – wyklócam się, jakby to w jakikolwiek sposób tłumaczyło moje żalosne pomysły.

– Nie było, a teraz jest. Dzieci odchodzą, lecz na szczęście przynajmniej wspomnienia pozostają. I dlatego trzeba o nie dbać.

– Zwłaszcza z gwiazdorem na skuterze.

– Nie, to nie Cybulski. Tadek był podobny. – Mama z tajemniczym uśmiechem zatrzymuje się w drzwiach.

– Tadek?

– Zostało po nim tylko T w imieniu Tymona...

– Jak to?

– Zwyczajnie. Ojciec chciał Szymona, a ja Tadeusza. No i wyszedł nam Tymon... Chodź, Gapa. Idziemy na spacer!

– Mamo? Kochamy cię!

I teraz powinnyśmy rzucić się sobie w ramiona, najlepiej we trzy, razem z Gapą, i szlochać do następnego odcinka. Ale mama nie lubi takich filmów.

– Niech każdy mówi za siebie – zżyma się, by szybko zmienić nastrój, choć jest wyraźnie wzruszona. – Mam nadzieję, że twój brat będzie szczęśliwy. I że ty także... wybierzesz się jeszcze na niezapomnianą przejażdżkę z kimś bliskim.

16.

Po tygodniu zaczynam się lekko niepokoić, a po dwóch, gdy tylko wstaję, kłuje mnie w dołku. Każdy kolejny z dziesiątek wykonanych przeze mnie telefonów jest jak groch o ścianę.

Moje największe sukcesy na niwie poszukiwania pracy to mgliste obietnice rozpytania się i zobaczenia, co da się zrobić, które wydusiło z siebie zaledwie sześć osób z całej wytypowanej trzydziestki.

Teoretycznie nikt mi pomocy nie odmówił, ale też i z mało kim udało mi się porozmawiać. Ostatecznie dobija mnie dodzwonienie się do Edka, kolegi jeszcze z czasów radiowych.

– Halo? Edziu? – pytam najśłodziej jak potrafię.

– Mam cię, lafiryndo! – szaleje jakiś babski głos. – Wiedziałam, że wreszcie zadzwonisz! Przyjmij do swej rozpustnej mózgownicy, że twój Edzio ma żonę i trzy małe córeczki. I one muszą mu wystarczyć do końca życia!

– Ale człowiek popełnia błędy! A jeśli Edzio będzie żył sto dwadzieścia lat, jak na Kaukazie? – Nie wiem, czemu wdaję się w te pyskówkę.

– Ja was znajdę nawet na Kaukazie, za kołem polarnym was dorwę! Obetnę mu ten ruchliwy interes i wyrwę ci z krocza wszystkie kudły!

– Sama o to dbam! – oświadczam z godnością i wyłączam się.

A z Edziem nie poszłabym w wiadome tango, choćby na całym Kaukazie był jedynym dostępnym facetem. Jest mały, cherlawy, miał obgryzione paznokcie i do mikrofonu sypał mu się łupież. Musiał nim zasypać całe prześcieradło, gdy starał się o te trzy córeczki. No i proszę, jeszcze znalazł sobie amatorkę na boku!

Następnego dnia piszę wreszcie maile. Niechętnie, bo bez mojego osobistego wdzięku i czytane przez nie wiadomo kogo, nie wróżą powodzenia w znalezieniu pracy. W dodatku istnieje szansa, że do któregoś maila dokleiła się przypadkiem jakaś goła baba i wezmą ją za mnie, a do świerszczyków nie startuję. Jeszcze!

Wszystko, jak zwykle, przez Patryka. Pozbawiona służbowego laptopa, walczę z domowym komputerem. Maszyna, używana przez Pata, jest sekschlewem o dziesiątkach świńskich okien wyskakujących nagle i nie dających się schować. Walczę z bezczelnymi golaskami niczym bojowniczką Wszechświatowego Ruchu Na Rzecz Przywrócenia Dziewictwa. Co którąś golaskę wykasuję, pojawia się następna z chętnym króliczkiem na wierzchu... Niech ja tylko dorwę mojego seksolatka!

Ale tak naprawdę jedyne wyjście to kupić gnojkwowi jego laptop i czekać, aż mu się te baby znudzą. Jest szansa, bo szybko nudzi go wszystko, ostatnio także ukochany boks.

Wreszcie łaskawie odzywa się Danka. Tak, dostała ode mnie feralną wiadomość, ale nie miała czasu, żeby na nią odpowiedzieć, bo czyta dziennie sto pięćdziesiąt maili. Lecz najważniejsze, że w „Lali” chce mnie zarekomendować.

Powinam więc przynajmniej dokładniej przejrzeć kilka numerów. Ale Danka nie ma ani egzemplarza, bo po godzinach pracy na „Lalę” jest w stanie tylko zwymiotować: ile można? Kto je może mieć w domu w większej ilości?

Oczywiście – Teresa!

Teresa ma nawet torebkę z napisem *Jestem Lala* i ta torebka nie kłamie. Złamała nogę w kostce dzięki absurdalnie wykrojonym lalabutom, a z lalabody uciekają jej gdzie pieprz rośnie szpiczaste lalapiersi. Zapraszała mnie też kiedyś na upieczone własnoręcznie ciasto „Lali”,

przygotowywane w specjalnym fartuszk *Lala gotuje* i w trendy lalaprodużu!

– Ty to jesteś! – chrypi nieprzytomna. – Albo dzwoniś, gdy jeszcze śpię, bo nie znasz numeru po taksówkę, albo w środku nocy, bo chcesz czytać „Lalę”? Wiesz, która jest godzina?!

Faktycznie, wpół do drugiej! Przez ostatnie tygodnie kompletnie się pogubiłam w czasie. W dodatku najchętniej poszłabym do niej przeglądać (bo czytać to za dużo powiedziane) te wszystkie „Lale” natychmiast!

Pocziwa Teresa, byleby mnie jutro przyjąć, przesuwa o kilka godzin zakupy według lalaprzewodnika po obniżkach cen.

Stawiam się o umówionej porze w jej uroczym mieszkanku – żywej reklamie dynamicznego marketingu magazynu „Lala”.

– Lalalala – nuci sobie Teresa, parząc nową miodową lalakawkę w lalaekspresie, a ja dostaję nerwobólów i oczopląsu, płasząc przez lalakolorowe strony.

– Będiesz tam pracować? Cudownie! – ekscytuje się Teresa. – Musisz koniecznie zdobyć dla mnie zaproszenie na Bal Lal, jest zawsze jesienią, gdy przyznają tytuł Lali Roku! Może nawet ktoś mnie przez przypadek sfotografuje i dostanę się do *Kroniki*? Miśka ścierpnie z zazdrości!

Teresa i jej młodsza siostra Miśka rywalizują od zawsze i bez sensu, bo jedną rządzi styl Lali, czyli miejski lalastajl, a druga żyje według prawideł sportstajlu. Najnowsze marzenie Miśki to obóz przeżycia, czyli dwa tygodnie w dżungli za ciężkie pieniądze bez jedzenia i picia. Nie poradzisz sobie, to zdychaj!

Czy jednak w tym celu trzeba w ogóle wyjeżdżać z miasta? Jeszcze moment bez roboty, a będę miała swoją dżunglę w środku Warszawy. Nie ustawiłam się jak Teresa. Nie mam męża-bankowca (zresztą średniej rangi), który by mnie utrzymywał. A ona? Kilka miesięcy temu straciła pracę i kwitnie!

Teraz, gdy siada ze mną, by przeglądać „Lale”, rozkwita podwójnie.

* * *

„Lala” to niekończące się fotoreportaż z nieustających bankietów. Na bankietach świętuje się nagrody. A nagrody przyznaje się na okrągło. Nie ma tygodnia, żeby u nas kogoś gdzieś nie nagradzano. Lala Roku to zaledwie czubek góry dorocznych nagród, bez których ukochane pismo Teresy po prostu przestałoby istnieć.

Oskary Mody, Oskary Kulinarne, Oskary Multimediiów i Oskary Serca.

Orły Filmowe i Orły Rzeczpospolitej, Paszporty, Gryfy, Chimery i Róże bez Kolców.

Platynowe Blachy, Złote Usta, Srebrne Paragrafy, Brązowe Parasole, Kryształowe Brukselki i Słomiane Knoty. Nike, Feniksy i Feliksy.

Wiktory, Melchiory, Bravoory i Golemy...

A jeśli któreś z wyróżnień nagle przestaje istnieć, w jego miejsce pojawiają się dwa inne. Nic tylko przyznawać, fetować, gościć się i – fotografować!

Ofiary powszechnej nagrodomanii to jedyne świeże twarze na zdjęciach z uroczystych bankietów. Reszta jaśniepaństwa pozostaje bez zmian.

– Spójrz, ta blondyna przed tygodniem była ruda, a jak utyła! – zauważa Teresa, bez żadnej nagrody, ale przecież nagrodzona dostatnim, niemal bezstresowym życiem.

– Za tydzień pewnie znowu schudnie – wzdycham, jedyny raz nagrodzona przed dwudziestu pięciu laty świadectwem z czerwonym paskiem.

Lecz z rozpoznawaniem większości bankietowiczów nie mamy żadnych kłopotów. Oto ledwie stojąca staruszka, weteranka dziennikarstwa z czasów Gutenberga, uczesana od Rewolucji Październikowej w ten sam, coraz bardziej wyliniały koczek, zakręcony wdzięcznie á la psia kupka. Dwa rozczochrane charty afgańskie, niestarzejące się jak dobre wino, przynajmniej

w swoim mniemaniu, oblepione biżuterią jak hollywoodzkie choinki i trzymające w tajemnicy, kogo reprezentują. Znana malarka, rzeźbiarka, plotkarka i miłośniczka muzyki klasycznej, mająca coś do powiedzenia na każdy temat i otoczona dworem gejów, bo żaden prawdziwy facet nie byłby w stanie jej znieść. W miarę młody i przystojny, choć może zbyt wykremowany pan w najmodniejszych okularach i nienagannym garniturze, tokujący z pewnością o nowych premierach w Paryżu i Berlinie. Legendarna gwiazda teatru, mniej więcej rówieśnica Modrzejewskiej, zawsze z biustem na wierzchu i wielką sympatią do siebie samej, od lat niewiedząca, gdzie aktualnie jest i po co, kupowana na bankiety za coraz mniejsze honorarium. Głośny reżyser z pretensjami, kręcący czwartą dekadę ten sam film o sprawach ostatecznych, choć od świetnego debiutu nie zrobił nic lepszego. Pewna bizneswoman w orgiastycznych kapeluszach. Pierwsza dama polskich kosmetyków, kupowanych, bo trzeba popierać własne, i niestosowanych, bo szkoda skóry. Pięć najmodniejszych gwiazdek seriali ze śmiechem w tle. Wzięty fryzjer ze sztucznym cementem w mięśniach i końską grzywą na pół czoła. Menażerę uzupełnia paru nie wiadomo czyich, trudnych do identyfikacji przydupasów.

Gdy zamykam dziesiąty numer „Lali”, Teresa otwiera jedenasty.

– Już starczy – powstrzymuję ją. – Wiem wszystko!

– No i?

Zmieniam temat, podziwiając okropny, pseudojapoński lalabukiet zwisający nad lalaekspresem do kawy. No i co? Co miałabym robić w tej redakcji? Moja rubryka „Wzdłuż kultury” była jaka była, ale jednak dotyczyła filmów, książek i spektakli. A tu? Kulturą są bankiety. Będę chodzić po salonach i pytać, jak bardzo jedwabną chusteczką wytarła Pani/Pan swoje cztery litery przed przyjściem na uroczystość?!

– Jeszcze tylko jeden numer... – prosi moja niestrudzona przyjaciółka, otwierając kolejną „Lalę”. – O, zobacz, to cię powinno zainteresować!

Z kilku zdjęć uśmiecha się do mnie sama Halina Cesarska.

„My także w naszym piśmie tworzymy jedną wielką, kochającą się rodzinę”, mówi w podpisie do gigantycznej fety z okazji przyznania państwu Nowakom tytułu Polskiej Rodziny Roku.

I już jestem pewna, że wolę wycierać się po idiotycznych bankietach jako wysłanniczka „Lali”, niż mieć do czynienia z taką hipokrytką! Boże, żeby mnie tylko chcieli!

W oczekiwaniu na jeszcze jedną filiżankę lalakawy, spostrzegam stosik znieawidzonych „Wzdłuż”.

– Czytasz to? – prychem z pogardą.

– Ależ skąd! – Teresa umie być miłą. – Andrzej czasem przegląda.

Nie mogę się powstrzymać, choć obiecałam sobie, że nigdy już nie wezmę do ręki ani jednego egzemplarza. Nawet, gdybym rok spędziła na bezludnej wyspie, na której „Wzdłuż” byłoby jedynym zadrukowanym kawałkiem papieru!

Komplet artykułów w moim byłym dziale jest jak zawsze skrojony według identycznego schematu i napisany tymi samymi słowami. Hania równie dobrze mogłaby się podpisać pod artykułem Maćka, a Kuba pod tekstem Hani.

No i ta wizja świata, od której odechciewa się czegokolwiek! Nie korzystaj ze szpitali, bo lekarze cię zabiją! Uważaj na pomidory, niewidocznie spryskiwane potworną trucizną! Nie stosuj kremów odmładzających, bo natychmiast cię postarzą, nieodwracalnie zniekształcając twarz! Nie daj się nabrać oszukującym bankom! Miej się na baczności za życia, a nawet po śmierci: na cmentarzu już czekają, żeby zbeczczyć twoje zwłoki!

Chcesz popaść w spiskową paranoję – czytaj tygodnik „Wzdłuż”, a nie pomoże ci żaden psychoanalityk!

Nic dziwnego, że w taksówce od Teresy bolą mnie wszystkie zęby.

* * *

Ostatecznie boli mnie tylko jeden ząb, ale mocno.

I wówczas przypominam sobie, że przecież noszę w nim przeterminowane lekarstwo.

A dentysta przyjmuje w biurowcu, do którego nie wejść za Chiny ludowe. W dodatku na piętrze z restauracjami i barami, gdzie kręci się cała redakcja, z cesarzową włącznie. Już słyszę te pytania: co słyhać? Co się właściwie stało? Już widzę pełne politowania spojrzenia tych, którzy wiedzą: ale z ciebie idiotka! Już czuję, jak robi mi się na przemian zimno i gorąco.

Iść do innego dentysty? W biurowcu wciąż nie musiałabym płacić...

Gdy wieczorem dzwoni Hania, jestem po trzech pyralginach i ledwo kontaktuję. Jak przez mgłę dociera do mnie, że Hania właśnie odbyła posiedzenie jury konkursu na powieść. Ośmiorgu jurorów, z tylko im znanych powodów, podobało się osiem różnych książek i spotkają się jeszcze raz. Czyżby naprawdę chcieli którąś nagrodzić?

Podobno Maciek zamierza wstawić do gabinetu łóżko. Siedzi w redakcji na okrągło, choć przy jego dobrej organizacji wystarczyłyby cztery godziny dziennie. Niestety, ważne jest tylko, by być na miejscu, gdy naczelna ma kaprys z nim porozmawiać, a odwiedza swoje włości raz w południe, a kiedy indziej wieczorem.

Kuba ma romans z praktykantką z działu zdrowie. Na zdrowie!

O mnie nikt nie pytał. Ani osobiście, ani telefonicznie.

Romansu nie ma, pracy nie ma. Gdzie by jej jeszcze poszukać? Może Mirka coś wie? Po demonstracyjnym wyjściu z kolegium uciekła na chorobowe, ale i tak nie może już wrócić. Prawie nie znam kobiety, lecz mam jej prywatną komórkę, jak wszystkie, przekopiwane kiedyś z redakcyjnego pliku. Co szkodzi zadzwonić?

– Mirka? Mówi Lucyna z działu kultury, nie przeszkadzam?

– Nie. Ale podobno już nie pracujesz.

– No i ja właśnie w tej sprawie, ponieważ wyobraź sobie, że...

Mówię i mówię, opowiadam całą historię, której tak naprawdę nie zna nikt prócz mnie.

Pęka tama za tamą, a co mi tam, w końcu muszę wreszcie komuś się wygadać, zanim oszaleję. Mówię nawet o papużkach, Gapie, Murzynce Tymona i oczywiście o Zielonookim.

A ona milczy i milczy.

– Halo? Mirka? Jesteś tam?

– Wybacz – odpowiada wreszcie chłodno – ale nie zamierzam z tobą rozmawiać.

I przerywa połączenie!

Próbuję dzwonić ponownie, i jeszcze raz. Nie odbiera. „MIRKA O CO CHODZI?”

– wystukuję esemesa.

Na szczęście odpowiada. „ZADZWON JAK WYTRZEŻWIEJESZ” – czytam.

Zwariowała? Przecież jestem kompletnie... Wiem! Jestem kompletnie przymulona przez cholerną pyralginę!

„NIE JESTEM PIJANA. BRAŁAM LEKI NA BOLĄCY ZĄB” – piszę. Oddzwania od razu.

– Przepraszam cię, Lucyna, bardzo cię przepraszam, ale wiesz, mam fatalne doświadczenia. Mój były mąż...

Teraz ona mówi i mówi. Zaczyna od syndromu żony pijaka.

Po kolejnej godzinie i milionach utopionych w biznesie operatorów komórkowych nie ma od nas większych przyjaciółek. Niestety, Mirka nie znalazła żadnej pracy, ale musi iść jutro po przedłużenie zwolnienia i też boi się jak diabli, że ją ktoś przyuważy. Dochodzimy do wniosku, że razem będzie różniej i umawiamy się na tyłach biurowca o drugiej. Ja będę patrzeć w lewo,

ona w prawo i jakoś na to siódme piętro się przemkniemy.

* * *

Cztery lata terroru zrobiły swoje. Po nocy pełnej koszmarów budzę się w przekonaniu, że jednak za żadne skarby nie pójdę do biurowca. Nawet, gdyby mi miały wypaść wszystkie zęby, dziąsła i język jednocześnie!

Włączam telewizję śniadaniową, żeby przestać się beznadziejnie bać, skoro już postanowiłam, że się nie ruszę. W studiu jakaś pani peroruje o nerwicach. Temat dla mnie jak na zamówienie, ale jeszcze ważniejsze jest to, co ona ma na głowie: wielką, przekrzywioną perukę!

Wkrótce jestem już na naszym osiedlowym targu i handryczę się z jakąś dziewczyną ze wschodu.

– Za ten kołtun czterdzieści złotych?! Przecież będę jeszcze musiała kupić nową szczotkę, bo na tej sierści moja się od razu złamie!

– Trzydzieści pięć.

– Wolne żarty. To pani powinna mi dopłacić, że w ogóle chcę to założyć! Z czego to jest? Z włosia mamuta?

Za trzydzieści blond strzecha jest nieodwołalnie moja, a na stoisku obok za piątkę nabywam zdumiewające ciemne okulary typu „na mrówkę”: gigantyczne, równe koła w seledynowej oprawce.

– Byłam w nich na wczasach w Kołobrzegu, chyba w siedemdziesiątym drugim, wszyscy się za mną oglądali – wspomina z rozrzewnieniem starsza pani.

– Nie dziwię się – mówię, mając na myśli okulary. – Mnie też to chyba dzisiaj czeka.

Bo zamierałam się wprawdzie zamaskować, ale nie aż tak!

Wracam do domu i dokonuję metamorfozy stulecia. Różowa bluzka w biedroneczki, którą do szafy chyba mi ktoś podrzucił, bo w życiu bym sobie czegoś podobnego nie sprawiła.

Falbaniasta spódnica w kolorze zjełczałego jajka: wielce gustowny prezent od cioci Uli. Trampki Patryka, za duże o jakieś pół metra. A teraz żółty kołtun i seledynowe „mrówki”. Patrę w lustro i odruchowo się cofam. To połączenie tirówki z przedszkolakiem – to naprawdę ja?!

Przerzucam jeszcze przez ramię wojskowy chlebak i w drogę! Wychodzę z domu niczym złodziejka, na palcach, jak najszybciej. I – nie może być inaczej – już parę kroków dalej natykam się na mamę, wracającą z Gapą z porannych wykładów. Wścibskie suczysko natychmiast do mnie podbiega i łąsi się jak szalone.

– Gapa, zostaw panią – mówi mama, zniesmaczona moim widokiem.

No, jeśli nie poznała mnie rodzona matka, to nikt inny tym bardziej nie ma szans!

W tramwaju jacyś gówniarze wytykają mnie palcami, a starszy pan, już podnoszący się, by mi ustąpić miejsca, w ostatniej chwili siada z powrotem. Nie chce się, biedak, ośmieszyć.

– Te, malutka, może cię gdzieś podrapać? – proponuje pijaczek pod spożywczakiem.

A mówi się, że nie szata zdobi człowieka!

Za pięć druga jestem na tyłach biurowca. W ostrym, majowym słońcu peruka działa jak obłąkany piekarnik. Pot ścieka ze mnie hektolitrami i nawet nie mogę się dobrze wytrzeć, bo nie chcę zdejmować okularów.

Stoję tak z dziesięć minut, lecz Mirki ani śladu. Z pobliskiej ławeczki przygląda mi się tylko jakiś babsztyl, tak samo nieprawdopodobny jak ja, tyle że w kwadratowych okularach. Ma na sobie kowbojski kapelusz, czerwoną bluzkę z koronkowymi bufkami typu „jestem z Bawarii”, fioletową spódnicę-bananówkę w pomarańczowe grochy, uszytą ze trzydzieści lat temu, i granatowo-białe buty.

I ja skądś znam te buty!

Z kimś rozmawiałam, że dwukolorowe są niepraktyczne, bo mało do czego pasują. I tym

kimś była... Mirka! Wstrząśnięta odkryciem, nerwowo podnoszę i opuszczam swoje seledynowe gogle. Jeśli to naprawdę ona, pozna mnie!

Po chwili babsztyl na ławce wykonuje ten sam ruch, więc podchodzę.

– Mirka? Dlaczego mi nie powiedziałaś?! I skąd wytrzasnęłaś te bufki?

– Byłam przekonana, że cię poznam! A bufki są tyrolskie.

– Myślałam, że bawarskie!

Ledwie wchodzimy do biurowca, drogę zastępuje nam starszy ochroniarz i szeroko się uśmiecha.

– Dziewczyno, operetka to na Nowogrodzkiej!

– Teraz tam jest Teatr Roma – prostuję odruchowo.

– Roma nie Roma, w tył zwrot, panienki!

Ale Mirka ma na szczęście identyfikator.

– My właśnie z Romy! Przygotowujemy sztukę na Dzień Matki dla dzieci miejscowych biznesmenów! – oświadczam ochroniarzowi i biorę Mirkę za rękę, kierując się w stronę wind.

Na szczęście jedna jest pusta i bez afer dojeżdżamy na siódme.

Do dentysty jest kolejka, więc wydymam policzek, że niby tak strasznie spuchłam i sympatyczny doktor przyjmuje mnie od razu.

– Przepraszam, że w takim stroju, ale robimy sesję fotograficzną dla naszego pisma

– mówię natychmiast, bo ma przed sobą moją kartę i wie, kim jestem.

– Taka będzie moda tego lata? – pyta zaskoczony.

– Owszem, ale tylko na Ibizie. To unikatowa kolekcja – odpowiadam, rozdziawiając paszczę.

Jeszcze lepiej radzi sobie Mirka. Prosząc internistę o dalsze zwolnienie, tłumaczy się depresją. I choć efekty choroby, skryte pod kowbojskim kapeluszem, mogą się wydawać dziwne, lekarz nie ma wątpliwości, że coś z nią nie tak.

– Mam zwolnienie na następne dwa miesiące i skierowanie na badania psychiatryczne.

Pani Cesarska musi mnie nadal utrzymywać! – obwieszcza mi triumfalnie.

Mnie nie musi. W gabinecie Gabrysia podpisałam akt natychmiastowej i bezwarunkowej kapitulacji. Ale co miałam zrobić? Odgryźć mu rękę, którą podawał mi złote pióro?

17.

Telefony milczą, na maile nikt nie odpowiada.

– Czy ty aby na pewno pracujesz jeszcze w tej swojej redakcji? – pyta żartem mama, a mnie robi się gorąco.

– Zawsze już będziesz siedziała w domu? – zagaduje Patryk, któremu nie w smak ciągle zajęta chata.

W rezultacie, zamiast wyznać im dramatyczną prawdę, zaczęłam robić coś, do czego w czasach szkolnych nie zmusiłby mnie nikt: chodzić na wagary!

We wtorek poszłam do Łazienek i tępo karmiłam pawie. Dwa się najadły. Trzeciego przepędziłam. Durną miną zbyt przypominał mi Lilkę, fałszywą koleżankę, która dziesięć lat temu odbiła mi faceta.

W środę wybrałam się na starówkę i spędziłam kilka godzin w cukiernianym ogródku nad pucharkiem lodów. Nie żeby były takie fantastyczne. Po prostu nie mogłam się oderwać od widoku spacerującej ludzkości.

Czy gdy się ma krzywe nogi, trzeba koniecznie zakładać spódniczkę kończącą się na wysokości pępka? Ile porcji bitej śmietany zje kobieta-krowa w czarno-białym chałacie, pochłaniająca już trzeci pucharek? Kto zaplecie warkoczyki łysemu supermenowi w podkoszulku, demonstrującemu loki pod pachami? Czy naprawdę musimy wchodzić do Europy z wódą, bigosem i staropolskim smalcem wytapianym z ciała?

No i ta nasza tradycyjna życzliwość, wszechobecnie malująca się na twarzach.

– *Co się tak gapisz? Jedz swoje lody!* – Daje mi do zrozumienia krzywonoga małpka.

– *Nie podchodź, bo tak cię dzielę, że nie wstaniesz!* – Zdaje się mówić wzrok kobiety-krowy.

W czwartek ląduję w Iluzjonie. Nie sprawdzam nawet, co grają, bo zawsze trafia się tam coś ciekawego. I nie myślę się. W ramach przeglądu melodramatów stulecia kino od kilku dni tonie we łzach.

Najpierw oglądamy boską Gretę jako Damę Kameliową, cudownie umierającą na suchoty w objęciach Roberta Taylora. Po krótkiej przerwie na wyżęcie chusteczek pora na Starostecką w „Trędownatej”. Jak nie gruźlica, to zapalenie płuc, ale tak samo malownicze.

Chlipię i myślę o ciotce Uli, która za taki maraton oddałaby wszystkie pieniądze. Ile razy opowiadała o ukochanych filmach swej młodości. W jednym tancerka dostała paraliżu nóg, w drugim pianista dostał paraliżu rąk... W programie nie ma ich chyba tylko dlatego, że oboje, choć okaleczeni, żyli jeszcze długo i nieszczęśliwie.

Starostecka ustępuje miejsca Debrze Winger w „Czułych słówkach”.

Biedaczka Debra wydaje właśnie ostatnie tchnienie, zostawiając małe dziecko, gdy z katatonii spazmów wrywa salę ostry dzwonek komórki. Ach, te nasze maniery!

Tyle że komórka jest moja i szaleje w mojej torebce.

Nie znam wyświetlanego numeru, lecz może to ktoś w sprawie pracy?

– Słucham? – pytam cichutko.

– Dzień dobry, mówi Miłosz Bartkowiak. Pani Lucyna?

– To ja, ale nie wiem, z kim mam przyjemność.

– Potknęła się pani przy moim stole...

Zielonooki?

– Pan... ma na imię Miłosz, jak poeta? – zapominam, że powinnam mówić szeptem.

– A pani ma katar?
– Nie, ale ona tu umiera...
– Właśnie, umiera! Więc trochę szacunku! – syczy na mnie jakaś rozszlochana czarownica.
– I tak umrze! A ja jeszcze żyję i może wreszcie zdarzy mi się coś miłego! – informuję czarownicę i przy okazji jeszcze pół widowni.
– Halo? Kto umiera? – niepokoi się pan Miłosz.
– Debra Winger. Zaraz do pana oddzwonię!
Mimo że staram się dyskretnie wyjść, czarownica po ciemku podstawia mi nogę.
Natychmiast szczypię ją boleśnie w udo.
– Ałaaa! – krzyczy Bogu ducha winna dama obok.
Cholera, chyba pomyliłam uda.
Z rozpedu, po wyjściu z sali biegnę do łazienki, jakbym nie mogła porozmawiać we foyer albo na zewnątrz. W ogóle nie dbam o przyszłość. Jak będę potem wspominać naszą pierwszą randkę? Że poszczypałam obcą kobietę i wahałam świeżo zdezynfekowane powietrze w publicznej ubikacji? Ale na głupich nie ma rady. Zamykam się w kabinie i wciskam numer.
– Już mogę, przepraszam.
– Umarła? – śmieje się Zielonooki.
– Niestety.
– A gdzie pani jest?
– W ki... – Przecież nie wyznam mu, że w kiblu! Ostatkiem sił gryzę się w język.
– W kinie.
– Ale w którym?
– W Iluzjonie.
– I ma pani trochę czasu?
Powinna się nieco pokrygować, więc mówię natychmiast:
– Oczywiście!
– A poczeka pani dziesięć minut?
Mam jeszcze szansę, żeby zadrzeć nos i powiedzieć:
– Dziesięć minut? Toż to całe wieki! I w ogóle proszę wybaczyć, ale nie zwykłam czekać na facetów.
Mówię więc:
– Z przyjemnością!
– Jeżdżę beżowym peugeotem – informuje Zielonooki.
– Peżowy beżot? – paplę rozkosznie na pokaz, że niby taka jestem kobieta kobieta.
– Wspaniale.
– Do zobaczenia! – mówi.
– Do!
Kurde, przecież to wszystko jest bardziej nieprawdopodobne niż śmierć boskiej Grety, Starosteckiej i Debry Winger razem wziętych! Ale teraz nie mam czasu się nad tym zastanawiać. I bardzo dobrze, że weszłam do łazienki. Szybko, gdzie moja puderniczka?!

* * *

No i podjeżdża. I jest piękny, czysty, lśniący. Znaczący, peżot. Jego właściciel też pięknie wygląda i też jest czysty. Chyba, bo jeśli ma strąki pod pachą, to w marynarce nie widać i nie czuć.

Po kwadransie jesteśmy już na Wale Miedzeszyńskim, w eleganckiej nadwiślańskiej restauracji.

– Dlaczego pan do mnie zadzwonił?
– Bo pani nie mogła. Nie miałem wtedy wizytówki.
– Ale jak mnie pan w ogóle znalazł?
– Zadzwoniłem pod podany numer – odpowiada, wyraźnie rozbawiony. – I trafiłem na sympatyczną, młodą, życzliwą kobietę...
Hania, dzięki! Masz u mnie kawę, a nawet dwie.
– ...która ujawniła pani prywatną komórkę...
Czy to mnie tak pożera swym zielonookim wzrokiem, czy jest rzeczywiście głodny, jak uprzedził?
– Ale dlaczego?
– Zżerała mnie ciekawość.
Będzie mówić tylko o żarciu? A z ciekawością zwlekał przez miesiąc.
– Co chciałby pan wiedzieć?
– Wszystko. – Uśmiecha się, a lekko krzywy zgrzyz dodaje mu tylko uroku.
– Wszystkiego nie wiem nawet ja sama.
– Czego by pani nie powiedziała, z pani ust będzie apetyczne.
Może gdy coś wreszcie zje, przestanie go dręczyć obsesja jedzenia! Lecz kto i kiedy ostatnio tak ładnie do mnie mówił?
– Zdaję się dziś całkowicie na pana – oświadczam teatralnie, oddając kelnerowi nieotwieraną kartę.
No i mam, co chciałam – odchudzanie, które dawno legło w gruzach, i krem z zielonego groszku, który dziwnie mnie rozluźnia:
– Ależ, drogi Miłoszu! – peroruję rozluźniona.
Ostrygi mnie rozśmieszają:
– Hahahahaha, naprawdę? – chichoczę jak pensjonarka.
Baranina wzmaga gadatliwość:
– No i wysłałam, durna, tego maila... – zwierzam się jak na spowiedzi.
Na deser jemy pudding jagodowy. Jagody wyzwalają we mnie niekontrolowaną żądzę:
– Co zrobimy z tak cudownie rozpoczętym popołudniem? – ćwierkam.
Opanowuję się dopiero w toalecie, dokąd udaję się z wykałaczką, bo nigdy nie umiałam tak podlubać sobie w zębach, żeby nikt nie zauważył.
– Idiotko! – mówię do lustra. – Nie słyszałaś, że prawdziwa kobiecość to niezgłębiona tajemnica?!
– *No i co z tego?* – odpowiada idiotka. – *Na udawaniu daleko nie zajedziesz. Jesteś jaka jesteś, a spontaniczność w cenie!*
– Nie znasz tego faceta i nie dałaś mu dojść do głosu. Nie wiesz nawet, gdzie pracuje!
– *Ojej, ważne, że stać go na luksusowy obiad!* – odpowiada druga ja z lustra.
– A jeśli on wszystko powtórzy swojej kochanicy Cesarskiej?
– *Byłby idiotą!* – mówi idiotka. – *Kto mówi własnej flami, że zaprosił do restauracji inną kobietę?! A w ogóle to jesteś pewna, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliłaś?*
– Nie jestem i nawet tego nie sprawdzę, bo przecież już się ze mną nie umówi
– wyjaśniam sobie samej.
– *A seks? Tylko nie kłam, że nie masz ochoty. Kiedy ostatnio uprawiałaś seks?* – pyta bezpardonowo moje alter ego.
– W zeszłym roku, na Cyprze, ale tylko raz. W tygodniku „Wzdłuż” popadłam w głęboką oziębłość. Nawet nie wiem, czy jeszcze potrafię.
– *On ci się podoba?* – upewnia się idiotka.

– Bardzo.
– *To wracaj do stolika i zrób coś, żeby się poczuł jak widz sensacyjnego tasiemca, gdy na ekran wsuwa się ręka w rękawicze i z nożem, a w stopklatce pojawia się napis c.d.n.* – radzi moja druga strona.

Łatwo powiedzieć! Posłusznie wracam do stolika...

– Wszystko w porządku? – Zielonooki Miłosz jest bardzo szarmancki.

– Jak najbardziej. Po prostu zatrzymał mnie mój... głos wewnętrzny – rzucam od niechcienia.

– Słyszysz jakieś głosy?

Ha! Chwyciło!

– Czasami – mówię, lecz wydaje mi się, że ton był zbyt banalny, więc poprawiam:

– Czasaaa aaamiii... – i wzdycham jak kotkokróliczek.

– Musisz mi o tym opowiedzieć.

– Aaleee już nie dzisiaaaj... – Filuternie mrużę oczka.

– To i dobrze, bo mam jeszcze spotkanie. Może być w sobotę?

– *Powiedz, że musisz sprawdzić, czy już nie jesteś umówiona!* – szepcze mi ta druga.

– W sobotę? Z miłą chęcią! – odpowiadam.

– *Już mu się tak nie pchaj do tego łóżka!* – słyszę w środku siebie.

– Odczep się, sama wiem, co robić – warczę na nią, moszcząc się w peźocie.

– Proszę? – Mój kierowca włącza muzykę.

– Nie, nic, chyba się trochę podziękowałam...

– Może przez klimatyzację?

– Ależ skąd, klimat masz tu cudowny!

Po kilku starych piosenkach Elli Fitzgerald, w połowie duetu z Armstrongiem jesteśmy prawie pod moim domem. Prawie, bo postanawiam wysiąść nieco wcześniej. I tak już za wiele powiedziałam.

Wygadało mi się, że jestem wdówką, lubię szpinak, campari i herbaciane róże. I że szukam pracy, a właściwie to mnie szukają i tylko czekać, aż się pobiją o mój niepowtarzalny dziennikarski talent. Że w Warszawie mieszkam chwilowo, bo nie ma jak architektura Paryża, a nawet, że mam papużkę. Jedną, bo Porachę z premedytacją pominęłam.

Wstyd się przyznać, ale pominąć chciałam też Patryka, nie tylko dlatego, że ogolony na pałę. Po prostu, z sypiącym się wąsem i efektami trenowania boksu wygląda na dwudziestolatka, więc kiedy miałam go urodzić? W zerówce?

Niestety, Zielonooki Miłosz sam o niego spytał. Gdyby nie przypomniał mi, że przecież spotkał nas w perfumerii, pomyślałabym, że mam do czynienia z jasnowidzem. Przy okazji wyszło na jaw, że damulka, która mu wówczas towarzyszyła, to jego rodzona siostra, na stałe zamieszkała w Szwecji.

Skandynawska siostra. To jedyne, co o nim wiem poza imieniem i nazwiskiem, jeśli powiedział prawdę, oraz marką samochodu, jeżeli nie pożyczył go od kumpla, żeby mi zaimponować. Dlatego na sobotę mam cel jasny i sprecyzowany: gdzie byśmy nie wylądowali, dowiedzieć się, ile wlezie.

No chyba, że faktycznie skończy się na tym, o czym wolę nie myśleć, żeby nie zapeszyć. Bo nie wyobrażam sobie sytuacji, w której on obejmuje mnie czule, wsuwając (na początek) nos do mego ucha, a ja wypalam:

– *Powiedz mi, gdzie ty właściwie pracujesz?*

Albo zdejmie mi buty, żeby delikatnie rozmasować stopy, a ja na to:

– *Słuchaj, jak bardzo zapożyczyłeś się u naczelnej?*

Chociaż gdyby akurat sięgnął po moje stopy, nie spytałabym o nic, bo mam takie łaskotki, że umarłabym ze śmiechu.

Tak czy owak, najpierw muszę się czegoś o nim dowiedzieć. Nie rzucę się przecież w objęcia kompletnie obcemu facetowi!

(– *Nie?* – pyta moja wewnętrzna idiotka)

18.

W sobotę rano jesteśmy w drodze do... Sopotu.

Zielonooki Miłosz zadzwonił w piątkowy wieczór z propozycją dwudniowego wypadu, z noclegiem w dwóch pokojach (jego pomysł) w Grand Hotelu, oczywiście z widokiem na morze. Takiemu zaproszeniu nie oparłaby się Julia Roberts natychmiast po urodzeniu bliźniaków, a co dopiero ja!

Nałgałam mamie, że muszę w trójmiejskim teatrze obejrzyć sztukę do recenzji, tudzież pilnie opisać dla „Wzdłuż” koloryt majowej plaży i sama już nie wiem co jeszcze. Pat ma się uczyć i zapuszczać włosy, co oznacza, że przesiedzi trzydzieści sześć godzin przy komputerze i to bynajmniej nie na portalu edukacyjnym, wyrывая sobie z podniecenia wszystko, co wyrosło mu na nogach.

(Kochane mamy nastoletnich synów! Nie potępiajcie mnie! Gdybym mu zamknęła w szafie komputer, zdezelowałby szafę, a gdybym znalazła skuteczniejszy sposób, polazłby do kumpli lub w ostateczności do internetowej kafejki. Zmusić to ja go mogę do umycia zębów. A jeśli uważacie, że powinnam nad nim ślęczyć, zamiast przypomnieć sobie, że życie wcale nie jest drogą krzyżową, to wam serdecznie gratuluję.)

Zielonooki Miłosz, w błękitnym swetrze i džinsach zamiast czarnego garnituru, wygląda porywająco, a Ella F. słodzi z płyty tylko dla nas. I pewnie moglibyśmy pruć przez niemal pustą szosę jeszcze szybciej, gdyby nie moja stutonowa walizka. Owoc nie tyleż babskiego niezdecydowania, co obejrzenia trzech różnych prognoz pogody, w zależności od stacji wieszczących słońce, deszcz lub śnieżyce.

Do Trójmiasta dojeżdżamy w południe, w słońcu przez chmury, bez perspektywy śniegu. W wielkie drzwi Grand Hotelu wchodzę jak gwiazda. Teraz ja!

Pokoje są rzeczywiście dwa, przez ścianę. Zaraz będę gotowa na spacer, tylko błyskawicznie zmienię bluzkę: granatowa będzie się idealnie odbijać od lazurowych soczewek i drewnianego mola!

Bluzek mam ze sobą sześć: dwie na podróż, dwie na nastrojowe popołudnia i dwie na romantyczne wieczory. Dół będę zmieniać co drugą górę, a buty co trzecią. Czarny sweter, brązową marynarkę lub szary niby-płaszczyk, coś w rodzaju książęcej pelerynki, narzucę tylko od niechcienia nad samym morzem.

Do granatu dobieram, rzecz jasna, szary niby-płaszczyk.

– Pięknie tu – mówię z serca, gdy wchodzimy na molo. – Ale co cię łączy z Haliną Cesarską?

– Tak, lody mogą być pistacjowe – zgadzam się w cukierni. – Lecz czym się na co dzień zajmujesz?

– Chętnie wejdę na taras widokowy, ale jak powiesz, czy masz dzieci.

– Nie, dziękuję, nic prócz kawy na razie w siebie nie wcisnę. Więc naprawdę nie ściga cię żadna mafia?

I tak między słowami padają zadziwiające fakty, z których układam sobie Miłosa Bartkowiaka. Późnym popołudniem wiem o nim znacznie więcej niż kilka godzin temu, zważywszy, że wtedy nie wiedziałam zgoła nic.

No i masz! Naczelną zna tylko z fotoreportaży we „Wzdłuż”, a w biurówcu, owszem, bywa i to codziennie, bo tam pracuje. W kancelarii adwokackiej. Jest bezdzietnym prawnikiem, a co się tyczy mafiosów, to jeszcze nawet żadnego nie bronił, czyli nie grozi nam wspólna

ucieczka. Ani na Hawaje, ani do Żółtych Piasków.

Szkoda, ale nie mam czasu się smucić, bo nagle w stylowej kawiarence gaśnie światło i czuję jego dłoń na swojej. Nim kelnerka przynosi świecę, lampy znów się zapalają. Gdyby nie ciepło, które zostało mi w palcach, mogłabym przysiąc, że to przywidzenie, bo ręka Miłosza trzyma już filiżankę.

Chyba, że chwycił mnie tą drugą.

Vis-à-vis kawiarenki, na deptaku, jest teatr, a właściwie mały teatrzyk. Przecieram oczy ze zdumienia, choć nie za mocno, by nie wypadły lazurkowe soczewki. Niesamowite, grają „Romea i Julię”! Czyż można sobie wymarzyć bardziej romantyczny wieczór?

Zdążę się jeszcze przebrać. I pozbędę się wyrzutów sumienia, że nakłamałam mamie. Czy nie powiedziałam jej, że jadę do teatru?

* * *

Przedstawienie będzie chyba dość awangardowe, bo scena jest pusta. Mało tego, wychodzą na nią cztery współcześnie odziane kobiety: czyżby reżyser obmyślił Szekspira w stylu les?

Ale i to jeszcze nic. Jedna po drugiej, w różnym wieku, i jednak nie les, zaczynają rozprawiać o swoich... Że ładne i brzydkie, owłosione i wydepilowane, wąskie i szerokie, stare i młode, otwarte i zamknięte, pracowite i leniwe, chętne same z siebie i przymuszane, głupie i mądre, zaprzepaszczone i odkryte, zadowolone i zawstydzone, bolące i swędzące. A jedna nawet śpiewa!

– Nie znam się za bardzo, ale „Romeo i Julia” to z pewnością nie jest – chichocze mi do ucha Miłosz.

Publiczność ryczy ze śmiechu jak perwersyjny bawół, a do mnie nagle dociera, że przecież ja o tym spektaklu pisałam dla „Wzdłuż” jakiś czas temu! Wyrwam siedzącej obok dziewczynie program.

No jasne, „Monologi waginy”!

Pisałam o nich, choć oczywiście nie widziałam, bo do Sopotu mogłam sobie jechać wyłącznie po dziesięć godzinach spędzonych w redakcji i to tak, by niepostrzeżenie wrócić na rano za biurczko. Najlepiej z gotowym tekstem, smarowanym na laptopie w drodze powrotnej w pociągu.

– Dziennikarz jest zawsze w pracy – zwykła mawiać naczelna, myląc życie kierownika działu z losami niewolnicy Isaury.

Cóż było robić? Założyłam kilka pęczniących skoroszytów, do których wpinałam strony, wrywane z innych pism, na temat książek, filmów, wystaw i przedstawień. Gdyby nie ich autorzy, kropla mojego zawodowego sprytu i wcześniej nabyta wiedza, kultura we „Wzdłuż” byłaby jak pijane dziecko we mgle.

Zresztą z mych skoroszytów korzystałam już jako ostatni relikwiarz ery mezozoicznej, bo wszyscy taką wiedzę kradną z internetu.

Gdy po godzinie pikantnej i całkiem błyskotliwej kroczo-rozrywki, zmierzamy z Miłoszem ku wyjściu, natykam się na dużą ramkę, wiszącą przy szatni. Wewnątrz, pod szkłem, niczym „Słoneczniki” Van Gogha, dostrzegam znajomy układ strony, kolory i liternictwo... Ze ściany w najlepsze uśmiecha się do mnie moja recenzja z „Monologów waginy”. Kompetentna i chwala przedstawienie tak, że w obecnej chwili nie zrobiłabym tego lepiej.

„No, no, myślę zdumiona, oto profesjonalizm przez duże Pe. Nie widzieć, napisać, zobaczyć i potwierdzić spostrzeżenia!”

A „Romea i Julię”, owszem, grano dziś, tyle że w Gdańsku, na dużej scenie teatru.

W prawdziwym życiu, które i tak od wczoraj przypomina bajkę, mój Romeo zaprasza

mnie jeszcze na drinka, a potem na kolację. Następnie odprowadza mnie do pokoju i – zamykamy za sobą drzwi.

Opadam na łóżko w pół przyzwalającej pozycji jak Maja Ubrana, dając mu do zrozumienia, że jeśli się nieco postara, zmienię się w Maję Nagą, nie oskarżając go potem o gwałt.

Romeo otwiera balkonowe okno i... siada w fotelu. Morze szumi.

Julia też by chętnie poszumiała.

Romeo podnosi nogę i... zakłada na drugą, jakby się szykował do obejrzenia pełnej, czterogodzinnej wersji „Czasu Apokalipsy”!

– Trochę chłodno... – wzdycha Julia, choć wcale nie jest chłodno.

– Chcesz koc? – pyta przytomnie Romeo.

– Nie, dziękuję – mówię grzecznie.

I na wszelki wypadek wzmacniam odpowiedź:

– Od kiedy pamiętam, nie znoszę koców. Już w dzieciństwie rozkopywałam się natychmiast, gdy tylko mama próbowała mnie przykryć jakimś kocem.

Reakcją jest katastrofą.

– To może jeszcze drinka?

– Och nie, naprawdę, jutro też jest dzień!

– Nie mogę pozwolić, żebyś marzła!

– Nie pozwól... – mruczy Julia, zmieniając pozycję w propozycję.

– Wobec tego zamknę okno – deklaruje Romeo.

Cholera, czy gramy w spektaklu o przeciągach?! Co się właściwie stało? Dlaczego nagle stracił zapal? Przecież chwycił mnie w kafejce za rękę. Co prawda po ciemku, ale jednak przy ludziach. A teraz jesteśmy sami!

Miłosz ledwo daje się uprosić, żeby jednak tego okna nie zamykać i... siada z powrotem na fotel!

Wiem! To przez te nieszczęsne „Monologi”! W natłoku wszelkich wagin poczuł się wreszcie osaczony przez wszystkie możliwe krocza tego świata i chęć mu odeszła. Ile można myśleć o słodkich otworkach? W takiej sytuacji nawet Romeo straciłby ochotę na Julię! Jedynie Patryk mógłby po takiej sztuce włączyć jeszcze pornostrony w komputerze.

Hola! Ale ja to przecież nie komputer! Przeciwnie, jestem żywą, atrakcyjną kobietą i... i oczywiście właśnie tego życia boi się we mnie najbardziej. „Monologi waginy” kończą się sceną porodu.

Jak mu dyskretnie zasugerować, że niekoniecznie od razu musimy mieć dzieci?

Ale jeśli on, światły prawnik z wielkiego miasta, tego nie wie, to co ja tutaj z nim robię? Na wdychanie jodu na plaży mógł sobie przyjechać z kolegami lub własną prababką, jeśli staruszka cieszy się dobrym zdrowiem.

– Tego mi było trzeba – oświadcza jak na zawołanie, biorąc głęboki oddech i patrząc na morze.

– Jesteś z długowiecznej rodziny?

Wygląda na zaskoczonego, więc chyba jednak nie myśli o prababce.

– Dlaczego pytasz?

– A, tak sobie

– Ciągłe mnie zaskakujesz.

– I nawzajem! – odpowiadam.

– Moja rodzina... – Miłosz bierze drugi, głęboki oddech.

No i mam za swoje! Żegnaj, jabłuszko grzechu! Witaj, drzewo genealogiczne klanu Bartkowiaków!

Zaczynamy od prababki o imieniu Tekla, którą sama wywołałam. Jaka szkoda, że już nie żyje. O wół do pierwszej jesteście przy trzech skłóconych siostrach jego babki, a około pierwszej do akcji wchodzi dwóch braci ojca, ksiądz i rozpustnik.

Jak on pięknie umie opowiadać. Nic dziwnego, że został adwokatem.

Najciekawsza jest historia stryjenki Reginy, która wyszła w Australii za właściciela kopalni diamentów. Była tak pazerna na klejnoty, że mimo hojnych prezentów od męża postanowiła trochę wykopać sama. Gdy ją odnaleziono pod zwałami diamentowej ziemi, martwa zaciskała w dłoni garść cennego kruszcu.

– Nigdy nikomu tego nie mówiłem – wyznaje Miłosz nad ranem, trzymając mnie za rękę we wschodzącym słońcu.

I siedząc nadal w tym samym fotelu.

Nie wiem, kiedy zasypiam. Gdy się budzę, jestem wciąż w teatralnej kreacji, przykryta szczelnie hotelowym kocem.

* * *

Przy śniadaniu, choć lekko nieprzytomni, jesteście szczęśliwi. Zupełnie jakbyście przez całą noc uprawiali wyuzdany seks à la „Dziewięć i pół tygodnia”.

Może jestem nienormalna, ale stryjenka Regina i jej diamenty rozpałała mnie mocniej niż „Emmanuelle” we wszystkich częściach swoich erotycznych przygód jednocześnie! I choć trzeba już wrócić do rzeczywistości, a peżot jest coraz bliżej Warszawy, nie znam jeszcze drugiej połowy rodziny Miłosza, nie mówiąc o tym, że nie zaczęłam przedstawiać mu swojej.

– Na opowieść o ciotce Uli potrzebna nam co najmniej droga do Neapolu i to pod warunkiem, że często będzie się psuł samochód! – ostrzegam.

– Nic straconego, lato dopiero się zaczyna – mówi Miłosz, na moją prośbę włączając po raz szósty płytę z Ellą i Louisem.

– Zadzwoń! – obiecuje, dżentelmeńsko cmokając mnie w rękę, którą muszę zataszczyć walizkę za róg, bo nie pozwoliłam mu podejść pod okno mamusi.

Pisk opon i już go nie ma. Czy naprawdę był?

Bo co do istnienia mamy i Gapy nie mam żadnych wątpliwości. Nie da się do tego domu wejść ani z niego wyjść, żeby ich nie spotkać. Życie jako nieustanny spacer!

– Lucynka! – cieszy się mama. – Jak przedstawienie? Co to w ogóle było?

– „Romeo i Julia” w wersji erotyczno-familijnej.

– Czego to teraz nie wymyślą... – dziwi się moja rodzicielka. – Słuchaj, czy nie zabrałaś mi przypadkiem kluczy do swego mieszkania?

– A po co? – Na wszelki wypadek wsadzam rękę do torebki. – Mam własne.

– No to nie wiem, wyparowały z wieszaka.

– Patryk swoich nie zgubił?

– Nic nie mówił. – Mama wzrusza ramionami. – I chyba już gdzieś wyszedł.

A jednak, od kiedy Pat pojawił się na świecie, gdy coś nam wyparowuje, odpowiedź jest tylko jedna.

Lecz dziś mnie to w ogóle nie obchodzi. Usiłuję bez fałszu zanucić po Elli „Lady Be Good”, wchodząc do mieszkania. O dziwo, Pat nie narobił bałaganu, na jaki spokojnie mógł sobie pozwolić, bo i tak bym nie zauważyła. Rzucam się na sofkę, myśląc o lecie pełnym cudownych podróży. Najlepiej co tydzień. Czyżby naprawdę coś wreszcie drgnęło w moim życiu? Czy to ma szansę się udać? Może oślepiło mnie sopockie słońce, ale nie znajduję żadnego argumentu przeciw. Natomiast za są ich tysiące.

Nie do uwierzenia, ile nas łączy! Po pierwsze, beżowy peżot. On ma, a ja uwielbiam takie samochody! Po drugie, rodzina za granicą. Jego ukochana siostra, moja ulubiona ciotka! Po

trzecie, poczucie, że o kobiety należy się troszczyć. On był bardzo szarmancki, a ja uważam, że tak powinno być! Po czwarte, teatr. On się nie nudził. Ja na polonistyce zrobiłam przecież specjalizację teatralną! Po piąte, mafia. Nie ściga ani jego, ani mnie! Po szóste, seks. Oboje jesteśmy przekonani, że co się odwlecze, to nie uciecze! Po siódme...

Ojej, chyba z tego nadmiaru szczęścia mam jakieś zwidy! Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nagle otwierają się drzwi od łazienki i przez mój pokój lekko i wdzięcznie przefruam... ja sama z czasów ogólniaka!

Ale zaraz, ten fioletowy peniuarek kupiłam przecież znacznie później, a majtek z koszmarną niebieską koronką nie założyłabym nigdy!

– Dzień dobry – mówi półnaga nastoletnia zjawa, uprzejmie dygając nóżką. – Jestem Izka.

I najzwyczajniej w świecie kieruje się w stronę kanciapy Patryka!

– Dzień dobry – odpowiadam i szczypię się w nogę.

Zza ściany wynurza się mój syn, w samych bokserkach.

– Mama? – nie może się nadziwić. – Co tu robisz?

– No, raczej jestem u siebie.

– Aha. A my u siebie. To jest Izka.

– No, powiedziałaś już! – krzyczy z drugiego pokoju Izka.

– Uczymy się fizyki i chemii – wyjaśnia Patryk.

– Widzę. Dlatego zwędziłeś babci klucze?

– Pożyczyłem, żeby nam nie przeszkadzała w nauce – uśmiecha się Pat.

Może i w nauce, ale z pewnością nie fizyki i chemii. Jezu, przecież gdy zacznę podróżować z Miłozsem, Pat z Izką otworzą tu sobie szkołkę na całego. Pewnego dnia wejdę i zastanę szkołę rodzenia!

– Jak długo się znacie?

– Ho, ho, parę miesięcy – odpowiada z dumą mój syn. – A teraz cię przepraszam...

– rzuca szarmancko, jak nie on, i zawraca do siebie.

Tych paru miesięcy jeszcze nie musi być widać... Ale w takim razie dlaczego pytał mnie kiedyś, czy chciałabym zostać babcią?

Izka. To do niej wychodził godzinę przed lekcjami? To ona zaczarowała go tak, że albo go nie ma albo z lubością głośno wyśmiewaną Gapę i zjada bez grymaszenia, co dostaje? To ona sprawia, że nie łązi z kumplami nie wiadomo gdzie i od moich urodzin nie wrócił do domu pokancerowany?

– Patryk? – wołam.

Wychyla łusy, zadowolony łeb.

I co mam mu powiedzieć? Żeby natychmiast ubrała się i wyszła? Żeby on się ubrał? Bo co, bo sobie nie życzę? Przecież nie są kompletnie goli. Ani pijani. Ani naćpani. I już zapewne zaczęli to, co będą robić nawet, gdy ich wywalę. Tyle, że wtedy w mniej komfortowych warunkach. No i w ogóle przecież lepiej ich mieć niż stracić.

– Mam nadzieję – ściszam głos – że Izka z nami jeszcze nie mieszka...

– Jeszcze nie – oświadcza całkiem poważnie, też szeptem.

19.

Chwała optymistom za krzepiące stwierdzenie, że po dniach gorszych zawsze przychodzą lepsze. Ja twierdzę jednak, że po lepszych czeka nas już tylko czarna dziura, wypełniona po brzegi kwasem solnym i naszpikowana kolcami.

Najpierw objawiła się Danka. Z pracy w „Lali” nici. Ich naczelna za nic w świecie nie przyjmie nikogo z „Wzdłuż” i kwalifikacje nie mają tu nic do rzeczy.

Dopałam też wreszcie Krystynę, ważną panią prezes. Tak ważną, że koleguje się wyłącznie z obecnymi kierownikami działów kultury, a byłych jakoś nie może sobie przypomnieć.

Na jedenaście maili nie odpowiedziała żadna z redakcji.

Nie odzywają się też Hania, Maciek ani Kuba. Wiem tylko od Pata, że Kuba przestał chodzić na boks, tyle ma roboty.

Miłosz nie zadzwonił przez dwa tygodnie od wycieczki.

Za to doskonale pamiętają o mnie banki.

W dwóch mam karty kredytowe. A właściwie miałam, bo mi je zablokowano. I zadzwoniono z trzeciego, by oznajmić, że nie zapłaciłam jakichś wcześniejszych rat, a ponieważ nie mam zabezpieczenia w postaci stałej pensji, muszę natychmiast oddać wszystko, czyli piętnaście tysięcy złotych!

Cała noc ślęczę nad s zawartością szuflady, po otwarciu której wysypały się na mnie wpychane tam na ścisk dziesiątki wyciągów luzem i drugie tyle nieotwartych urzędowych kopert. Powoli do mnie dociera, że pożyczki zaciągnięte na dwa urlopy i remont to nic wobec gigantycznych kwot, które się po prostu rozplynęły. Na co brałam tę forszę? Zabijcie mnie, nie wiem!

Przecież nie na okazji kupione dwie futrzane kurteczki i skórzaną marynarkę, którą mi zniszczono w pralni, oraz kilka par butów. Ani nie na oszałamiający paryski kapelusz, natychmiast strącony przez wiatr w sam środek kałuży, sałatki we francuskim barze na siódmym piętrze (choć muszę przyznać, że większość moich kolegów karnie chodziła do baru polskiego, tańszego o połowę) lub na dresy i adidasy Pata (acz nie da się ukryć, że zamiast na bazar, od kilku lat prowadzał mnie do najbardziej markowych salonów). No i chyba nie na telefony. Tylko dwa razy rachunki były, powiedzmy, nieco wyższe. Gdy wróciłam z Turcji, przez miesiąc wydzwaniałam do Kemala, by opowiadać, co w tej chwili robię. Na szczęście zmienił nagle numer telefonu, choć wtedy nie byłam z tego powodu szczęśliwa. A po wakacjach na Cyprze wdychałam na własny koszt do Christophorosa. Krócej, przez trzy tygodnie.

Wczytuję się w zaszyfrowane bankowe papiery. Czy to możliwe, że od dłuższego czasu spłacałam tylko odsetki? Z kwitów wynika czarno na białym, że długi jak były, tak są, tylko jeszcze większe, choć oddawałam bankom połowę pensji.

Najczarniejsze przecucia mam właśnie co do tej połowy. Bo tak się akurat ułożyło, że z kilku tysięcy zabierano mi mniej więcej pół. Ale skąd mi przyszło do głowy, że jeśli będę zarabiać mniej niż we „Wzdłuż”, banki wciąż będą mi potraçać tylko pół krwawicy? Przecież ściągną tyle, ile zamierzają, choćby wszystko, co bym zarabiała, a nawet więcej!

To oznacza, że nie interesuje mnie żadna praca poniżej dobrego kierowniczego stanowiska, choćbym miała kierować burdelem w Bangkoku. Każda inna nie ma sensu, bo nie zobaczą ani grosza.

A jeśli za długi wsadzą mnie do pierdła? Wtedy Pat trafi do domu dziecka, bez Izki.

Mama go nie adoptuje, bo gdy po niego przyjdą z opieki społecznej, padnie natychmiast na zawał.

Robi mi się niedobrze, słabo, ciemność przed oczami...

Budzę się na dywanie, z ręką obejmującą szufladę prawdy, szarpana przez Patryka.

– Mamo! Co tu robisz? Źle się czujesz?

– Która godzina? Idziesz do szkoły? – Słyszę siebie samą jak z beczki.

– Nie, do września mamy wolne.

– Jak to do września? I co za my?

– No, ja i Izka... Nie przepuszczą nas.

– Ona też taka głupia?

– Nie, ale mnie kocha, więc też przestała chodzić.

Przed oczami robi mi się jeszcze ciemniej. Pokój kurczy się. Skąd tu nagle tyle ludzi?

– *Zabiorę was na Hawaje, albo przynajmniej do Sopotu – wtrąca się Miłosz.*

– *Wykluczone! Gapa nie znosi podróży, a ja jej nie zostawię – oświadcza mama zza wielkich seledynowych okularów „na mrówkę”.*

– *Dopóki żyję, nigdzie nie pojedziecie! – rechocze Halina Cesarska, wybrudzona węglem z wałbrzyskich biedaszybów.*

– *A ja chcę na disko! – histerycznie szlocha Izka, od stóp do głów w moich ciuchach.*

– *Lucyna, nie wyjdiesz stąd, dopóki nie podpiszesz. – Gabryś podaje mi coś w rodzaju egipskiego papirusu, na którym stoi jak wół „Wyrok śmierci”.*

– *Podpisz, Lucynka – namawia mnie Maciek.*

– Duszno, tu jest okropnie duszno! – krzyczę.

Tymon otwiera okno, przez które wlatują tysiące papużek, ludzako podobnych do Porachy.

* * *

– Żył pani ostatnio w dużym stresie? – pyta pan doktor, jowialny grubasek.

– Ależ skąd! – zaprzeczam gorąco, bo nade mną stoi przerażona mama.

– Hmmm, to dziwne... – wzdycha doktor. – Ponieważ wygląda mi to na załamanie nerwowe. To najprawdopodobniej z niego ta gorączka i wyczerpanie.

– Kim jest Miłosz? – pyta Pat.

– A co, dzwonił? – od razu mi lepiej.

– Nie, ale wołałaś go przez dwa dni.

– I krzyczałaś, że nie dasz się zamknąć w więzieniu! – śmieje się Tymon.

– Zostawcie ją – broni mnie mama. – Omal nie oszalała z tej temperatury!

– Miałam taką fatamorgane, że Patryk przestał chodzić do szkoły i zostaje na drugi rok.

– To akurat prawda – oświadcza mój syn bez żenady. – Ale razem z Izką!

Skoro jednak nie wszystko było koszmarnym snem, rozglądam się po pokoju. Na szczęście po nadredaktor Cesarskiej ani śladu. Doktor prosi moją szanowną rodzinę o opuszczenie salonu.

– Jest pani pewna, że nie straciła pani pracy, nie złamała serca i nie miała pomysłów samobójczych?

Cholera, to lekarz czy Nostradamus?!

– Nie jestem...

– Wobec tego lekarstwa, które wypisałem, mają sens wyłącznie razem z kilkoma dniami bez myślenia.

– O niczym?

– Zupełnie.

Dobre sobie! Z takiej recepty bez kłopotu mogłaby skorzystać Izka (która jakimś cudem wciąż z nami nie mieszka) albo Molka, lecz z pewnością nie ja. Może myślę głupio, ale zawsze!

Natychmiast po wyjściu doktora zastanawiam się, co mogłabym spieniężyć. Ten luksusowy kran do umywalki? Używam go dopiero od pół roku... A nowej spłuczki wciąż nie zamontowałam. Kupione w promocji opakowanie kremu i toniku do twarzy. Jeszcze nie otworzyłam i mogłabym opchnąć po normalnej cenie. Dwie żarówki, niemieckie, nowiusieńkie, bo do moich lamp mają za mały gwint. Satynową koszulę nocną, подарowaną mi przez mamę na zeszłą Wielkanoc. Spałam w niej tylko raz, gdy przyjechała kuzynka z Kielc, której chciałam pokazać, co to znaczy być damą. Z trudem wyceniam wszystko na jakieś sześćset pięćdziesiąt złotych.

Ale jak to sprzedać? Nie rozkraczę się przecież w tej koszuli na środku Mokotowa, wymachując kremem, tonikiem i kranem do umywalki.

Jak to się wszystko w ogóle mogło stać? Przecież na kredyt żyje pół Polski i cała Warszawa. Koreccy kupili sobie drugi samochód, bo oczywiście każdy powinien mieć swój, choć ona nie odróżnia chodnika od chomika. Łumieńscy luksusowo pobudowali się bez spadku i wygranej w totolotka. Gdy spotkałam ją i zapraszałam, żeby kiedyś wpadła, spytała, czy wciąż mieszkam w bloku, krzywiąc się jak po lewatywie. Rejerowie, kosztem kolejnej pożyczki, zmienili sobie swojską klepkę z sosny na wiśniowy parkiet z RPA. Wygląda jak szpitalne linoleum, ale gdy poszłam tam na imieniny, kazali mi w przedpokoju naciągnąć na nowe szpilki takie muzealne kapcie, które nawet z Liz Taylor zrobiłyby garkotłuka. U Markowskich nie da się wejść do łazienki, bo całą wypełnia wymarzona gigantyczna wanna z fontanną i hydromasażem. Nie szkodzi, że pani domu nadal myli bidet z muszlą klozetową.

A udaje im się, bo we dwoje można się przypilnować. Jedno kupuje, drugie liczy. Ot co! Kiedy on zechce rzucić pracę, ona mu szybko przypomni, że przez wannę wielkości basenu czeka go jeszcze osiem lat uśmiechania się do chamskiego szefa. Gdy zaś jej przyjdzie do głowy, by wreszcie wydrapać kaprawę oczka tej kretynce kierownicze, mąż wskaże wannę i z serca poradzi:

– Weź relaksujący hydromasaż i nie utop się, bo kredyt niespłacony!

Ja, zdana wyłącznie na siebie, skończę w więzieniu za długi, ponieważ nawet komornik nie ma stąd czego wynieść. Dziesięcioletni telewizor? Lodówkę, działającą tylko w zimie? Sofkę, poprzypalaną papierosami przez niepalących kolegów Pata? Nowych plastikowych okien, jedyne go śladu remontu, przecież mi nie zabierze, bo przeciw dziurom w murze zaprotestuje miejski architekt.

O, jakże lekko, łatwo i przyjemnie wyjmuje się gotówkę ze ściany albo macha w sklepie kawałkiem plastiku. Czary mary, Sezamie, otwórz się... Kapitalizm jest kapitalny – dla kapitalistów. Dla zwykłych ludzi rzadko i tylko dla tych, którzy żyją w parach.

Odpowiedzialny partner. Oto, czego mi zabrakło. Taki, na przykład, Miłosz za nic w świecie nie pozwoliłby mi wyciągać łap po kolejne niezarobione pieniądze, które trzeba zwracać.

Chociaż może akurat on by mi pozwolił. O kim ja w ogóle myślę? O kimś, kto przestał się w ogóle odzywać, zostawiając mnie na pastwę Okrutnego Losu i nawet nie podał mi swojego numeru telefonu?

* * *

Oczywiście, znając jego imię i nazwisko, jeśli jest prawdziwe, mogłabym zadzwonić do biurowca na centralę i szybko go zidentyfikować. Czy jednak to jest właśnie to, co powinnam zrobić? Może Miłosz ma powody, żeby nie chcieć się ze mną zadawać?

Może zachowałam się zbyt wyzywająco, rozkładając się tamtego wieczora na hotelowym

łóżku jak rozochociona gęś, zamiast usiąść grzecznie obok niego w balkonowych drzwiach? A może jest impotentem, który co miesiąc wywozi jakąś naiwną cizję na Wybrzeże, w góry lub na Mazury, by opowiadać historię swojej rodziny? I za każdym razem zmyśla co innego, bo chodzi tylko o ćwiczenie kwiecistego stylu, niezbędnego panu adwokatowi w gadaniu przed Wysokim Sądem? Albo przeciwnie: jest zbrojcem, który chciał mnie tamtej nocy zabić, poćwiartować i zakopać pod molo? I uratowało mnie tylko głupie pytanie o jego przodków – jedyne, przy jakim się rozkleja i zapomina o swej paranoicznej misji oczyszczenia świata z zadłużonych dziennikarek.

Chociaż... Czy ta misja nie jest aby słuszna?

Tak czy siak, zabawił się mną jak szmacianą lalką i tylko tyle dobrego, że szmaty z siebie na szczęście nie zrobiłam.

I mam nadzieję, że zginie pod zwałami ziemi jak jego diamentowa stryjenka Regina. Albo przynajmniej z półek spadnie mu na głowę sto ciężkich jak kamienie segregatorów z sądowymi dokumentami. W dziennikach na okrągło pokazują migawki z jakichś rozpraw, na których zza sterty papierzyk nie widać nawet szanownego grona orzekających.

Z drugiej strony: w końcu jest prawnikiem, a jedynie prawnik może pomóc takiej smętnej bankrutce jak ja. Więc może schować oplakane resztki honoru do torebki?

Gorączka zżera mnie jeszcze następne dwa dni.

Jak na zamówienie z piekła w telewizji nadają amerykański film o facecie, który traci pracę, więc zabierają mu służbowy samochód, wyrzucają z niespłaconego domu, córka musi opuścić prywatną szkołę, a żona popełnia samobójstwo. Oto *American Dream*.

Na dodatek nie mogę wyłączyć telewizora. Pat włączył go, żeby mi umilić chorowanie, i zniknął, a ja nie jestem w stanie doczołgać się do stolika, na którym leży pilot. I się tu lecz!

– Synku, co właściwie zamierzasz robić przez całe lato? – pytam, gdy uprzejmie wraca.

– Zdrowiej i o nic się nie martw – odpowiada.

Proszę, jakiego to wychowałam prawdziwego mężczyznę! Żeby jeszcze można mu było uwierzyć. Ale nie można – żadnemu!

– No, ale co będziesz robił? Powiedz mi!

– Pójdziemy z Izką do pracy.

– Przecież wy nic nie umiecie!

– Ona zostanie modelką.

– Dobrze sobie! Chyba na najbliższym rogu...

I niepotrzebnie gryzę się w język, bo Pat aluzji nie pojmuje. Ja zresztą na tym rogu stanę chyba razem z nią.

20.

Od katastrofy może mnie uratować tylko kolejna przebieranka.

Włosy, gładko spięte jak u wdowy po własnym życiu, stary sfatygowany płaszcz, zdarte buty i twarz ogórka kiszzonego, niewymagająca charakteryzacji, bo tydzień w łóżku zrobił swoje. Oto jak się prezentuję podczas tournée po bankach.

– Niech będzie pochwalony! – Kłaniam się w pierwszym. – Pomóżcie, a pomodłę się za każdego z tysiąca pracowników z osobna!

– Ojejujejujeju! – lamentuję w drugim. – Rzucę się do Wisły z tego nowego mostu!

Przed wejściem do trzeciego skręcam do kibelka i wokół oka domalowuję sobie granatową śliwę. To tu kazali mi natychmiast oddać piętnaście tysięcy.

– Pobił! Okradł! – rzucam się do stóp jakiejś wiceprezeski o minie prosiaka po kolacji z wieprzowiny.

– Mam informacje, że pani jest dziennikarką. – Patrzy to na mnie, to na ekran monitora.

– Tygodnik „Wzdłuż” to bardzo eleganckie pismo.

– Okradł! Pobił! – nie daję za wygraną.

– A nie zgwałcił? Sprolonguję pani spłatę o miesiąc – mówi rozśmieszona. – Za ten cyrk.

Przestaję grać. Pijemy kawę. Kobieta okazuje się naprawdę równą babką i – jak to pozory mylą! – w charakterze nie ma nic a nic ze świni. Jest pierwszą osobą, z którą w ogóle mogę o tym wszystkim porozmawiać.

Wcale jej nie dziwi, że w dwóch poprzednich bankach też dali mi jeszcze miesiąc.

Spokojnie zdążą mnie wykończyć. Ale w sprawie tych nieszczęsnych piętnastu kawałków rzecz zaszła za daleko i raczej nic się nie da zrobić.

Wychodzę z numerem telefonu do wydawnictwa Jak, w którym pracuje jej szwagierka. Podobno szukają kierownika.

Pożyczam parę groszy od mamy, tłumacząc, że moja firma opóźnia się z przelewem, i dzwonię. Fart. Chcą gadać ze mną osobiście. I poracha: nie szukają żadnego kierownika, nie mają etatów. Jest długofalowe zastępstwo na umowę zlecenie. Przynajmniej utonę czymś zajęta i będę miała na ciastko. To jedyna frajda, jaka mi pozostała. O tym, co będzie za miesiąc, wolę nie myśleć.

Ze względu na protekcję od razu wysyłają mi materiały do obróbki. Wydawnictwo Jak wydaje same poradniki. Jak żyć? Jak umrzeć? Jak oszaleć? Jak nie zwariować? Jak dyskretnie sypiać z cudzymi mężami i jak unieszkodliwić teściową, przynajmniej chwilowo?

Osobny dział stanowią książeczki odpowiadające na pytanie: jak schudnąć. I oczywiście właśnie one dostają mi się do językowej obróbki.

Jedz wszystko, a potem się gimnastykuj.

Nie jedz nic i nie ćwicz (skąd zresztą brać siły?).

Tylko węglowodany.

Wyłącznie tłuszcze.

Jedynie zeroprocentowe mleko.

Do wyboru, do koloru, bylebyś, idiotko, zapłaciła za poradnik. Osobiście lub przelewem. „Dieta trzy ziarenka” to hymn na cześć fasoli. Szparagowej, głupiego jasia i innej durnej marysi, koniecznie w tytułowych proporcjach.

Według „Seksu bez ograniczeń” w ciągu paru dni chudniesz do rozmiaru długopisu i omdlewasz, taka wiotka, w ramionach równie wyszczuplonego partnera.

„Luksus dla każdego” jest propozycją nie do odrzucenia. Nabywasz butelkę najdroższego francuskiego szampana i obciążasz ją, jak długo się da, po łyżeczce od herbaty dziennie. Bez zakąski, bo szkoda smaku i zapachu, a zresztą już nie masz za co jej kupić.

Przez kilka dni poprawiam polszczyznę, streszczam, wymyślam hasła reklamowe do katalogu wysyłkowego, choć najchętniej napisałabym:

*Nie chcesz, głupia, utknąć w drzwiach,
Jedź z pustyni tylko piach!*

Któregoś popołudnia robotę przerywa mi ciche pukanie. Gdyby nie ubłagane na chwilę banki, nie otworzyłabym za żadne skarby, choć komornik nie byłby pewnie taki dyskretny.

W progu stoi starszy pan w okularach, o łagodnej twarzy, coś pomiędzy filozofem, inżynierem, a urzędnikiem. W ręku trzyma paczuszkę, na tysiąc procent z cukierni. Dziwimy się sobie oboje.

– Przepraszam. Zastałem panią Alinę?

– Nie. To znaczy, nie wiem, ale mieszka naprzeciwno.

Nasza rozmowa pobudza Gapę do kosmicznego szczeku. Właśnie tak muszą ujadać galaktyczne psy na wieść, że jeszcze ktoś istnieje w przestrzeni międzygwiazdnej. Suczysko wyskakuje na gościa z takim zachwytem, jakby go znało od zawsze. Mama pojawia się w swojej najbardziej widowiskowej sukience z białym kołnierzem wielkości obiadowego talerza. Jest umalowana jak na własny ślub i... ma nową, wystrzałową fryzurę. Oczywiście, w kolorze futerka Gapy!

– Mówiłam ci przecież, że od wejścia na lewo – mówi do gościa spłoszona, jakbym jej tego pana natychmiast zamierzała odbić. – Poznajcie się, to moja córka...

No to się poznajemy.

– Pan Alojzy przyszedł tylko na chwilę – tłumaczy mama niczym mała dziewczynka przyłapaną na wpuszczaniu obcego mimo zakazu srogiej opiekunki.

Po godzinie odrywa mnie od moich diet, przynosząc wuzetkę niewiele mniejszą od budynku filharmonii.

– Z pozdrowieniami od pana Alojzego...

– O rany, będę ją potem musiała wyskakać na minitrampolinie! – jęczę, wyrwana z opisu zestawu specjalnych ćwiczeń dla maksiwariatek.

– Skacz, jak chcesz, tylko proszę cię, nie wyobrażaj sobie za wiele w kwestii tego pana – oświadcza mama takim tonem, jakbym całe życie bujała w obłokach.

A przecież nie trzeba nigdzie bujać, żeby widzieć, co jest grane!

Wracam do odchudzania poprzez wytrząsanie, choć wytrząść można sobie głównie mózg. I robi mi się niepomierne smutno. Oczywiście, bardzo się cieszę, że mama ma przyjaciela. I że Patryk sobie kogoś znalazł, choć ta cała Izka przypomina raczej suchego kota ze śmietnika niż romantyczny obiekt pierwszych, młodzieńczych westchnień. I Tymon...

W swojej samotności zostałam kompletnie samotna!

* * *

– Kiedy wpadniesz? Kiedy wpadniesz? No kiedy wreszcie do nas wpadniesz? – molestuje mnie Tymon od tygodni.

Mimo oplakanego stanu, nie mogę dłużej odkładać tej wizyty. Zwłaszcza że wybiera się do nich mama, a ja miałam przecież, z jakichś ważnych powodów, być pierwsza.

Braciszek umawia się ze mną na ulicy, choć trudno tu się zgubić, a autobus dowiózł mnie pod sam blok.

– Tylko pamiętaj. Nawet, jeśli ci się nie spodoba, nie pokazuj tego po sobie, dobrze?

– Jest lekko podenerwowany. – Siostra, obiecujesz?

– Za kogo ty mnie masz? – obruszam się. – To ty z nią mieszkasz, nie ja.
– Idziemy! – informuje swą ukochaną przez komórkę, chociaż jesteśmy już przy windzie.
Kurde, nigdy się ze mną tak nie certolił.

Dzwonimy do drzwi. Uchylają się niemal natychmiast.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale z pewnością nie tego. I już rozumiem, dlaczego miałam ją koniecznie poznać zanim swoją synową ujrzy mama.

Dziewczyna Tymona nie jest Murzynką, Wietnamką ani nawet Indianką. Ma z metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i drugie tyle w barach. Nie, nie jest pływaczką ani żadną inną kulomiotką. Dziewczyna Tymona w ogóle nie jest dziewczyną.

– Cześć, mam na imię Borys. – Sympatyczny facet uśmiecha się do mnie szeroko. – Miło cię poznać.

– Mnie również – bąkam zaskoczona. – Lucyna.

– Czego się napijesz? – Borys wskazuje mi kanapę, a Tymon, oparty o ścianę, stoi w bezruchu jak pomnik na Powązkach.

– Mały, skamieniałeś? – Borys czule całuje go w czoło. – Rusz się! Podejmujemy twoją siostrzyczkę.

Szybka lampka czerwonego wina działa skuteczniej niż dyplomowany psycholog. Ja oswajam się z sytuacją, Borys ze mną, a Tymon z nami.

Gdy na nich patrzę, wydaje mi się, że jeśli już, to Tymon jest dziewczyną Borysa. Ma delikatniejsze rysy twarzy i jest jakiś bardziej... zwiewny. Ale czy na pewno? Nigdy nie byłam gejem i na to się na razie nie zanoszę, a po nich naprawdę nic nie widać.

– Przenoszenie hetero układow na nasze nie ma sensu – śmieje się Tymon, gdy pytam żartem, kto jest czyją dziewczyną. – Jesteśmy sobie wszystkim.

– Super, ale nie wiem, czy mama to zrozumie – mówię szczerze po drugiej lampce.

– Co tu jest do rozumienia? – jeży się Borys. – Chcielibyśmy, żeby przyszła i nie czuła się jak na wystawie psów.

– Akurat na takiej wystawie mama czułaby się świetnie! – chichocze Tymon.

Borys ma ze trzydzieści lat, ciemną karnację, czarne włosy i czarne oczy. Z postury i nieco kanciastych, ciężkich ruchów wydaje się prawdziwym maczo. Dziewczyny muszą się za nim oglądać na kilometr. Od razu wzbudza moją sympatię i nawet nie przechodzimy na ty, bo nie zdążyliśmy być na pan.

– A twoja mama zrozumiała?

– Nie. I wstydzę się za nią tak samo, jak ona za mnie – stwierdza spokojnie chłopak mojego brata.

Chłopak mojego brata. Niby jestem z dużego miasta i nawet czasem oglądam wyluzowaną MTV, a te trzy słowa tak nie pasują do mojej układanki, jakby ktoś opowiadał mi jakąś realistyczną historię, w której nagle do pokoju weszła „żyrafa jego żony”.

– Nie macie tu... kłopotów z sąsiadami?

– A wyglądamy na zboczeńców? – pyta Tymon.

– Ty wyglądasz! – śmieje się Borys, łapiąc go za żółty czubek na głowie.

– Gdybyśmy zachowywali się jak Cezary Pazura i kilku jego kolegów udających pedałów, z piszczącymi głosami, łańcuszkami i kołyszącymi dupkami, pewnie spalono by nam wycieraczkę. – Tymon nalewa jeszcze wina.

– Kiedyś mnie to wściekało. A teraz myślę, że ci panowie robią nam świetną przysługę. Tak zmylili czujne, zdrowe społeczeństwo, że wszystkim się wydaje, iż nie ma nic prostszego niż rozpoznać geja – kpi Borys.

– Też mi się tak zawsze wydawało... – przyznaję bez bicia.

– To byś się zdziwiła! Geje są wszędzie. Od telewizyjnego ulubieńca rozmodlonych pań, przez dziennikarzy, piosenkarzy, aktorów, po pewnego znanego prawicowego polityka i tysiące zwykłych szaraczków. Zwłaszcza w Warszawie i wszystkich miejscach, w których można się wtopić w tłum, jak na tym osiedlu – mówi Borys. – Lucyna, na pewno znasz ich stu, tylko o tym nie wiesz.

– Co tak oględnie? Jesteśmy u siebie w domu, powiedz jej kto, po nazwisku! – naciska Tymon.

– A po co? – odcina się Borys. – Chciałbyś, żeby cię wymieniano po nazwisku tylko dlatego, że śpiesz ze mną, a nie z koleżanką? Zrób coś w życiu, żeby był lepszy powód!

– Borys jest taki dyskretny, bo wykłada socjologię w prywatnej szkole i gdyby coś się wydało, mogliby mu robić trudności, że niby bałamuci młodzież! – z satysfakcją wyjaśnia zbesztany Tymon.

– Żebyś wiedział. Wciąż żyjemy w kraju, w którym nie odróżnia się pedała od pedofila i transwestyty od transseksualisty! I co, mam się tłumaczyć, że nie jestem wielbłądem? Że mimo iż mieszkam z tobą, naprawdę nie noszę różowych szpilek i nie ślinię się na widok dzieci?

– Borys chciał powiedzieć, że Patryk bez obawy może do nas kiedyś wpaść – wyjaśnia mi mój złośliwy brat.

A ja się zastanawiam, czym się różni transwestyta od transseksualisty, ale nie mam odwagi zapytać.

Winko robi swoje. Rozmawiamy jak ludzie. O japońskich motorach (nie znam się) i amerykańskich dietach (oni się nie znają), wzmacniających preparatach z płetwy rekina (nikt z nas się nie zna) i męskich stringach (zna się tylko Tymon).

Wychodząc z zadbanego, małego mieszkanka, wiem, że mogę być o nich spokojna. Ale jak to powiedzieć mamie?

* * *

Żegnajcie, taksówki. Skromnie wracając tramwajem, robię wszystko to, co Borys słusznie uważa za okropne. Po prostu nie mogę się powstrzymać! Z kim może spać ten chudy facet w bordowym swetrze? Z miną wyuzdanego szczurka wygląda na takiego, który w nocy powiększa swoje drobne ego, przypinając żonę kajdankami do kaloryfera i wyciągając z szafy gruby skórzany pasek nabijany gwoździami.

Tłusta paniusia w żakiecie w kwiatki z pewnością nie grzeszy fantazją. Ona w ogóle niczym nie grzeszy, poza nadmiernym pociąganiem do pralinek. W szkole podobał jej się pewnie nauczyciel geografii, ale wyszła za magazyniera, który zasypia w mgnieniu oka.

Nastolatek w bluzie z kapturem ma tak płonące oczy, że przez cały wieczór musiał z kumplem oglądać filmy z cyklu „i w przeciagu, i na drażu”. Teraz wraca do domu i myśli wyłącznie o zabawie z samym sobą.

A ten Schwarzenegger, jadący pewnie do roboty w ochronie dyskoteki? Po drodze może jeszcze wpadnie do swojej dziewczyny i znów się nic nie uda, bo sterydy skutecznie zabijają potencję. Wiem, bo koleżanka pisała kiedyś artykuł!

Wysiadam, zachwycona swoją przenikliwością.

Już ich nigdy nie zobaczę. I nigdy się nie dowiem, że Bordowy Sweter jest cybernetykiem, kajdanki widział tylko na kryminalnym filmie, a paskiem może co najwyżej spiąć sterty uczonych książek, poza którymi nie widzi świata.

Że Paniusia W Kwiatki jest zwana „Krwawą Sutką” i rządzi żelazną ręką w jednej z pornodziur przy Marszałkowskiej. Pilnuje czterech Białorusinek wynajmowanych na czarno do orgii zwanych dla niepoznaki „tańcem motyla”.

Nie dowiem się, że Nastolatek W Kapturze, owszem, wracał do domu, lecz po długiej

rozmowie z księdzem, w której rozważał swoje powołanie. Jest nadal cudownie dziewiczy.

A Schwarzenegger jechał do swego chłopaka i będą się pieścić przez całą noc przy walcach z „Jeziora łabędziego”. Potencję ma bez zarzutu, zaś w tramwaju myślał o poezji.

Nigdy nie można być pewnym, kto naprawdę mieszka za ścianą i o czym marzy koleżanka z pracy, siedząca z wami biurko w biurko szósty rok. A ilu ważnych rzeczy nie wiemy o najbliższych?

– Gdzieś się tak podchmieliła, córeczko? – Mama demonstracyjnie otwiera swoje drzwi.

Nie mogę powiedzieć, że byłam u Tymona, skoro jej jeszcze nie zaprosił. Ale pora przygotować grunt. Ojej, mogłam ich przypadkowo spotkać!

– Wyobraź sobie, spotkałam Tymona z jego...

Jak nie kłamać i nie mówić całej prawdy?

– Z jego... no wiesz...

– No wiem... – podchwytuje mama. – Dlaczego nie chcą najpierw przyjść tu razem na obiad, tylko koniecznie zapraszają do siebie? To nieeleganckie, jestem starsza.

Nie dam rady wyjaśnić jej, że u siebie będą po prostu czuć się bezpieczniejsi.

– W każdym razie bardzo zgrana z nich para. Wyglądają na szczęśliwych, sama zobaczysz. – Całuję ją na dobranoc.

Czy jednak mama zobaczy to, co ja?

Do snu wertuję słownik. Mam! Transseksualista to psychiczny mężczyzna w ciele kobiety albo na odwrót. Raczej koszmar, dopóki nie przeprowadzi się wielu drogich i bolesnych operacji. Co zaś się tyczy transwestytów, to może być nim każdy facet lubiący przebierać się w damskie ciuszki. Także męski i zakochany w tobie do szaleństwa. Tak, właśnie w tobie! Bo może nim być nawet twój mąż.

21.

Nie do uwierzenia, że jeszcze trzy miesiące temu byłam kierownikiem działu kultury poczytnego pisma. Osobą szanowaną, rozrywaną (przynajmniej telefonicznie), mającą w notesie dziesiątki kontaktów do ludzi, którzy by mnie przecież nigdy nie zawiedli. Ćwierćburżującą, wybierającą się latem na zasłużony urlop na Majorcę.

Zamiast kierowania działem, ślęczę nad redakcją pasjonujących tekstów składających się na pomnikowe dzieło z branży opakowań. Dostałam tę fuchę cudem, tuż po ukończeniu poradników i – co za upadek! – nawet się ucieszyłam.

Tajemnice kodów kreskowych. Z dziejów zamknięć koronowych do butelek. Wpływ folii z polietylenu na smak i zapach przechowywanych w niej towarów. Oto, czym przyszło mi się zajmować.

Ale co tam. Byleby forsa trafiała mi prosto do ręki, bo wplacona na którekolwiek z moich kont, przepada na amen. W ten sposób głupio straciłam część honorarium za poradniki: księgowa przelała do banku i do widzenia. Po resztę pobiegłam w podskokach do kasy na drugi koniec Warszawy.

Telefon milczy jak zaklęty. Naprawdę nie istnieję. A urlop na Majorce mogę sobie obejrzeć najwyżej w telewizji, w programie turystycznym, o który poszerzono mi ofertę kablówki. Siedzę i patrzę na tysiące ludzi smażących się na plaży i dogaduję w stronę ekranu:

- Od słońca choruje się na raka!
- Od drinków z parasolką robi się niedobrze!
- Od dzikich tłumów dostaje się zawrotów głowy!
- Od czyhających w dyskotekach żigolaków można się czymś zarazić!
- Szopen na Majorce skomponował swe najsmutniejsze preludia, w taką popadł tam deprechę!

Dogaduję, by zapomnieć, że jeśli za tydzień nie zapłacę piętnastu tysięcy, to... to nie wiem, co się stanie.

Mama nie ma oszczędności. Ciotka Ula właśnie doniosła, że splajtowała na jakichś funduszach. Dwie starsze panie praktycznie zamykają listę osób, od których mogłabym coś pożyczyć.

Kompletnie wyczerpana, tapetuję się wszystkimi resztkami pudru, które mi pozostały w siedmiu skamieniałych puderniczkach, by nikt nie zauważył, że coś zżera mnie od środka.

Nikt oznacza dziś mamę, Tymona i Borysa, bo wreszcie wybieramy się do nich z wizytą oficjalną.

– Jest ładna? Miła? Jak myślisz, polubimy się? – mama magluje mnie mocniej niż swoich studentów.

– Zaraz się przekonasz – odpowiadam, prowadząc ją pod drzwi jak na ścieście.

W progu owacyjnie witają nas Tymon i... jego ładna i miła dziewczyna!

– Mamusiu, to jest Ewa – oznajmia mój brat.

Śliczna blondynka prowadzi mamę do salonu.

– O co chodzi? – pytam Tymona.

– Sorry – szepcze. – Nie miałem odwagi. Oby tylko Borys nie wykonał żadnego numeru.

To jego siostra, studiuje w Londynie.

Borys, przedstawiony jako brat Ewy, co jest jedyną prawdą tego wieczora, siedzi na kanapie nastroszony jak wkurzone ptaszysko.

– Kochanie, gdzie jest herbata? – pyta Ewa z kuchni, by jak na narzeczoną przystało, podać coś do picia.

I od razu reflektuje się, że przecież we własnym mieszkaniu nie może nie wiedzieć, gdzie jest cholerna herbata.

– ... bo Tomek ciągle wszystko przestawia! – tłumaczy mamie, otwierając szufladę po szufladzie.

Przed kompletną katastrofą, gdy na oczach mamy Ewa zaczyna szukać filiżanek w szafce z ręcznikami, ratuje nas Gapa. Suczysko rzuca się radośnie na niby-dziewczynę Tymona i po chwili obie tarzają się po dywanie.

Mama patrzy jak urzeczona. Skoro przyszła synowa ma tak wielkie serce do zwierząt, spokojnie może jej zaufać w kwestii swego jedynaka. Niech sobie nawet ta Ewa przekręca jego imię.

– I co dalej? – dorywam Tymona w przedpokoju. – Ożenisz się dla mamusi?

– Daj spokój – kwili cichutko. – Powiem jej... po wakacjach.

W ten sposób mama wyjedzie na lato w błogim przekonaniu, że Tymon jest w dobrych rękach, a ja nie wypocznę sobie na wymarzonej Majorce. Czyż dzieci nie powinny dbać o starzejących się rodziców?

Mama jak zwykle wybiera się do Lubrzy, na piękną ziemię lubuską, gdzie jeździ od lat. Ku memu zdumieniu, zamierza też zabrać Patryka.

– Przecież on z tobą nie pojedzie!

– Jadą, jadą, bardzo się ucieszyli...

– No chyba, że oboje... Ale zaraz, jak to? Chcesz ich wziąć oboje? Pata z Izką? Wiesz, co robisz?

– Przypominam ci, że matką to ja jestem znacznie dłużej niż ty – obrusza się moja matka.

Pat z Izką faktycznie szykują się do wyjazdu. Bez forsy, bez pracy i z nadmiarem wolnego czasu nieoczekiwanie objawiają się jako zapoznani miłośnicy natury, wielbiciele nieskażonych lasów i czystych jezior pod Zieloną Górą.

Mój niepokój wzbudza tylko samostanowienie Izki. Szesnastoletni chłopak to jednak nie to samo co jego rówieśnica. Ja tam bym jej nie puściła z małoletnim byczkiem w busz. A przynajmniej ktoś musi wiedzieć.

Na moje pytania o jej rodziców oboje odpowiadają półgębkiem. Gdy stawiam sprawę na ostrzu noża, telefon albo wyjazd, Izka podaje mi numer do domu.

– No? – słyszę skacowany, niegdyś kobiecy głos.

Przedstawiam się jako matka Patryka.

– No i co? – głos męczy się mówieniem i rozumieniem.

Opowiadam o wyjeździe.

– Tylko niech mi tu z brzuchem nie wraca!

Głos odkłada słuchawkę. Patrzę na Izkę, a ona na podłogę. Żal mi jej. Ale czy ten cholerny Patryk, skoro już zawałił szkołę, nie mógł się przynajmniej zakochać w pretendence do tronu Anglii, choćby i trzydziestej drugiej w kolejce?

* * *

– Czy ty na pewno wiesz, co robisz? – pytam mamę jeszcze raz na dworcu, dozgonnie wdzięczna, że w dodatku zabiera ich na swój koszt.

– Wszystko będzie dobrze – mówi, głównie przejęta stanem Gapy, która po zeżarciu kawałka pasztetu z rozdrobnioną tabletką relanium chwieje się na nogach jak mamusia Izki.

Tylko tak można tę zwariowaną sukę wsadzić do pociągu.

Do odjazdu zostało ledwie parę minut, walizkę od taksówki przytaczałam ja, a młodzieży

nie ma!

– Nie będziesz się go wstydzić? Przecież z tą łysą pałą wygląda jak zbir! Jeśli oczywiście w ogóle zdążą na ten pociąg.

– Daj spokój – karci mnie mama. – Jesteś wobec niego taka krytyczna... Zresztą Izka ma śliczne włosy, więc się wszystko wyrówna.

– Izka miała śliczne włosy – poprawiam ją, bo już widzę to, co widzę.

I niemal wydłubuję oko jakiejś podróżniczce, wskazując mamie palcem środek peronu, którym zmierza do nas para białych Masajów o dziwnie znajomych rysach twarzy.

Oboje są ogoleni, co do włoska. A gdy podchodzą, okazuje się, że przyozdobili się jeszcze jakimś niezwykłym żelastwem. Razem w nosach, ona prócz tego w uszach, a on w brwiach!

No i co mam zrobić? Uśpić, dokleić owłosienie, powyjmować metal z dziurek i wypełnić je gipsem?!

– Nadal chcesz z nimi jechać? – pytam mamy, ale właśnie wjeżdża pociąg i Patryk chwyta bagaże, a mama z Izką usiłują podnieść żywego trupa suki, sztywnej po relanium.

Nie całujemy się. Nie ma kiedy. I dobrze, jeszcze ktoś pomyśli, że ich znam.

W ferworze słyszę Izkę, krzyczącą do Patryka:

– Jesteś tragiczny jak Antygona!

Czyżby nie była taka durna jak on?

Stoję na pustoszejącym peronie i wyrażam zdegenerowanej rodzinie, która już mnie nie widzi, gdy nagle ktoś woła:

– Lucyna!

Choć bankrutka, Lucyna to jednak ciągle ja, więc odwracam się.

Za mną stoi Iwona, wymalowana kolorowo jak świetlica dla dzieci specjalnej troski i uśmiechnięta tak szeroko, jakbym właśnie do niej przyjechała tym pociągiem prosto z Kuala Lumpur. Odprowadzała przyrodną siostrę brata znajomej, która... Dalej na szczęście nie słyszę, bo wtacza się kolejny pociąg.

– Ty naprawdę nic nie wiesz? – pytuje przy kawie, na którą dałam się niby łaskawie namówić.

– Świat tygodnika „Wzdłuż” już mnie nie obchodzi. – Wzruszam ramionami, choć przecież płonę z ciekawości.

– W redakcji nastąpiła taka eskalacja paranoi, że aż strach tam wejść! A wyjść to już wcale nie można. Za dyżury w soboty dyżurni mieli wolne poniedziałki. Już skasowane, podobnie jak przejazdy taksówkami w godzinach pracy na ważne konferencje. Władek nie dopisuje do naszych tekstów poglądów naczelnej, bo naszych tekstów zwyczajnie nie ma. Zmienia teraz każde zdanie, przynajmniej przedstawiając wyrazy. I myślisz, że przejął się tym zerem?

– Jakim znowu zerem?

Jedyne zera, jakie znam, odprowadziłam właśnie do pociągu.

– Gdzie ty żyjesz? Wydrukowaliśmy artykuł o młodzieży, która zamierza emigrować za chlebem. Przy korekcie Władek doszedł do wniosku, że podana przez autora liczba nie robi wrażenia i dopisał jeszcze zero, powiększając ją dziesięciokrotnie. I potem jeden znany socjolog powołał się na nią w telewizji!

– Ktoś zrobił raban?

– Nie, bo „Wzdłuż” mogło przecież zlecić własne badania. Chodzi o to, że podobno spada nakład i żeby go utrzymać, naczelna jest gotowa wydrukować każdą bzdurę pod którymś z naszych nazwisk.

– Nic nowego.
– Ale gorzej. Mówię ci, prędzej bym uwierzyła, że świat powstał w wyniku czkawki wielkiej mały, niż w to, co sama co tydzień jestem zmuszona podpisywać.
Ciesz się, że chcą cię drukować i płacą, wzdycham w duchu.
– No i ta atmosfera! Ostatnio był bal z okazji konkursu na powieść roku. Wiadomo, że naczelna zaprasza vipów z miasta, a my, jako pracownicy, jesteśmy trochę gospodarzami. Ale czy musimy się czuć jak śmieci? Każdy z nas dostał maila od szefostwa, nawet go sobie wydrukowałam, zobacz!
– Znam ton tych maili – mówię, gdy Iwona wyjmuje kartkę z torebki.
– Ale posłuchaj: „W piątek odbędzie się bal. Obecność obowiązkowa. Do obowiązków należy sympatyczne i eleganckie zabawianie gości z zewnątrz. Obowiązują stroje wieczorowe”. Czy naprawdę nie można także i nas po ludzku zaprosić? Nie podpisywałam umowy na służącą.
– Jesteś pewna?
– Łatwo ci teraz żartować!
Lecz mnie wcale nie jest do śmiechu.
Anetka już nie omdlewa w recepcji, ale w szpitalu, z podejrzeniem ciężkiej anemii.
Maciek, po kwartale kierowania działem, kompletnie osiwiał i chodzi po redakcji na czworakach jak zbity pies.
Kuba ponoć utył, zarzucając boks na rzecz szklaneczki whisky wychylanej do śniadania (w domu), obiadu (z biurka) i kolacji (w barze).
Na pytanie o Hanię, Iwona tylko cmoka dwuznacznie.
– No cóż, jest młoda i pnie się w górę. Naczelna mówi o niej per „nasza gwiazda”, wyobrażasz sobie? Hania tyle czasu spędza w jej gabinecie, że nie zdziwiłabym się, gdyby nawet donosiła.
– Hania? Niemożliwe!
– To skąd Cesarska wie, o czym rozmawiamy w korytarzu? A wie! Marzenka z działu zdrowotnego westchnęła głośno, że za taki mobbing w Ameryce wytoczono by starej proces. I Cesarska spytała ją nazajutrz, czy zamierza założyć w redakcji związki zawodowe.
– To na pewno nie Hania – upieram się.
– Ludzie się zmieniają... Zresztą, obejrzyj sobie w telewizji, dziś wieczorem ma być reportaż z naszego balu. A ty? Co u ciebie?
– No cóż... Chwilę odpoczywam.
– Dobrze, że cię na to stać – stwierdza z zazdrością Iwona, a ja nie protestuję.
Wychodzimy już z dworca, kiedy dopada nas jakiś chłopak w reklamowej kamizelce z wielkim tytułem „Wzdłuż” .
– Nowy numer! Świeże spojrzenie! „Uważajcie na sklepy ze zdrową żywnością!” Może dla pań?
– Zjeżdżaj stąd, oszuście! – rzucam się na Bogu ducha winnego gazeciarza.
– Widzę, że jeszcze nie odpoczęłaś. – Iwona łapie mnie za łokieć, w ostatniej chwili powstrzymując od rękoczynów.

* * *

O odpowiedniej godzinie siadam przed telewizorem, jakby mieli nadawać dobry thriller, a nie reportaż z gali tygodnika „Wzdłuż”.

Halina Cesarska wygląda jak własna córka, której nigdy nie miała. Niby ta sama, a młodsza o pokolenie. Niby rozpoznawalna, a inna: policzki napięte tak, że zaraz pękną. Czy wpadła po drodze do Złotych Tarasów na małą porcję botoksu?

Naczelna wypycha przed siebie jakąś kruczożarną, demoniczną młodą babkę w skośnych

czerwonych okularach i z grzywką też ściętą po skosie.

– Mam nadzieję – mówi ta skośna – że powieść „Wanna”, laureatka naszego konkursu, pozwoli lepiej zrozumieć kobiety, rzucając nowe światło na ich intymne zakamarki.

U dołu ekranu pojawia się napis: Hanna Kałucka, kierownik działu kultury tygodnika „Wzdłuż”.

Baranieję. To naprawdę Hania? Ta eteryczna, sympatyczna blondynka z prowincji, jeszcze niedawno przepraszająca, że żyje, i ustępująca mi miejsca w kibelku? I co ona opowiada? Przecież ta „Wanna” to jakiś zdumiewający bełkot niedopieczzonej masochistki, a Hania zamierzała pisać doktorat z poezji Apollinaire’a.

Łapię za komórkę, by pogratulować jej awansu, ale szybko okazuje się, że mogę się najwyżej złapać za ucho. Połączenia wychodzące nie działają, bo rachunki niezapłacone.

Tymczasem do Hani dołącza Smętne Nic: wystraszona mysz o krzywo wyregulowanych brwiach, z noskiem jak kartofelek. To autorka we własnej osobie, Blanka Bruk. W pierwszym odruchu mam ochotę kupić i wysłać jej jeden z poradników wydawnictwa Jak: „Jak być piękną bez względu na budżet i defekty urody?”.

Nie trzeba być Freudem ani Jungiem, by zrozumieć, dlaczego Smętne Nic popełniło taką książeczkę. Gdzieś przecież musiało upchnąć swoje ciągoty do facetów, którzy prędzej zwróciliby uwagę na zardzewiały kosz na śmieci niż na nią.

Zgoda, jestem wredna, ale jak tu nie być? Smętne Nic, zamiast pójść na terapię, egoistycznie i z pomocą tygodnika „Wzdłuż” nabierze tysiące czytelniczek, które mogłyby w tym czasie przeczytać coś naprawdę ciekawego.

Do Hani dzwonię ze stacjonarnego. Mama z rozpędu zapłaciła swój i mój. Rozmawiamy długo i szczerze. A raczej ona mówi do mnie, jakby tylko czekała na okazję, by wyrzucić z siebie wszystko, co leży jej na wątrobie.

– Lucynka, ja naprawdę wcale nie chciałam być kierownikiem. Doskonale wiesz, jak jest. Przyjmujesz awans i całujesz po rękach albo mówisz: nie, dziękuję, żegnam. I pakujesz się. Doktorat faktycznie odłożyłam, ale skoro tak błyskawicznie zajęłam twój fotel, równie szybko mogę z niego spaść. Nawet Maciek nie dał rady. A wtedy wrócę do Apollinaire’a. I przestanę się farbować! – śmieje się, nieprzytomna ze zmęczenia i natłoku wrażeń ostatnich dni.

Hania zgadza się na wszystkie zaproponowane jej występy w radiu i w telewizji. Tak, popłynie z prądem, żeby wyrobić sobie znajomości i bez wyrzeczeń zaoszczędzić parę groszy. Gorąco zaprzecza, jakoby miała cokolwiek donosić Cesarskiej, a w przypadku nieszczęsnej „Wanny” została demokratycznie przegłosowana. Czy przypadkiem nie przez panie i panów, którzy kiedyś zamierzali wrócić do poezji?

Wierzę Hani. Tyle, że ma dwadzieścia pięć lat i za rok może się obudzić kimś zupełnie innym. Będzie musiała kupić mieszkanie, bo za horrendalne pieniądze wynajmuje jakąś norę. Przyda jej się samochód. Pozna chłopaka i jeśli ma trochę oleju w głowie, wybierze ubogiego pracownika naukowego; tylko z takim miałyby o czym gadać. Dlaczego nie mieliby jechać na wspólne wakacje na Karaiby? Teraz, nie za dziesięć czy dwadzieścia lat, gdy egzotyczny urlop będzie ostatnią deską ratunku przed rozpadem resztek małżeństwa?

Banki dadzą jej na wszystko, w ratach na całe życie. Także na wymarzoną słodką parę dzieciaków. Pod warunkiem, że już nigdy nie zajmie się poezją. Że będzie jak zegarek chodzić do swojego „Wzdłuż”, „Lali” lub „Momentu Relaksu”. Jak wy – tam, gdzie chodzicie.

I jak ja, która chodziłabym dalej, narzekając w duchu albo wśród moich frustratek, gdybym tak idiotycznie i wbrew sobie nie wypadła na margines, zwierając się w mailu koleżance. Taka ze mnie bohaterka.

Kilka dni temu sięgnęłam po powieść zeszłorocznego noblisty, na którą od dawna

zerkałam łakomie, musząc borykać się z powieściami typu „Wanna”. I okazało się, że na tej prawdziwej, pięknej i mądrej literaturze, nie potrafię już się skupić. Czekałam, aż coś się wreszcie wydarzy, ktoś kogoś zatłucze, udusi albo przynajmniej wygra na loterii. Usiłowałam wyłowić jakiś pikantny lub zabawny dialog.

Coś za coś.

Za co?

22.

Na urlop, co prawda, nie wyjadę, lecz przez najbliższe tygodnie mogę w domu stawać na rżęsach i nikt się nie zapyta, po co i dlaczego. Chyba, że Fart i Poracha.

Za oknem ciepły lipcowy deszcz. Na wewnętrznym parapecie sto milionów kartek poświęconych nowym systemom odsalania wody. Bo w myśl zasady, że zawsze może być gorzej, po redakcji artykułów na temat opakowań dostała mi się jeszcze głupsza praca: poprawianie polszczyzny w tekstach, z których nie rozumiem ani słowa. Grzecznie włączam komputer. Muszę w końcu jakoś tę wodę odsolić, nim mi wyłączą prąd.

I wówczas dzwoni miła pani wiceprezes banku z informacją, że niezmiernie jej przykro, lecz jeśli w ciągu trzech dni nie dostaną wiadomych pieniędzy, sprawa trafi do windykacji.

Proszę bardzo. Jeden telefon i mam przed sobą nie kilka tygodni laby, ale... Na ile mogą mnie zamknąć? Rok? Dwa? Dziesięć? Dożywotnio? W każdym razie będę teraz miała mnóstwo czasu na rozpamiętywanie ulubionych książek. Może nawet pozwolą mi czytać?

W tej sytuacji nowe systemy odsalania wody i pięć groszy na krzyż, jakie dostałabym za ich językową obróbkę, nie mają żadnego sensu. Odkładam robotę. Pijcie sobie solankę!

Klikam bezmyślnie w różne komputerowe ikonki i nagle przychodzi mi do głowy genialne rozwiązanie: czat! Skoro Nina znajduje tam facetów do łóżka, można pewnie i znaleźć pieniądze.

Po godzinie majstrowania udaje mi się wejść na stronę Seksi randki po trzydziestce i się zalogować. Teraz w rubrykę muszę wpisać nick. Nina mówiła wyraźnie: nick jest najważniejszy. I mogę wpisać tylko jeden.

OddamSieZa15tys. A co mi tam! Ostatecznie pójdę potem na terapię i zapomnę.

Przed oczami przesuwają mi się lista użytkowników. AniaPromocja. KupMnie. Monali\$ak. NiedrogaMycha. OlaZaGrosze. TaniaJakBarszcz.

Mój Boże! Ile jest w naszym kraju biednych, zadłużonych kobiet! Tego się nie spodziewałam. Na tysiąc sto osób czatujących w biały dzień doliczam się wielu bankrutek.

A jakie zdesperowane! Jedna proponuje seks za doładowanie karty telefonicznej. Druga oferuje się z kolacją, choć pewnie sama nie ma co włożyć do ust, biedaczka! Inna chce sprzedać przynajmniej własne pończochy. Może byśmy założyły jakiś klub i wspólnie zaskarżyły nasze banki? To w końcu one zrobiły z nas internetowe ladacznice.

Nie jestem tylko pewna, co oznaczają EurocyckiDoWynajęcia: cycki za euro, czy unijny standard?

Tak czy siak, na piętnaście kawalków nie mam co liczyć. Zresztą, choć na liście są też dziesiątki sponsorów, nikt się jakoś na moją ofertę nie rzuca.

Trudno traktować poważnie pytanie CiekawegoKominiarza, co mam do zaoferowania za taką masę pieniędzy.

„Kochany”, piszę mu. „Nie zawracaj głowy! Wiesz, ile kominów musiałbyś wyczyścić, żeby zgromadzić tę sumę?!”

Koleżanka mówiła mi kiedyś, że luksusowa dama do... powiedzmy na razie, że do towarzystwa, bierze tysiąc dolarów. Niestety, dolar dość kiepsko stoi, zatem potrzeba mi pięciu sponsorów.

Przez trzy dni, jakie zostały mi do spłaty, powinnam więc spotkać się z... Jak dobrze, że w komputerze jest też kalkulator.

Wychodzi mi 1,66666667 faceta dziennie.

Zmieniam nick, obniżam stawkę. Niech się dzieje, co chce!

W kolejce ustawiają się czterej kandydaci, z których szybko zostaje tylko jeden.

LubieOwłosione trafił pod zły adres. Fuj! MłasnecieSmoka młaska w głębokich Bieszczadach i do tego interesu musiałabym jeszcze dopłacać, bo drożej wyniosłaby mnie taksówka. A Perwera zwyczajnie się boję.

„Halo malutka”, wita mnie niejaki BezViagry, ostatnia deska ratunku.

„Zainteresowany?”, pytam fachowo.

„Jasne”.

„To już, umawiajmy się!”

I od razu podaję mu numer swojej komórki. Czas goni!

„Wysoko się cenisz, malutka”, pisze dalej mój ogier.

„Mam powody”.

„Duże?”

„Ogromne!”

„Szóstka? Siódemka?”

„Proszę?”

„Chętnie ci pomiętoszę te powody”.

„Cham!”, walę w klawiaturę i zrywam połączenie.

Czuję się jak w samym środku powieści-laureatki „Wanna”.

Przeklinam cię, cały sfiksowany rodzie męski, przeklinam Fenicjan, którzy wymyślili pieniądze! A jeśli to prawda, że już wymarli, to przeklinam wszystkich ich potomków. Na pewno się jakiś uchował.

Niemal natychmiast dzwoni komórka. Jaki bezczelny! Nie odbiorę! Albo przeciwnie, odbiorę i powiem chamowi... Obieram i krzyczę:

– Posłuchaj, pieprzony zbrojeńcu! Miętosić to sobie możesz żonę i to dopiero wtedy, gdy ci pozwoli!

– Ale ja nie mam żony...

– Wcale się nie dziwię! – kipię, aż ślina zalewa monitor. – Należałoby ci odciąć śliskie łapy, a potem wykastrować!

– Lucyno... proszę...

– Nie dzwoń tu więcej, oblechu! – krzyczę i rzucam komórką w sofę, na której ląduję w tej samej chwili, kompletnie załamana.

Przecież nie obniżę stawki do pięciuset złotych, bo nie trzeba kalkulatora, by policzyć, że w piętnastu tysiącach mieści się trzydzieści pięćsetek, co przez trzy dni daje dziesięciu facetów na dobę – tłumaczę nie wiadomo komu na głos, łkając w śliczną, jedwabną poduszkę z cekinami, która będzie do wyrzucenia, ponieważ nie można jej uprać, a nie ma powłoczki. Ale co mnie w tej chwili obchodzi poduszka. Albo powłoczka!

„Lucyno, proszę...”. Kawał gnoja.

Lucyno? Przecież nie podałam mu imienia!

„Ale ja nie mam żony...” Powiedział to miękkim, niskim głosem... I ja ten głos przecież znam. „Lucyno...” Nie, to niemożliwe. Oszałam! Bieda wyżarła mi resztki mózgu. Przecież to był Zielonooki Miłosz!

Chwytam za komórkę. Aha, akurat! Mogę tylko odbierać rozmowy, a połączenia wychodzące odblokują mi po zapłaceniu rachunku. W dodatku numer niezidentyfikowany.

Co ja mu powiedziałam? Że oblech i do wykastrowania? Hahahaha! To koniec.

A zresztą, jaki koniec, skoro był tylko początek, bez żadnego środka? Dawno i nieprawda. Milczał od maja! Jak miał się zamiar tłumaczyć? I tak się już nie dowiem. I nawet sobie nie

życzę.

Zbieram ostatnie drobniaki i idę na róg po butelkę wódki. Wino na ten cykl koszmarów nie wystarczy.

* * *

Odkręcam butelkę żołądkowej gorzkiej, choć lepsza byłaby sercowa gorzka, i rzucam się do sterty ulubionych płyt. Jak odreagowywać, to kulturalnie, przy muzyce.

Najpierw włączam Ludmiłę Jakubczak: „Gdy mi ciebie zabraaaknieee...” Nigdy mi ciebie nie zabraknie, bo nie zdążyłam się przyzwyczaić! Półtora dnia w Sopocie to kropla w morzu mojego życia. Aha, żebym nie zapomniała: nie używać więcej słowa „morze”!

Na zdrowie!

Potem Santorka: „Miło wspomnieć, jak kochałeś mnieee...”. No jak? Jak mnie kochałeś? Biorąc za rękę na ułamek sekundy, gdy w kawiarni zgasło światło?

Najlepszego!

Sława Przybylska. „Pamiętasz, była jesień...” Nie pamiętasz. Nie możesz pamiętać, bo żadnej jesieni nie było. A gdy przyjdzie, będę siedziała we Wronkach lub na Rakowieckiej.

Chlup!

„Nie czekaj mnie w Argentyyynieee...”, śpiewa Sośnicka. Nigdzie mnie nie czekaj, rozumiesz? Nie potrzebuję takich naciągaczy, weekendowych dżentelmenów, którzy znikają potem jak jakiś Harry Potter!

Cyk!

Teresa Tutinas. „Jak cię miły zatrzymać...” Skąd ja mam takie płyty? To przecież młodość mamy! Ale nie zamierzam cię zatrzymywać. Owszem, chciałam. Ale teraz już nie. Twoja szansa już mi-nę-ła. Idź, skąd przyszedłeś! Precz! Zapomnij ten adres!

Niech żyje!

I jeszcze koniecznie Alicja Majewska... Jest! „To marsz samotnych kobiet! Śpiewaaaajmy saaaameee soooobieee!”

No to raz!

Ale chyba śpiewamy sobie z Alicją Majewską za głośno, bo cimcia z góry wali w podłogę.

– W głowę się puknij, zamiast w mój sufit! Twoje zdrowie!

W ostatnim przeblýsku świadomości włączam Ellę Fitzgerald, w jednej jedynej piosence, którą mam na składance. Moja prywatne Pijackie Radio nadaje „Ev’ry Time We Say Good-Bye” przez pół nocy i całe przedpołudnie, bo wcisnęłam przycisk *repeat* i zapadłam w śpiączkę. Biedna cimcia!

Niestety, człowiek nie płyta i nie da się go wyłączyć, by odzyskał siły bez bólu całego ciała, nie mówiąc o duszy. Opuchnięta, ledwo wstając, objając się o meble i własne, kompletnie sprzeczne myśli.

Powieszę się na kablu od żelazka. Ale tak sprytnie, by policja doszła do wniosku, że powiesiła mnie Cesarska. Niech ją też powieszą.

Będę żyła, by dożyć upadku całej kolorowej prasy. Co ja mówię? Znacznie dłużej, bo krach nastąpi wcześniej. Kłamstwo ma krótkie nóżki.

Pójdę do klasztoru, odpokutować za własną pychę. Za nieuzasadnione przywiązanie do pomysłu, że jestem wyjątkowa, niepowtarzalna i komu jak komu, ale mnie się wszystko uda.

Nigdzie nie pójdę, nie ruszę się stąd, zwłaszcza do ciupy za długi.

I wyrzucę tę cholerną komórkę do klozetu; ile można się w nią gapić? On i tak już przecież nie zadzwoni.

Nie, włożę ją do torby foliowej, żeby nie zamokła, bo chyba wezmę prysznic, a on

odezwie się na pewno.

Z powieszenia się, życia, klasztoru i wyrzucenia komórki ostatecznie wybieram prysznic z telefonem w folii. Nie wiedziałam, że tak trudno umyć się jedną ręką.

Potem przez pięć i pół godziny patrzę w okno, licząc krople deszczu. Wieczorem, umierając z głodu, wkładam lazurkowe soczewki, by ukryć przekrwione oczy, i przemykam się do sklepu po coś na kolację.

Przy kasie wykładam dwie wielkie butle wody mineralnej, arbuza, kilka ogórków i słoik musztardy. Ten zestaw na kaca podsumowuje mnie jednoznacznie.

Kasjerka męczy się właśnie z arbuzem, gdy dzwoni moja komórka.

– Słucham? – Przystawiam do ucha portmonetkę.

Cholera! Gdzie ona jest? Mam!

– Słucham?

– Tu Miłosz. Proszę, nie rzucaj słuchawki.

– Szesnaście czterdzieści – obwieszcza pani w kasie.

– No, nie wiem – mówię do Miłosza.

– Jak to pani nie wie? – złości się kasjerka. – Przecież mi wybiło!

– Wcale nie jest, jak myślisz. – Miłosz ma smutny głos.

– Nie powinnam w ogóle tego słuchać – mówię.

– Co takiego?! – Kasjerka zaraz rzuci we mnie tym arbuzem. – A kto ma słuchać?

– Co się wczoraj stało? Przecież nie mnie tak wyzywałaś? – Miłosz nie ustaje.

– Nie pytaj, nie zrozumiesz – rzucam melancholijnie.

– Patrzcie ją, jaka dama! Z obsługą na ty? I co tu jest do rozumienia? Płać, cwaniaro, albo wzywam ochronę! – szaleje kasjerka.

– Czekaj momencik, jestem w sklepie koło domu i nie mogę... – Wyjmuję pieniądze.

– Tym na rogu, gdzie cię podwoziłem?

– Tak.

– To poczekaj tam na mnie, będę za kilka minut. – Miłosz wyłącza się.

Kasjerka z pasją rzuca na talerzyk resztę w postaci złośliwej bomby z jednogroszówek.

– Ale... – mówię do głuchej komórki.

– Żadne ale! – triumfuje kasjerka. – Pieniądz jest pieniądz, paniusiu!

23.

Skacowana i zmoknięta, w dresowej bluzie Patryka i najgorszych dzinsach po chwili wsiadam do beżowego peżota.

Nie witamy się. Miłosz nawet na mnie nie patrzy, tylko rusza z kopyta, jakbyśmy byli spóźnieni na własny ślub. Jedziemy tak bez słowa z dziesięć minut. Przejeżdżamy Ursynów i nieoczekiwanie skręcamy jakąś polną dróżką do Lasu Kabackiego. Zatrzymuje samochód i gasi motor. Jest upiornie cicho i ciemno.

Zamorduje? Niech morduje! Będzie wreszcie spokój.

Odwraca mnie delikatnie w swoją stronę i...

Zacałuje? Niech całuje! Będzie wreszcie...

Chrzanić to, co będzie! Nie wiem, nie zastanawiam się, jest mi dobrze.

Całujemy się długo i powoli, rozsmakowując się w bukiecie smaków pasty do zębów Colodent, której szczęśliwie użyłam przed wyjściem do sklepu.

Całujemy się i całujemy, jak na filmie w zwolnionym tempie. Ale to nie film.

Nasze nosy są jednym dziwnym nosem jak z obrazów Picassa. Ale to nie obraz.

Nasze języki muskają się jak najczulsze małże. Ale to nie program National Geographic.

Nasze zęby są wielką paszczą dinozaura. Ale to nie „Park Jurajski”.

Kilka razy próbujemy zaczerpnąć tchu, jakbyśmy mieli utonąć. Ale to nie „Titanic”.

W stanie kompletnego wyczerpania Miłosz powoli odsuwa się ode mnie i kładzie ręce na kierownicy.

– Gdzie cię odwieźć? – odzywa się wreszcie, po długiej chwili absolutnej ciszy.

Coś puka. Los? Fatum? Dzieciół? Odruchowo liczę stuknięcia.

Trzy. Przerwa. Sześć. Przerwa. Siedem.

Szesnaście wspólnych lat z dwoma głębokimi kryzysami?

A może dwa lata, podczas których urządzimy sobie szesnaście karczemnych awantur?

– Do domu – odpowiadam.

Wracamy w tempie odwrotnym do tego, w którym przyjechaliśmy, choć ulice są niemal puste. Warszawa w światłkach nocy wygląda wspaniale. A może to tylko ja wspaniale się poczułam?

Stajemy na tym samym rogu, przy tym samym sklepie, w którym pewnie siedzi ta sama urocza kasjerka. Ten sam deszcz tak samo pada. Nie wiercie pozorom.

– Tu nie możesz stać, zaparkuj tam, pod drzewem – instruuję go wstrząsająco przytomnie.

* * *

Nie ma szampana, kawioru ani świec. W ogóle nie ma żadnego alkoholu, bo ile można. Za kawior robią arbuzy i ogórki, a za dyskretne światło – złotawa smuga, wciskająca się w mrok pokoju przez niedomknięte drzwi łazienki. Zamiast różowego wodnego łóżka w kształcie wielkiego serca mamy przetarty granatowy dywanik na twardej podłodze, bo sofka na dwoje za mała, a romantyczną muzykę w rodzaju „Dla Elizy” czy słodkiej „Modlitwy dziewicy” zastępuje skrzeczenie papużek, tłukących się po klatce. Moja elegancka bielizna leży najspokojniej w szafie, bo wyszłam do sklepu jak Dulaska!

Luksusowa jest tylko jedwabna poduszeczka z cekinami, teraz cała w kawałeczkach arbuza, który wypada mu z ust, gdy Miłosz usiłuje mnie nakarmić tak, jak karmi się wzajemnie ptaki.

Nie wiem, jak długo ptaki uprawiają seks. Nie wiem, czy w ogóle go uprawiają.

W szkole, na biologii, uczono mnie jakichś bzdur o mitochondriach i innych organellach zamiast rzeczy najważniejszych.

W każdym razie nasza najważniejsza rzecz trwa i trwa, a organella wciąż nie mają dość.

Przenosimy się pod prysznic (co mnie podkusiło, żeby zlikwidować wannę?) i do kuchni (natychmiast otwierają się zepsute drzwiczki piekarnika). Miłosz wciska mnie w monitor komputera (czy ktoś może nas w ten sposób podglądać?) i w półki biblioteczki (w tej części stoją dramaty Becketta i Rodziewiczówna – moje życie w pigułce!). Znowu wracamy do kuchni. Pochylam się, by zaparzyć kawę. On pochyla się nade mną. Gdy biorę łyżeczkę, wyjmuje mi ją z ręki, by kreślić coś na moich plecach.

Wygięty w lewo łuk. To C. Dwie pionowe kreski i jedna pozioma. H. Znowu łuk. C. Pionowa i trzy poziome z ogonkiem. E. Jeszcze jeden łuk. C. Długi pion. I. Pionowa, trzy poziome i ogonek. E. Piony, poziomy, koła, łuk... BARDZO.

CHCĘ CIĘ BARDZO

Kawa smakuje owocowo: po ciemku wlałam ją do kubków, w których chyba przed wyjazdem Pat i Izka pili sok.

– Pomarańcze – szepce Miłosz.

To pierwsze słowo, które pada od czasu, gdy kilka godzin temu przekroczyliśmy próg domu.

– Lubisz pomarańcze? – pytam ośmielona.

– Wolę na ciebie patrzeć. Mogę?

Rozmawiamy!

Włączam lampkę przy sofce.

– Jesteś piękna...

– To nie do końca ja.

– Nie?

– Zamknij oczy.

Wyjmuję soczewki.

– Już!

Miłosz przygląda mi się w skupieniu i... wyjmuje swoje.

Nie możemy już być bardziej nadzy. Mój lazur to brąz. Zieleń jego oczu to naprawdę ciemna szarość.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Co?

– No, to z oczami...

– Żeby nie było ci żal stąd wychodzić – śpiewają moje kompleksy.

– Myślisz, że brązowookie opuszcza się łatwiej?

– A ty dlaczego wyjąłeś swoje?

– Nie muszę cię teraz tak dokładnie widzieć.

– Są lecznicze? Bo moje z próżności, o co ciebie też posądzałam.

– Posądzałaś mnie o babską próżność?

Śmiejemy się.

– No cóż. – Wstaje z sofki. – Było miło, ale jest bardzo późno, a jutro do pracy.

Zapowietrza mnie. Nie dlatego, że wychodzi, kiedyś i tak by przecież wyszedł, tylko że tak nagle. Nie jestem w stanie wydusić słowa. Patrę, jak się ubiera, i usiłuję się uśmiechnąć.

Z oczami jak dwa jeziora czy brązowooka to bez znaczenia, on i tak wychodzi!

– Jesteś naprawdę fantastyczna! – mówi i pochyla się nade mną, by mnie cmoknąć w... czoło.

– Dziękuję... – bąkam i mam wrażenie, że śnię.

Ale to wszystko jawa: słyszę kłapanięcie drzwi.

Ja to ja, różne świnię widziałam w życiu; ta była ostatnia, teraz to już na pewno pójdę do klasztoru. Ale żeby napalony facet nie dokończył seksu? Jeszcze jedna nerwica w wielkim mieście: trochę się pokochał (i to jak!), napisał mi łyżeczką na plecach CHCĘ CIĘ BARDZO, wypił pomarańczową kawę, zdjął soczewki i poszedł. Nie zdziwiłabym się bardziej, gdyby teraz, w środku nocy, zadzwoniono do mnie z banku, że zapomnieli naliczyć odsetki i mam pojutrze oddać nie piętnaście tysięcy, ale okrągły milion.

Stoję tak bez ruchu, starsza nagle o dwadzieścia lat, gdy otwierają się drzwi. Miłosz. Wchodzi, jakby nigdy nic, machając... płytami Elli Fitzgerald. Mam ochotę go zabić!

– Nigdy mi tego nie rób! Nigdy ze mnie nie żartuj! – Chcę krzyknąć, tłumiąc łzy.

Ale udaję, że tego się właśnie spodziewałam. Mogę mu pokazać, jakiego koloru naprawdę mam oczy, lecz nie to, że jestem taką niedowartościowaną idiotką!

– Powiedz, myślałaś, że naprawdę wychodzę! – mówi ucieszony, gryząc mnie w ucho.

– Ależ skąd! Dobrze wiedziałam, że idziesz do samochodu po moje ulubione płyty.

– Czyżby? – Słusznie nie wierzy, włącza Ellę i podnosi mnie z sofki. – Jutro sobota, nie pracuję.

Tańczymy do „Lady Be Good”, ja naga, on ubrany. Ależ to podniecające! Przy „April in Paris” Miłosz zdejmuję koszulę i wkłada ją na mnie, jesteśmy więc goli po połowie. W trakcie „Love Is Here To Stay” mam już na sobie jego spodnie, a gdy Ella z Louistem swingują „Cheek To Cheek”, znów leżymy na dywaniku bez niczego, choć policzki wcale nie przy policzkach...

* * *

Widziałam to na jakimś filmie.

Ona budzi się przy Nim, cichutko wstaje, idzie do łazienki, poprawia fryzurę, robi dyskretny makijaż, psika się lekkimi perfumami, po czym wraca do łóżka, by udawać, że śpi tak od wieczora, i czeka, aż On się obudzi.

W moim osobistym wykonaniu ta urocza etiuda udaje się jedynie do połowy.

Owszem, dyskretnie podnoszę się i przemykam do łazienki, lżejsza od latawca. Lecz gdy, uczesana i umalowana, usiłuję sfrunąć z powrotem do gniazodka, potrącam klatkę z papugami, która wydaje dźwięk jak Dzwon Zygmunta.

Ale to nic, bo Miłosz przewraca się tylko na drugi bok.

Gorzej, że perfum użyłam za dużo i chyba za mocne. Miłosz otwiera oczy, poruszając nozdrzami jak pies myśliwski w akcji, a ja stoję nad nim niczym Nike, tyle że zamiast miecza wznoszę nogę, którą zamierzałam wsunąć pod koc. Intensywne pachnidło nieubłaganie roznosi się po całym pokoju. Na cześć mężczyzny usłyszanego pierwszy raz, gdy mówił w drogerii: „Chciałbym coś o takim zapachu, którego prawie nie ma, ale jednak jest.”

– Witaj, ciemnooka – uśmiecha się, a ja otwieram wszystkie okna.

Po deszczu ani śladu. Świeci piękne lipcowe słońce.

– Przepraszam za te wonności, potrąciłam niedomknięty flakonik.

– Jak wtedy w domach centrum, gdy kazałaś mi przed sobą klęczeć?

Telepatia czy przypadkowa zbieżność myśli? Początek wielkiej miłości czy raczej niezobowiązująca rozmowa dwojga ludzi, bliskich po wspólnej nocy, a jednak jakże dalekich? Podobno po śmierci widzimy jak w kalejdoskopie najważniejsze wydarzenia z całego życia. To, co ja teraz widzę, może być tylko powrotem do istnienia.

Winda i intensywnie zielone oczy. Podnoszę nos nad stolikiem w Hiszpance. Głupie miny i rzucona w przelocie uwaga, by zjadł mojego croissanta. Nieszczęsna perfumeria. Biurowiec. Kłania mi się z daleka, uwięziony w fotelu czyścibuta. Ogródek. Potykam się o korzeń, łądując

w resztkach jego łososia. Nadwiślańska restauracja. Grand Hotel. Dłoń w dłoni w kawiarnianych ciemnościach. Sztuka o cipkach. Australijska stryjenka, pazerna na diamenty. Wschód słońca nad sopockim morzem. *The end.*

Bo potem już tylko tajemnicze dwa miesiące przerwy. Miłosz nie ma na ciele żadnych śladów po świeżej operacji, więc nie trafił nagle do szpitala.

Stoję przy karafce robiącej za wazon i obrywam resztki liści zasuszonej róży. Zapytać, nie zapytać, zapytać, nie zapytać... Jeśli nie odezwie się, póki nie skończę, zapytam, co takiego robił przez dwa miesiące, że nie mógł się odezwać. Zapytam bez względu na to, co mi każą liście.

– Przydziesz do mnie? – mruczy, gdy na łóżyce wiszą jeszcze dwa.

Siadam na brzegu sofki. Jak myśmy się na niej zmieścili? Miłosz bierze mnie za rękę.

– Gnębi cię, że całe tygodnie się nie odzywałem.

Nie pyta, stwierdza.

– Tak. Ale mam większe kłopoty.

– A jeśli ci pomogę, nie zapytasz?

– Nie wiem, czy można mi pomóc. A pytać nie muszę.

– Przecież chodzi tylko o pieniądze, prawda? – Mój amant nie zmienia spokojnego tonu.

Rety, chyba nie myślisz, że oddałam mu się za pieniądze?!

– Nie wyobrażaj sobie, że... – Nie wiem, jak powiedzieć, że nie jestem żadną lafiryndą.

– Nic sobie nie wyobrażam. Po prostu nadal nie masz pracy, jesteś przerażona i popijasz

– mówi beznamiętnie.

– Ejże! – rzucam, gotowa do gry i z trudem hamuję podnoszenie nosa.

Bo uświadamiam sobie, że jeśli teraz zacznę grać, stracę wszystko, bez względu na to, co by to miało być. Czar jednej nocy i ewentualną perspektywę następnych. Przyjaźń, a może nawet coś więcej. Nie mówiąc o prawnej poradzie.

– Nie ejże, tylko tak. Sama mówiłaś, że odeszłaś z redakcji, a prawie pusta butelka stoi wciąż pod stołem.

Rzeczywiście! Cholerna butelka.

– Ale...

– Nie zapominaj, że jestem adwokatem. Żeby ratować swoich klientów, muszę ich najpierw obronić przed nimi samymi. Nie chcą powiedzieć prawdy, stroją się w piórka, a potem mają pretensje, że nie wygrywają.

– Nie będę do ciebie miała żadnych pretensji. Naprawdę możesz wstać i wyjść, i nie wracać. Pięknie było... – Siłą próbuję się nie rozryczeć jak fabryczna syrena.

– Nie chcę wstawać, wychodzić i nie wracać.

Tego już nie da się znieść na sucho. W ramionach wybucham mu żywymi łzami tak, że jeśli natychmiast nie rozłoży parasola, zmoknie i się przeziębii. I nie mogę się powstrzymać:

– Skoro wszystko wiedziałeś, dlaczego zostawiłeś mnie samą na tyle tygodni?!

– Nie byłaś wtedy w złej formie. Zresztą, obiecałaś nie pytać – mówi tak twardo, że gdyby jednocześnie nie głąskał mnie czule po plecach, pomyślałabym, że jest bez serca.

Lecz może wystarczy, że ja tego serca mam w nadmiarze?

Wsuwa się we mnie powoli i delikatnie, a potem głębiej, mocniej, miarowo. Gdy kończymy, wzdycham i na tym długim oddechu mówię, co muszę powiedzieć:

– Mam piętnaście tysięcy długu do spłacenia pojutrze.

– A ja dziesięć razy więcej, sto pięćdziesiąt – odzywa się spod poduszki.

Ciemnieje mi w oczach, choć po tym, co zdarzyło się przed chwilą, już nie mogę być bardziej wyczerpana.

I muszę szybko zregenerować siły, bo co pozostaje parze bankrutów? Jedynie kochać się

i kochać, i kochać, i kochać! Do upadłego, do końca, do śmierci z rozkoszy!

Czy o to mu właśnie chodziło? Czy dlatego zadzwonił po dwóch miesiącach? Czy chciał przy mnie umrzeć z rozkoszy, nie wiedząc, że w tej ostatniej ekstazie bankruta potowarzyszę mu z własnych, podobnych powodów?

Nie będzie powrotu do istnienia. Umrzeć z miłości i niczym się więcej nie dręczyć. Oto nasze przeznaczenie! O tak. Jesteśmy dla siebie stworzeni. To w taki sposób chce mi pomóc.

– Zamówimy pizzę? Mam numer w komórce – proponuje nagle Miłosz.

Wcale mnie to nie dziwi.

Oczywiście. Kaloryczna, pyszna pizza z szynką i ananasem – oto, co idealnie i szybko przywróci nam energię niezbędną, by ostatecznie pograć się w obezwładniającej i niszczącej płataninie ciał, których już nigdy nikt nie rozplące, bo zrobią się sztywne, nim policja wyważy drzwi.

– Gdzie masz swoją komórkę, najdroższy? – pyta zdeterminowana Julia.

– W spodniach – odpowiada Romeo. – Tylko, jeśli można, bez ananasa, dobrze? Nie przepadam.

Czyżbyśmy jednak nie byli identyczni?

24.

Nie, nie jesteśmy identyczni. A nasze sytuacje są wręcz diametralnie różne.

Za swój dług trafię wiadomo gdzie. Ostatnie grosze wydałam na arbuza, nie wspominając o wódce. Tymczasem Miłosz, choć jest winien bankom dziesięć razy więcej ode mnie, ma w portfelu plik stuzłotówek. Wypadły malowniczo na podłogę, gdy szukał drobnych na pizzę.

Mało tego. On wcale nie chce umierać. Ani sam, ani ze mną.

– Tych piętnaście tysięcy to twój jedyny dług? – pyta rzeczowo między jednym kęsem a drugim.

– Tak – dławię się rantem pizzy z grubego ciasta. – Jedyny!

Przecież nie powiem, że zżera mnie złośliwy rak plajty w postaci odsetek z kart kredytowych i oczywiście samych nieszczęsnych kart. Nie teraz, bo zje i ucieknie.

– Pożyczę ci te pieniądze – mówi po prostu, jakby oznajmiał, że do farszu poskapili oliwek.

W gardle na dobre grzęźnie mi kawał ostrej pepperoni.

– Jak so... bie to wy... obra... żasz? – dukam, walcząc z uduszeniem się. – Nie mogę przyjąć takiej sumy!

– To nie jest prezent, a pożyczka – stwierdza, otwierając drugą saszetkę keczupu.

– Nie mam ci z czego oddać i nie zanosi się, że kiedyś będę miała. Byłam pewna, że natychmiast zostanę kierownikiem gdzie indziej. Że pobiją się o mnie jak o Helenę Trojańską. Tymczasem nikt mnie nie potrzebuje nawet do sprzątanía po redakcyjnych kolegiach – wybucham.

I opowiadam mu dokładnie całą historię ostatnich miesięcy. Od czterech wersji artykułu o telewizji, przez wykonane telefony, napisane maile, po stertę papierów na temat odsalania wody, wciąż zalegającą na parapecie. Nie mówię tylko o próbie handlu własnym ciałem na czacie. Kobieta bez tajemnic jest banalna.

Miłosz słucha profesjonalnie, czyli nie przerywa. Wygłasza swoje, gdy kończę.

– W moim środowisku, gdy któryś kolega po fachu nabroi, nazajutrz wiedzą o tym wszystkie kancelarie. Przez znajomych, przyjaciół i wrogów, celowo lub przez przypadek. Światek jest mały i plotkarski. Nie ma co liczyć, by dostał w Warszawie nową pracę. Znałem kilku takich. Wyjeżdżali na prowincję i próbowali wrócić po latach albo zmieniali branżę.

– Myślisz, że ktoś mi celowo bruździ?

– Bruździ? Raczej nie ukrywa, co zrobiłaś. Zatrudniłabyś pracownika, o którym wiesz, że obsmarował za plecami twojego poprzednika? Naczelní też mają swoje czarne listy, jak banki, tyle że niespisane.

– Dance napisałam całą prawdę!

– A może nie byłaś najdoskonalszą dziennikarką świata?

– Byłam!

Miłosz się śmieje. I co w tym wesołego?

– Jesteś pewna, że inni oceniają cię tak, jak ty siebie?

Przypomina mi się moja zabawa w tramwaju, kto kim jest i z kim śpi. Milczę.

– A w ogóle, skoro nie potrafisz już bez wstrętu wziąć do ręki żadnej z kolorowych gazet, to po kiego diabła chcesz się w to dalej bawić?

– Nic innego nie umiem!

– To pora się nauczyć – mówi krótko.

– Ale ja już mam... – Zwariowałam! Przecież mu nie wyznam, że mam prawie czterdzieści lat i na naukę jest zdecydowanie za późno. Nie wiem, na ile mnie obliczył, lecz na pewno nie na tyle. – Już mam fach w ręku! – wyplątuję się z szubienicy.

– Naukowcy obliczyli, że współczesny człowiek będzie zmieniał w życiu fach około dwudziestu razy – tłumaczy, jakby udzielał wywiadu do tygodnika „Wzdłuż”.

– Ale ja nie jestem żaden współczesny człowiek. Ja jestem klasyczna kobieta! – wyrывa mi się.

Miłosz spogląda na mnie ciepło i wyrozumiale.

– Skoro tak, to zaparz, proszę, jeszcze kawy, moja klasyczna kobieto. Masz internet?

Kiwam głową.

– Więc włącz sprzęt i daj mi numer swojego rachunku.

Przyjemna prośba brzmi w jego ustach opiekuńczo i po męsku. Czuję się, jakby zaproponował: a teraz rzuć wszystko w diabły i pakuj się, bo zaraz mamy samolot na Florydę. Posłusznie podaję mu całą bankową szufladę i rozklejam się jak stara meblościanka.

– Nigdy już nie będę pożyczać! Od nikogo, choćbym miała zdechnąć na środku ulicy!

– Zapewniam najszczerzej, jak tylko potrafię.

– Posłuchaj – chichocze, jakbym opowiedziała mu dobry dowcip. – Pożyczanie jest dla ludzi.

– Być może, ale w parach.

– Proszę?

Wyjaśniam mu swoją teorię, że pożyczać mogą tylko pary, bo są w stanie nawzajem się upilnować. Uśmiecha się od ucha do ucha i zerka na szufladę.

– Porządki to zrób tu sama, znajdź tylko rachunek z numerem – komenderuje, siadając do komputera.

* * *

– Jesteś wolna – mówi Miłosz po kilku minutach.

Stoję nad nim z rozdziawioną gębą i jest mi wszystko jedno, czy wyglądam trochę, czy całkiem debilnie.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Poklikałem w twoją klawiaturę i stał się cud – oświadcza uśmiechnięty.

Choć po komunii i bierzmowana, wciąż nie potrafię uwierzyć. Po pierwsze: Miłosz nie ruszył się stąd na centymetr, a długi oddaje się w kasie. Po drugie: niby dlaczego prawie obcy facet miałby mi nagle pożyczyć piętnaście kawałków? Nie wygląda na zamrozonego po upojnej nocy. I po trzecie:

– Przecież sam masz sto pięćdziesiąt tysięcy do tyłu!

– Dlatego jeszcze piętnaście nie robi mi różnicy – odpowiada, dopijając kawę.

Ktoś z nas oszalał, lecz mój Clooney z krzywym zgryzem patrzy na mnie całkiem serio.

– Spójrz tutaj. – Chwyta mnie za udo i przyciąga do monitora.

Wpatruję się w ciągi liczb, jakbym była w stanie coś wypatrzeć. Nic nie rozumiem. Ani z liczb, ani z finansów, które zadłużonemu pozwalają uratować tonącego, czyli mnie.

A jeśli ta forsa jest kradziona, brudna, prana, czy jak to się nazywa?

E tam. Przecież jeżeli prana, to czysta jak jego biała koszula!

Powoli pojmuję, że chyba rzeczywiście stał się cud. Miłosz wyjaśnia zasady internetowej bankowości, ale już go nie słyszę. Nagle dopada mnie coś, czego nie da się opisać. Ciepło tkliwości, lekkość serca, poczucie nieokreślonego szczęścia... Myślicie, że chodzi o te ohydne pieniądze? Ależ skąd! To wszystko związane jest z nim, z Zielonookim Miłoszem, z facetem, który tu siedzi i opiera w tej chwili głowę o mój brzuch. To miłość! *Love! Die Liebe! Ljubow!*

Wrywam się z jego objęć. Teraz ja muszę go za wszelką cenę ochronić przed nim samym.

– Wiesz, komu pożyczyłeś te pieniądze? Mam syna nieuka i brata geja, a moja mama chodzi do pracy z psem! – wyznaję jak na spowiedzi.

Gdy wstaje od komputera, uciekam w kąt kuchni. Po chwili jest już przy mnie. I całuje, całuje, całuje.

I zacałowałby mnie, gdyby nie dzwonek do drzwi. Komornik? Policja? Kat z naostrzonym toporem? A może sama Halina Cesarska z nożyczkami, by odciąć mi język, bo za dużo wiem o kulisach pracy w tygodniku „Wzdłuż”?

Proszę bardzo, otwieram. Nikogo się nie boję. Jestem zakochana, zakochana!

W progu stoi... pan Alojzy. Absztyfikant mamy jest wyraźnie zdenerwowany.

– Dzień dobry pani, wszystko w porządku?

– Nawet bardzo – odpowiadam, zapinając bluzkę i poprawiając potargane włosy.

– Całe szczęście! – cieszy się. – Proszę wybaczyć mi to najście, ale pani mama nie może od kilku dni się dodzwonić i poprosiła mnie, bym sprawdził...

Starszy pan mówi dalej, choć nie musi. Oczywiście! Lucyna, ty parszywa egoistko! Zakochujesz się, a mamusia na wakacjach wychodzi z nerwów ze skóry.

Bąkam coś o nagłej awarii wszystkich telefonów w okolicy i obiecuję natychmiastową poprawę.

– A nie wie pani przypadkiem, gdzie pani Alina kupuje takie kruche ciasteczka w kształcie półksiężyców? – pyta nieśmiało pan Alojzy.

– Całuski! – rozpromieniam się. – W budce za przystankiem tramwajowym. A co, smakują? No pewnie, każdemu!

– Smakują, ale to jej chciałbym zawieźć...

I w ten sposób przy okazji dowiaduję się, że pan Alojzy wybiera się właśnie do Lubrzy własnym samochodem. Niemal na całe lato, no, no!

Moją komórkę, z wyczerpaną baterią, odnajduję koło piekarnika, a aparat domowy któreś z nas odłączyło nogą, kopiając w gniazdko podczas uwijania własnego.

* * *

To, co robiliśmy przez pół niedzieli, nadaje się na film, który telewizja mogłaby pokazać tylko w środku nocy z bardzo dużym czerwonym kwadratem. Ciekawe, skąd w nas tyle sił – spieszę poinformować, że bez długu mam jeszcze większe potrzeby niż z długiem, a Miłozza widać dziko podnieca robienie dobrych uczynków. Kolejny raz liczy mi językiem palce stóp, choć przysięgam, że jak każdy mam ich równo dziesięć. A ja nadal nie mogę się nadziwić temu, co dla mnie zrobił.

– Piętnaście tysięcy! Chyba oszalałeś!

– Nie wiesz, że ludzie są szaleni?

– Nie znam takich.

– Jesteś pewna? – Odrywa się od moich dolnych kończyn.

I tak spędzamy drugie pół niedzieli na omawianiu Największej Tajemnicy Świata.

– A branie ślubu bez szans na mieszkanie to nie szaleństwo?

– To miłość!

– A porywanie się na trzecie dziecko, bo się jakoś wyżywi przy pozostałej dwójce?

– To miłość!

– A maniackie próby urabiania kogoś na swoją modłę?

– To miłość!

– A robienie z drugiej osoby swojej własności?

- To miłość!
- A zazdrość, utrudniająca życie?
- To miłość!
- A pożyczanie większych pieniędzy bez zabezpieczenia?
- To mi... A może głupota? Nie wiem, nie wiem! – pojękuję, bo ukochany właśnie

próbuję mi odgryźć pępek.

Gdy w poniedziałek rano Miłosz wstaje do pracy, jest siódma. Wcześniej, bo musi jeszcze pojechać do domu i się przebrać. A ja nawet nie mam pojęcia, gdzie mieszka ani jak, ani czy tam ktoś jest. Oto najlepszy przykład na ludzkie szaleństwo.

– Oczywiście, że jest... – oświadcza jak najspokojniej, zapinając pasek.

No to kawę będzie pił ze spodka, bo ręce mi się trzęsą jak galaretka z drobiu.

– Kto?

– Kot.

Kamień spada mi z serca, łyżeczka z talerzyka. I natychmiast myślę o mamie i Gapie. Trzeba to koniecznie przed nimi ukryć. Ani prośbą, ani groźbą nie przetłumaczę im, że ktoś, kto kumpluje się z kotem, może być sensownym człowiekiem, na poziomie i na stanowisku.

Ten ktoś wychodzi ode mnie jak ze swego domu. Nie umawia się, o niczym nie zapewnia. Cmoka w policzek, jakby miał wrócić po południu na obiad.

– Miłego dnia – życzy po prostu jak idealny mąż.

– Jak ja ci oddam te pieniądze? – pytam znów.

– Odpracujesz! – Tajemniczo błyska przekrzywionymi zębami i zamyka drzwi.

Macham do niego przez okno. Miód! Serialowa sielanka!

Na stole znajdują pięć stów i kartkę z napisem: *Zrób zakupy i w ogóle co chcesz*. Kiedy zdążył ją napisać?

Odpracuję, odpracuję. Wszystko odpracuję. Tylko ciekawe gdzie? Chyba nie zamierza zatrudnić mnie w swojej kancelarii jako sekretarkę? Wspólna praca zatruwa wspólne życie jak otwarta butelka z benzyną.

Ale co też mi chodzi po głowie? Wspólne życie? Mama i Gapa, nienawidzące kotów? Przecież wrócą dopiero na początku września, a do tego czasu wszystko może się jeszcze odwrócić dwieście trzydzieści razy!

Kilka miesięcy temu dałabym się pokroić tępych nożem, że wiem, jak będą wyglądały moje najbliższe dni, tygodnie, a może nawet lata. I co? Ze schematu nie wyłamała się tylko ciotka Ula i jej wielkanocne: „Kochanie, nie możesz pamiętać, jak myłam twoje stópki w filizance...”. Wielkie kwietniowe zakupy skończyły się na jednym zakiecie i okropnej spódnicy, której nie miałam na sobie do dziś. W maju nie było kataklizmu związanego z konkursem na powieść, bo zdarzył się znacznie większy. Czerwiec nie należał do Patryka i nie użerałam się z jego belferkami: do następnej klasy nie puściły go i już! A plany na lato, zakończone w Grecji lub Turcji erotyczną katastrofą? Na żadne sekswywczasy z kolejnym Kemalem czy Christophorem nie wybrałabym się teraz nawet za dopłatą.

Jak często wydaje się wam, że wszystko wiecie i nic wspaniałego już was nie spotka? Odpowiadam: zdecydowanie za często!

Epilog

Jaki piękny mamy w tym roku październik!

Niestety, dla mnie jest czasem głębokiej żałoby. Mama z Gapą, Patryk z Izką i pan Alojzy, prowadzący samochód, zginęli pod Poznaniem, wracając z wakacji, w strasznym wypadku na płatnej autostradzie. Gdyby może nie szastali forsą i wybrali zwyczajną, polską, dziurawą drogę...

Dług chciałam spłacić Miłoszowi niemal od razu, z polisy. Musiał jednak pilnie wyjechać do Szwecji: jego ukochana siostra uczyła pływać dziecko koleżanki pod Sztokholmem i sama się utopiła. Gdy wracał, rozpętała się potworna burza i samolot spadł do Bałtyku. Zwłok nie odnaleziono.

Wkrótce potem Tymon z Borysem wybrali się w góry i zeszła lawina, najstraszniejsza od półwiecza, masakrująca wszystko, co dało się zmasakrować.

Przez te góry jechała również przypadkiem nadredaktor Halina Cesarska ze swoim nowym narzeczonym i największa skała spadła na dach ich nowiutkiego porsche carrera. Jej ciało zidentyfikowano po złośliwym grymasie twarzy, którego nie zatarła nawet śmierć.

Zbyt tragicznie?

Macie rację. Takich scenariuszy nie pisze nawet życie, choć ostatnim z pomysłów niewątpliwie zachwyciliby się wszyscy członkowie mojej byłej redakcji. Lecz rzeczywistość jest bardziej złośliwa. Zamiast nas ostatecznie wykańczać – torturuje.

Zatem jeszcze raz.

Jaki piękny mamy w tym roku październik!

Tak by było miło wybrać się na spacer po Ogrodzie Saskim w cztery pary i oczywiście z psem, koniecznie w niedzielę! Mama z panem Alojzym, Tymon z Borysem, Patryk z Izką i ja z Miłoszkciem. Idąc tyralierą, zajęlibyśmy całą szerokość głównej alejki!

Cóż, kiedy Gapa ugryzła pana Alojzego w kostkę i on się przestraszył, że mama może mu zrobić to samo: w końcu obie mają identyczny kolor włosów! Nigdy się więcej nie widzieli, a budka z całuskami z dnia na dzień została zamknięta.

Borys zdradził Tymona już po trzech tygodniach i w dodatku nie chciał się zgodzić na seks w trójkącie. Mój biedny brat, oszalały z rozpacz, nie był w stanie obronić licencjatu.

Izka, naznaczona piętnem patologicznej rodziny, poznała na pięknej ziemi lubuskiej jakiegoś lumpa, któremu oddała się za kilogram ulubionych krówek i błyszczącą nakładkę na komórkę. Do szkoły nie wróciła, wszelki śluch po niej zaginął.

Pat też do szkoły nie wrócił i związał się z osiedlowym gangiem handlującym tabletkami *ecstasy*.

A Miłosz?

No właśnie, co zrobić z Miłoszem? Nie mógł mnie przecież puścić kantem, skoro pożyczył pieniądze!

Dlatego zostaliśmy jednak przy prawdzie...

Jaki piękny mamy w tym roku październik!

Cóż z tego, że kolejny dzień leje jak z cebra, a podobnych wichur nie pamiętają najstarsi mazowieccy górale? Już trzeci miesiąc siedzę sobie bezpiecznie w eleganckim saloniku, wyłożonym cedrowym drewnem, niczym drogocenny klejnot oprawiony w srebro. Dosłownie!

Konkretnie siedzę pośród eleganckich sztućców, papierośnic, puzderek i świeczników, z których najtańszy wart jest więcej niż mój cały dług.

Odmieniona Ja – popielata blondynka bez loczków, w rudej sukience, świetnie komponującej się z boazerią – popija zieloną herbatkę przy finezyjnie inkrustowanym stolicku. Z sufitu dyskretnie sączy się muzyka Mozarta. Tak właśnie wygląda moja nowa praca.

Na czym polega? W odpowiedzi mogę zanucić piosenkę, zapamiętaną w dzieciństwie: „Jestem, po prostu jestem...”.

Czyż nie miałam odpracować długu? No, to odpracowuję! Moja nowa profesja i bycie kierowniczką działu kultury mają zresztą wiele wspólnego, a mianowicie – reprezentację. Podobnie jak tam, także i tu uśmiecham się i udzielam informacji. Tyle że nie przez namolny telefon, lecz całkiem spokojnie, osobiście i naprawdę z przyjemnością. Owszem, czasem coś sprzedam, ale rzadko i od razu za duże pieniądze.

Co do pieniędzy, mam niejasne podejrzenia, że do mojej pensji Miłosz trochę dokłada. Dostaję wyjątkowo dużo jak na posadę luksusowego pekińczyka. Na tyle dużo, by nie mieć problemu ze splatą zatajonych odsetek. Ale przecież Miłosz wie, co robi, i sam mnie w to srebro oparwił. Nim zasiadłam w srebrnym saloniku, dostałam od niego srebrną broszkę, potem kolczyki i pierścionek.

– Złoto jest zbyt nachalne – stwierdził, gdy spytałam, czy nie jestem więcej warta.
– Srebro dyskretnie podkreśla twoją klasyczną urodę.

I jak tu się nie zgodzić? Zwłaszcza że w tym srebrze kryją się drogie kamienie.

Salon należy podobno do jego przyjaciela, Leszka. Tajemniczy gość, jeszcze go nie poznałam. I raz po raz pytają o niego jakieś dziwne typy. Wówczas mam za zadanie zawołać naszą księgową, panią Stenię. A ona przychodzi z zaplecza i mówi:

– Rajskie jabłuszka dotarły na czas.

Albo:

– Grobowiec zostanie otwarty o czwartej.

A czasem nawiązuje do tego, co mamy w salonie:

– W dwóch papierośnicach zabrakło papierosów.

Z tego co wiem, oferujemy puste. Lecz co mnie to obchodzi? Odmieniona Ja nie zamierza już straszyć się swoją wybujałą wyobraźnią. Czy nie dosyć się przez nią nacierpiałam, wymyślając nie wiadomo co? Teraz chcę normalnie pożyć.

Opowiadam to Miłoszowi, który jest bardzo ciekawy wystąpienia pani Steni, i zaśmiewamy się do łez. Chociaż nie zawsze. Na tekst o brakujących papierosach chyba jakoś sposepniał. A może mi się zdaje?

Najważniejsze, że tak nam razem dobrze. I mamy nowy samochód, BMW, oczywiście srebrne. To także część mojej oprawy. Pisk opon zna już cały mój blok, bo ze względu na Patryka nie przeprowadziłam się, choć często bywam w przytulnym apartamencie Miłosza na zamkniętym osiedlu.

Do połowy września do salonu zaglądali głównie turyści, których w Warszawie pojawia się coraz więcej, choć na całe miasto w zupełności wystarcza jeden dzień pobytu. Przez ostatni tydzień, już po sezonie, ze sto osób przykleiło nos do przydymionej, panoramicznej szyby, ze trzydzieści weszło do środka, może pięć poczęstowała kawką, a dwie zrobiły zakupy.

Ale jakie!

Babon, który mógłby handlować stanikami na łóżku polowym przy metrce, niemal od razu zdecydował się na świecznik w cenie samochodu i zapłacił za niego gotówką, przyniesioną wśród starych gazet w reklamówce.

Drugim klientem był łysy dresiarz. Wszedł, popatrzył na mnie jak na świeży kebab do

zeżarcia na stojąco, zakręcił się wokół własnej osi, wyciągnął rękę i – pstryknął palcami w kierunku kompletu srebrnych łyżek, noży i widelców na dwanaście osób, nie pytając o cenę.

– To! – rzucił apodyktycznie, sięgając po portfel.

Siedzę więc sobie i reprezentuję.

I mam tyle czasu, że postanowiłam wziąć udział w dorocznym konkursie tygodnika „Wzdłuż” na babską powieść. Rzecz jasna pod pseudonimem.

Jeżeli moja historia wyda się bardziej nieprawdopodobna od tego, co wypisują w kolorowych pismach, to tylko dlatego, że – w przeciwieństwie do tych przerażających głupot wyspanych z palca przez moich kolegów, bo trzeba jakoś żyć, gdzieś pracować, w czymś realizować swoje wybujałe ambicje – jest prawdziwa. Napiszę tę powieść w ramach przeprosin. Zamiast pójść do Częstochowy przez Fatimę i Lourdes, przeproszę wszystkie czytelniczki za wodę z mózgu, jaką robiłam im przez lata tak, jak Halina Cesarska robiła ją mnie. Napiszę o tym, co widziałam i w czym uczestniczyłam, a w co bym nie uwierzyła, gdyby mi pod przysięgą opowiedziała najlepsza kumpelka.

O tym, że połyskliwe stronice cudownych magazynów ze słodkimi obrazkami okupione są nerwicą i depresją, bólami brzucha i dziećmi zostającymi na drugi rok w klasie. Że szkoda na nie życia, naszego i waszego, zwłaszcza, że z życiem nie mają nic wspólnego. O samym życiu też będzie, a jakże! Teraz już wiem, że jak jesteś, to jesteś, a gdy przestajesz być, to biada ci, bo nie zainteresuje się tobą nawet pies z kulawą nogą. Ale przede wszystkim będzie to powieść o miłości.

Już mam nawet tytuł. *Moja wielka Miłosz.*

Ładny?

Naprawdę piękny mamy w tym roku październik.

Pan Alojzy spotyka się z mamą i obojgu świetnie to robi. Na ślub się nie zanosí, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Czy to jest zresztą konieczne? Podpytywana, mama swoim zwyczajem macha lewą ręką.

O związku Tymona z Borysem nadal nikt z nas jej nie powiedział. Lecz może teraz, gdy po latach przypomniała sobie, na czym polega uczucie, byłaby w stanie ich pojąć?

Pat z Izką chodzą do szkoły, ale usiedli razem w ostatniej ławce, więc na pedagogiczny sukces nie ma co liczyć. Zwłaszcza że nie mogę już interweniować jako wzięta dziennikarka popularnego tygodnika. Chociaż... Gdyby kilku belferkom dyskretnie zaproponować jakieś srebrne sztucce z odpowiednią bonifikatą?

Przed chwilą zadzwoniła Mirka, od pamiętnych zdarzeń moja jedyna przyjaciółka. Znowu chodzi na stare śmieci, ponieważ dostała pracę w firmie mieszczącej się tuż pod redakcją.

Dopiero co widziała Miłosza, wychodzącego z biurowca w otoczeniu kilku policjantów. Ach ten mój Zielonooki, wszędzie ma znajomych.

Zabawne, bo właśnie dwa radiowozy podjechały tuż pod okno mojego saloniku...

Na weekend mamy lecieć do Lizbony, podobno bajka.

Życie bywa cudowne!

KONIEC